

www.kuriergalicyjski.com

28 kwietnia–14 maja
2020 nr 7–8 (347–348)



Zamów książki i płyty
Biblioteki
Kuriera Galicyjskiego
s. 16



Polemika dookoła
polskiej szkoły
w Mościskach
s. 2–3



Sojusz Piłsudski–Petlura
Mirosław Szumiło
s. 30–31

Kod prenumeraty
УКРПОШТА 98780

ISSN 1996-2304



9 771996 230009

Polska przekazała lwowskiemu szpitalowi sprzęt medyczny

W ramach programu „Polska pomoc” konsul generalny RP we Lwowie Eliza Dzwonkiewicz przekazała Centrum Leczenia Chorób Płuc we Lwowie sprzęt medyczny na walkę z koronawirusem. Są to trzy ssaki medyczne zakupione przez Fundację Solidarności Międzynarodowej, które pomogą w leczeniu chorych na COVID-19.

EUGENIUSZ SAŁO
tekst i zdjęcie

W konferencji prasowej na podwórku szpitala wzięli udział: konsul generalny RP we Lwowie Eliza Dzwonkiewicz, przewodnicząca Lwowskiej Obwodowej Administracji Państwowej Maksym Kozycki i dyrektor szpitala Lubomyr Rak.

Konsul generalny RP we Lwowie podkreśliła, że pomysł zrodził się w czasie spotkań z kierownictwem Lwowskiej Obwodowej Administracji Państwowej, którzy opowiedzieli, że w lwowskich szpitalach brakuje sprzętu medycznego. Po rozmowie z prezesem Fundacji Solidarności Międzynarodowej Rafałem Dzieciółowskim udało się przywieźć sprzęt do Lwowa. – Bardzo szybko udało nam się zakupić potrzebny sprzęt. Czas odgrywał ogromną rolę, dlatego, że podczas ogólnoswiatowej epidemii taki sprzęt trudno dostać. To jest włoska produkcja, więc baliśmy się, że ten sprzęt ktoś wykupi szybciej. Udało się bardzo szybko go zakupić i w zeszłym tygodniu dostarczono go do lwowskiego konsulatu. A dzisiaj nastąpiło przekazanie – powiedziała Eliza Dzwonkiewicz.

Konsul generalny RP zaznaczyła, że współpraca, solidarność i wzajemne wsparcie w obecnych warunkach są szczególnie istotne. – Bardzo się cieszę, że to wszystko tak szybko się udało. Fundacja Solidarności Międzynarodowej pokazuje, że w walce z tak straszną pandemią musimy działać razem – powiedziała konsul Dzwonkiewicz.

Przewodnicząca Lwowskiej Obwodowej Administracji Państwowej Maksym Kozycki podziękował Po-



Konsul generalny RP we Lwowie Eliza Dzwonkiewicz, przewodnicząca Lwowskiej Obwodowej Administracji Państwowej Maksym Kozycki i dyrektor Centrum Leczenia Chorób Płuc we Lwowie Lubomyr Rak

lakom za pomoc i wsparcie. Gubernator podkreślił, że ten sprzęt będzie wykorzystywany nawet po zakończeniu epidemii. – Ogromne podziękowania należą się konsulowi generalnemu RP we Lwowie za rozumienie i przyjaźń w relacjach z miastem i obwodem lwowskim. Ssaki medyczne przekazane lwowskiemu szpitalowi są potrzebne nie tylko na czas walki z koronawirusem. Jest to sprzęt potrzebny lekarzom na co dzień w ich ciężkiej pracy – powiedział Kozycki.

Lubomyr Rak podziękował również Polsce za wsparcie i dodał, że nowy sprzęt będzie bardzo pomocny dla chorych na każdym oddziale. – Jest to sprzęt, który używamy cały czas i zawsze go potrzebujemy. Jesteśmy największą kliniką leczenia płuc na całej zachodniej Ukrainie. Mamy do czynienia ze wszystkimi zaburzeniami układu oddechowego, w tym gruźlicy. Oczywiście jest, że

taka pomoc będzie bardzo ważna dla naszych pacjentów. Tym bardziej, że sprzęt jest przenośny, zasilany bateriami. Dzięki niemu możemy zapewnić natychmiastową pomoc pacjentom na każdym oddziale – podkreślił dyrektor lwowskiego szpitala.

Kierownik Centrum Leczenia Chorób Płuc również poinformował, że obecnie na leczeniu przebywa 26 pacjentów z zapaleniem płuc. U czterech osób potwierdzono zarażenie koronawirusem. Jeszcze cztery osoby czekają na wyniki testów.

Konsul generalny RP we Lwowie podsumowała, że to dopiero początek wsparcia i że Fundacja Solidarności Międzynarodowej ma zamiar przekazać kolejny sprzęt szpitalom we Lwowie, Rudkach i Sokalu.

Sprzęt został sfinansowany ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w ramach programu współpracy rozwojowej „Polska pomoc”.

Prezes Solidarności Międzynarodowej Rafał Dzieciółowski w wywiadzie dla TVP Polonia podkreślił, że jest to przejaw ogólnoludzkiej solidarności oraz gest wobec mieszkańców Lwowa, bardzo bliskiego Polakom miasta na Ukrainie.

– Ponieważ pandemia ma charakter globalny, to odpowiedź powinna być uniwersalna. Ta początkowa ucieczka w partykularne nacjonalizmy i zamykanie się w obrębie własnych państw to jest droga donikąd. Odpowiedź musi być uniwersalna i muszą w nią być zaangażowane wszystkie państwa. W tym sensie pojęcie solidarności międzynarodowej nowego i niesłuchanie aktualnego znaczenia – powiedział Rafał Dzieciółowski.

Na zakończenie podsumował, że fundacja wsparła nie tylko Ukrainę, ale także inne kraje partnerstwa wschodniego m.in. Białoruś, Gruzję i Moldawię.

Wybory Prezydenta RP 2020 we lwowskim okręgu konsularnym

Głosowanie za granicą w wyborach Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w 2020 r. we lwowskim okręgu konsularnym zgodnie z postanowieniem Marszałka Sejmu RP z dnia 5 lutego 2020 r. (Dz. U. poz. 184) w sprawie zarządzenia wyborów Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej oraz art. 39 § 2 ustawy z dnia 5 stycznia 2011 r. ustawy – Kodeks wyborczy (Dz. U. z 2019 r. poz. 684 i 1504 oraz z 2020 r. poz. 568) w obwodach głosowania za granicą, utworzonych w okręgu konsularnym Konsulatu Generalnego RP we Lwowie **głosowanie w wyborach Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej odbędzie się w niedzielę, 10 maja 2020 r. w godz. 7.00–21.00.**

Jeżeli żaden z kandydatów na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej nie uzyska więcej niż połowy ważnie oddanych głosów 14 dni po terminie pierwszego głosowania przeprowadza się ponowne głosowanie. Zatem ewentualne ponowne głosowa-



nie miałyby się odbyć w niedzielę 24 maja 2020 r. w godz. 7.00–21.00.

Minister Spraw Zagranicznych utworzył obwody głosowania za granicą. Wykaz obwodów zawiera załącznik do rozporządzenia Ministra Spraw Zagranicznych z dnia 20 kwietnia 2020 r. w sprawie utworzenia obwodów głosowania w wyborach Prezydenta RP w 2020 r. dla obywateli polskich przebywających za granicą (Dz. U. poz. 706); tekst rozporządzenia dostępny jest na stronie: <http://dziennikustaw.gov.pl/D202000070601.pdf>.

Wyborcy za granicą, zgodnie z obecnie obowiązującym stanem prawnym, będą mogli zgłaszać w obwodach głosowania utworzonych

za granicą, wyłącznie osobiście. Należy jednak przypomnieć, iż 6 kwietnia 2020 r. Sejm uchwalił ustawę o szczególnych zasadach przeprowadzania wyborów powszechnych na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej zarządzonych w 2020 r., która obecnie podlega rozpatrzeniu przez Senat. Proces legislacyjny nie został dotąd zakończony. Ustawa ta – w razie jej wejścia w życie – będzie stanowić podstawę prawną do przeprowadzenia wyborów Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w 2020 r. w formie głosowania korespondencyjnego.

Zgodnie z rozporządzeniem Ministra Spraw Zagranicznych z dnia 20 kwietnia 2020 r. w sprawie utworzenia obwodów głosowania w wybo-

rach Prezydenta RP w 2020 r. dla obywateli polskich przebywających za granicą (Dz. U. poz. 706) na terenie okręgu konsularnego Konsulatu Generalnego RP we Lwowie został utworzony 1 obwód głosowania:

1. Obwód głosowania nr 142, siedziba obwodowej komisji wyborczej: Ivana Franki 108, 79011 Lviv.

Osoby uprawnione do głosowania za granicą

Prawo wybierania w obwodzie utworzonym za granicą w wyborach Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej ma obywatel polski, który:

1. Najpóźniej w dniu głosowania kończy 18 lat,
2. Nie został pozbawiony praw publicznych prawomocnym orzeczeniem sądu,
3. Nie został ubezwłasnowolniony prawomocnym orzeczeniem sądu,
4. Nie został pozbawiony praw wyborczych prawomocnym orzeczeniem Trybunału Stanu.

(cd. na s. 2)

Europa nowej równowagi

W dzienniku „Frankfurter Allgemeine Zeitung” 23 kwietnia br. ukazał się artykuł premiera Polski Mateusza Morawieckiego na temat współpracy gospodarczej w walce z kryzysem. Zapraszamy do lektury artykułu w języku polskim.

„Nie jesteśmy winni, a mimo to jesteśmy odpowiedzialni” – pisał niegdyś Hermann Hesse. Dziś mierzymy się z największym kryzysem zdrowia publicznego, kryzysem społecznym i gospodarczym ostatnich dziesięcioleci. I choć nadejścia pandemii nikt nie przewidział i nie uniknął, to w dużej mierze od nas zależy jej długofalowe konsekwencje.

Ekonomiści wskazują, że Chiny czeka największe spowolnienie gospodarcze od kilkudziesięciu lat, a w Stanach Zjednoczonych bezrobocie może osiągnąć nawet 20%. Największe gospodarki świata chcą przeznaczyć w ramach swoich pa-

wytwórcze w tanie regiony azjatyckie, zaniebując rodzime źródła zaopatrzenia. Co dziś wydaje się przewrotne, dyscyplina finansowa, którą realizowała Komisja Europejska zmuszała Państwa Członkowskie do trudnych wyborów, często prowadzących do zmniejszania wydatków publicznych na zdrowie. Ale to nie powód do uzalania się nad sobą, ale do wzięcia sprawy w swoje ręce.

Dziś pierwszą zasadą nowej europejskiej równowagi powinno być odbudowanie zdolności do przeciwdziałania konsekwencjom tego rodzaju zbiorowych kryzysów. Europa

niejących kwot jest jedynie namiastką krótkotrwałej taktyki przetrwania. A Europa potrzebuje strategii odbudowania swojej pozycji.

Unia powinna przeznaczyć całym nowymi środkami finansowymi (być może w ramach funduszu „Recovery”) na przeciwdziałanie skutkom gospodarczym pandemii. Wiemy z przeszłości, że strategia austerity – zaciskania pasa w dobie kryzysów lat 2007–2013 – nie sprawdziła się.

Wciąż mamy komfort wskazania nowych źródeł finansowania. Wprowadzenie podatków FTT, cyfrowego, od śladu węglowego importu z państw trzecich czy Single Market



kietów fiskalnych 4,8 biliona dolarów na walkę ze skutkami COVID-19. To niemal trzykrotnie większe kwoty niż te, które zostały uruchomione w trakcie kryzysu lat 2007–2009.

Dlatego dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy Europy Solidarności – z ambitnym budżetem i nową, odbudowaną równowagą. Funkcjonowanie Unii Europejskiej musi napędzać ambicja solidarności współpracy gospodarczej podjętej w celu ochrony zintegrowanego europejskiego rynku.

Musimy mieć świadomość, że decyzje, które podejmujemy dzisiaj, mają charakter egzystencjalny. Musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, aby ocalić europejskie marzenia, plany i ambicje. To niewiarygodnie trudne zadanie, bo wymagające równoczesnego działania na wielu płaszczyznach. Gospodarka i zdrowie potrzebują obecnie pilnego planu ratunkowego. Już dziś powinniśmy zarysować najważniejsze zasady nowej równowagi europejskiej.

Kluczowe kryterium

Pandemia koronawirusa brutalnie uświadomiła nam kruchość naszego porządku społeczno-gospodarczego. Pokazała jak bardzo Europa jest uzależniona choćby od łańcuchów dostaw z innych kontynentów. Szukając oszczędności i tnąc koszty produkcji wiele europejskich firm przeniosło procesy

potrzebuje kompleksowego pakietu ożywienia gospodarczego stymulującego europejską ekonomię. Konieczna jest nasza wspólna zgoda w kwestii ambitnego kształtu Wieloletniego Ram Finansowych oraz zwiększenie środków własnych, dochodów UE. Tylko w ten sposób odnajdziemy równowagę, która zanikła w wyniku wewnętrznych podziałów i wzajemnych animozji.

Doceniamy, że Unia ułatwiła swoim członkom warunki przeciwdziałania kryzysowi – powołała instrumenty zapewniające gwarancje dla pożyczek i bardziej elastyczne zasady korzystania z funduszy europejskich. Uproszczono też prawo przyznawania pomocy publicznej w państwach członkowskich oraz czasowo zawieszono reguły Paktu Stabilności i Wzrostu. Każde państwo członkowskie, jedne szybciej a drugie później, w ramach swoich budżetów krajowych rozpoczęły akcje ratowania miejsc pracy i gospodarki. Aby jednak Europa odzyskała wzrost i blask, musimy razem zrobić więcej.

Budżet skrojony na miarę czasów

Musimy dziś pozbyć się lęku przed ambitnym budżetem. W dobie obecnego kryzysu najbardziej efektywną formą unijnej pomocy będą środki przeznaczone na politykę spójności i rolną. Jednak samo przesuwanie środków w ramach już ist-

Fee stanowiłoby cenne źródło własnych dochodów Unii.

Kolejnym wciąż nierozwiązanym działaniem jest ograniczenie oszustw podatkowych. Kraje Unii tracą rocznie co najmniej 200 mld euro z powodu transgranicznych nadużyć systemów podatkowych (VAT, CIT, szara strefa). To więcej niż tegoroczny budżet UE. Europejską racją stanu jest zlikwidowanie rajów podatkowych. To wielkie rezerwy i pokazują potencjał finansowy Europy. Tu i teraz musimy wypracować środki na nowe wielkie inwestycje w innowacje, infrastrukturę i odbudowę wielu ogniw łańcucha produkcji w Europie.

Przewodnicząca Komisji Europejskiej stwierdziła niedawno, że „w ciągu ostatnich czterech tygodni Europa zrobiła więcej niż w pierwszych czterech latach ostatniego kryzysu”. To prawda. Wspólnota stawia dzisiaj czoło bezprecedensowym wyzwaniom. Ale to i tak dopiero pierwszy kilometr w maratonie który nas czeka. To jak poradzimy sobie z konsekwencjami pandemii, zdefiniuje na nowo Unię Europejską. „Przyszłość zaczyna się dzisiaj, nie jutro” mówił św. Jan Paweł II. Czas naszego działania jest teraz.

MATEUSZ MORAWIECKI

prezes Rady Ministrów RP

KRYSTIAN MAJ

zdjęcie

źródło: www.gov.pl

Konsulat RP we Lwowie uczcił pamięć ofiar katastrofy smoleńskiej i zbrodni katyńskiej

Konsulat Generalny RP we Lwowie zorganizował skromne uroczystości z okazji 10. rocznicy katastrofy smoleńskiej i 80. rocznicy zbrodni katyńskiej.

EUGENIUSZ SAŁO
tekst i zdjęcie

Symbolicznie o godzinie 9:41 czasu ukraińskiego (8:41 czasu polskiego) konsul generalny RP we Lwowie Eliza Dzwonkiewicz wspólnie z polskimi dyplomatami złożyła biało-czerwony wieniec i zapaliła znicze

Piątek. Natomiast jestem pewna, że wielu z nas w modlitwach pamięta o tych, którzy wtedy zginęli – podkreśliła.

Kierownik lwowskiej placówki konsularnej ze smutkiem wyznała, że do dzisiaj nie udało się wyjaśnić katastrofy smoleńskiej. – To co nas bardzo boli i chyba nikt z nas nie jest



przed banerem ze zdjęciami 96 ofiar katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem. Plakat ze zdjęciami ofiar tragicznego lotu wystawiono przed budynkiem polskiego konsulatu.

Konsul generalny RP we Lwowie Eliza Dzwonkiewicz podkreśliła, że ofiar katastrofy smoleńskiej uczczono w sposób symboliczny, składając kwiaty i modląc się w ich intencji.

– Mamy dzisiaj sytuację, w której nie możemy tak jakbyśmy bardzo mocno chcieli, przypomnieć tych wszystkich, którzy polecili do Smoleńska, aby oddać hołd polskim oficerom zamordowanym w Katyniu. Ale pamiętamy o nich. Zgromadziliśmy się, mimo trudnej sytuacji z pandemią, z ograniczeniami, z tym, że

spokojny w tej sprawie, że nie udało się ostatecznie wyjaśnić, co tam się stało. Czujemy niedosyt i mamy nadzieję, że poznamy prawdę, bo jest ona szalenie istotna. Ale ten czas, który bardzo szybko upływa, działa na niekorzyść i nie wiemy czy kiedyś poznamy prawdę – podsumowała.

Konsul generalny Eliza Dzwonkiewicz wspólnie z konsulem Rafałem Kocotem i proboszczem katedry lwowskiej ks. Janem Niklem złożyli również kwiaty i pomodlili się pod tablicą upamiętniającą ofiary zbrodni katyńskiej, znajdującą się w bocznym ołtarzu świątyni.

10 kwietnia 2010 roku, o godzinie 8:41 w pobliżu lotniska Smoleńsk Północny rozbił się samolot specjalny



trzeba zachowywać się bezpiecznie, rozsądnie i odpowiedzialnie. Ale nie mogliśmy nie uczcić tej rocznicy. Zrobiliśmy to chyba w jedyny możliwy dzisiaj sposób. Ci, którzy uznali, że są gotowi wyjść, spotkać się tutaj po prostu przyszli i pod tablicą z wizerunkami osób, które zginęły dziesięć lat temu, te wieniec złożyliśmy – zaznaczyła pani konsul.

Konsul generalny dodała, że ze względu na Wielki Piątek nie będzie odprawiona tradycyjna msza święta w intencji ofiar. – Wcześniej już było wiadomo, że nabożeństwa nie będą się odbywały w tym dniu, ze względu na przypadający 10 kwietnia Wielki

Tu-154M. Polska delegacja leciała nim na uroczystości upamiętniające 70. rocznicę mordu NKWD na polskich oficerach w Katyniu. Na pokładzie znajdowało się 96 osób, wśród nich prezydent RP Lech Kaczyński i jego małżonka Maria, ostatni prezydent na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski, wicemarszałkowie Sejmu i Senatu, grupa parlamentarzystów, dowódcy wszystkich rodzajów Sił Zbrojnych RP, pracownicy Kancelarii Prezydenta, szefowie instytucji państwowych, duchowni, przedstawiciele ministerstw, organizacji kombatanckich i społecznych, oraz osoby towarzyszące, a także załoga samolotu.

Egzaminy on-line II etapu IV Olimpiady Historii Polski dla Polonii i Polaków za granicą – 1 tydzień

Za nami pierwszy tydzień egzaminów on-line II etapu Olimpiady Historii Polski dla Polonii i Polaków za granicą „W drodze do Niepodległości”. Do egzaminów przystąpili uczniowie z Ukrainy, Białorusi i Grecji przed dwoma komisjami egzaminacyjnymi z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie i Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego z Olsztyna.

Do II etapu Olimpiady zostało zakwalifikowanych 90 uczniów z Ukrainy, Białorusi, Litwy, Niemiec, Austrii, Holandii, Belgii, Francji i Grecji. W marcu odbyły się egzaminy w Monachium dla uczniów z Niemiec i Austrii, oraz w Wilnie dla uczestników z Litwy. Zgodnie z decyzją Komitetu Głównego Olimpiady w związku z epidemią egzaminy dla pozostałych uczestników Olimpiady odbywają się on-line.

22 kwietnia 2020 r. przed komisją egzaminacyjną Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie pod przewodnictwem prof. dr hab. Marka Siomy, z udziałem prof. dr hab. Ma-



gorzaty Nossowskiej i prof. dr hab. Piotra Bednarza, stanęli uczestnicy z Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego w Iwano-Frankiwsku.

23 kwietnia br. przed komisją Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego pod przewodnictwem prof. dr hab. Andrzeja Korytko, z udziałem prof. dr hab. Barbary Krysztopy-Czupryńskiej i prezesa Fundacji Wolność i Demokracja – Roberta Czyżewskiego, odpowiadali uczniowie z Zespołu Szkół im. Zygmunta Mineyki przy Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Atenach oraz Polskiej Szkoły Sobotniej przy Stowarzyszeniu „POLONIA” im. K. Szymanowskiego w Kropywnymkim.

24 kwietnia egzaminy odbywały się przed dwiema komisjami: przed komisją egzaminacyjną Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie pod przewodnictwem prof. dr hab. Marka Siomy, z udziałem prof. dr hab. Małgorzaty Nossowskiej i prof. dr hab. Piotra Bednarza, stanęli uczniowie szkoły średniej nr 10 im. św. Marii Magdaleny we Lwowie, SKP im. E. Felińskiej na Wołyniu w Łucku, Centrum Kulturalno-Oświatowego „Orzeł Biały” we Lwowie, Polskiej sobotniej szkoły im. Mikołaja Reja w Żydaczowie oraz Polskiej Szkoły Sobotniej przy ZNP w Chmielnickim.

Przed komisją Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego pod przewodnictwem prof. dr hab. Andrzeja Korytko, z udziałem prof. dr hab. Barbary Krysztopy-Czupryńskiej i prezesa Fundacji Wolność i Demokracja – Roberta Czyżewskiego, odpowiadali uczniowie z Domu Polskiego w Kijowie oraz Polsko Sobotniej Szkoły w Kijowie przy ZPU oraz uczestnicy z Białorusi, uczniowie Polskiej Szkoły Społecznej im. Króla Stefana Batorowego Przy ZPB w Grodnie, Państwowego Urzędu Oświaty „Strihińska średnia szkoła” w agromiasteczku Strihiń, Polskiej Szkoły Społecznej przy ZPB w Mińsku.

Wszystkie egzaminy udało się przeprowadzić zgodnie z planem.

Pomimo różnych przeszkód i wyzwań (od awarii WiFi po stęsknione koty i psa oraz głodne dzieci w tle) zarówno uczestnicy jak i członkowie komisji stanęli na wysokości zadania.

Uczestnikom, którzy już przystąpili do Olimpiady serdecznie gratulujemy, za pozostałych trzymamy kciuki, od poniedziałku kolejne zmagania. Wszystkich prosimy o trzymanie kciuków za dalsze egzaminy i finałowy – III etap Olimpiady.

I etap IV Olimpiady Historii Polski odbył się w 25 szkolnych komisjach egzaminacyjnych w 10 krajach. W dniach 15 i 16 listopada 2019 roku młodzież polskiego pochodzenia

przystąpiła do egzaminu pisemnego Olimpiady Historii Polski na terenie: Ukrainy – w Chmielnickim, Kijowie, we Lwowie, w Łucku, Równem, Winnicy, Żytomierzu, Odessie, Kropywnymkim i Krzywym Rogu; Białorusi – w Grodnie, Mińsku, Bereznie; Litwy – w Wilnie; Niemiec – w Berlinie, Monachium, Norymberdze, Remseck; Austrii – w Wiedniu; Holandii – w Hadze; Belgii – w Antwerpii i Mons; Norwegii – w Oslo; Francji – w Paryżu oraz Grecji – w Atenach. Ponad 300 osób zmierzyło się z pytaniami z zakresu historii Polski od Piastów do współczesności. Oficjalna inauguracja IV edycji Olimpiady odbyła się 16 listopada 2019 roku we Lwowie w Szkole Średniej nr 10 im. św. Marii Magdaleny.

III etap Olimpiady planowany jest...

Nagrodą główną dla grupy laureatów Olimpiady Historii Polski są indeksy na Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Uniwersytet Opolski oraz Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie. Dodatkowo dla uczestników III etapu przewidziane są nagrody rzeczowe, w tym kilkudniowy pobyt w Polsce (i tego nadal się trzymamy).

Olimpiada Historii Polski dla Polonii i Polaków za granicą jest inicjatywą Polskiego Towarzystwa Historycznego organizowaną przez Fundację Wolność i Demokracja. W skład Komitetu Głównego Olimpiady wchodzi członkowie Polskiego Towarzystwa Historycznego, profesorem reprezentujący poszczególne Uniwersytety oraz przedstawiciele Fundacji. Partnerami Olimpiady są Departament Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Ośrodek Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą, przy wsparciu placówek Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Instytutu Pamięci Narodowej.

ANNA ŚMIGIELSKA
sekretarz Olimpiady

Wiersz wielkonocny w czasie zarazy



Agata Kalinowska-Bouvy – znana polska poetka, dziennikarka i publicystka. Urodziła się w Warszawie, od roku 1984 mieszka we Francji. Jest czytelniczką naszego pisma. Kiedyś poznaliśmy się w Opolu podczas Forum Mediów Polonijnych, zorganizowanym przez Towarzystwo „Polonia-Kresy”. Wymieniamy się życzeniami świątecznymi. W tym roku w okresie Wielkiego Postu koronawirus zanurzył nas wszystkich w kwarantannę.

„A jak to u Was się odbywa?” – napisała do mnie na FB. – U nas

bardzo ciężko z zakupami, cztery dni próbowałam załatwić sobie przez Drive zamówienie, oczekujemy tydzień na odbiór, wielu produktów nie ma. Najważniejsze jest to żeby być zdrowym, a reszta jakoś będzie!.. Jeśli mogę radzić, to zrobienie choć trochę zapasów, bo ludzie łatwo wpadają w panikę”. Jeszcze wysłała projekt maseczki. A na Wielkanoc Agata Kalinowska-Bouvy rozpowszechniła swój wiersz pod tytułem: „Wielkanocny e-mail do Boga”.

Konstanty Czawaga

Wielkanocny e-mail do Boga

Bądź pozdrowiony Boże,
W dzień Wielkanocnego spotkania.
Dziś Kościół bram nie otworzy,
Zapraszam Cię do mieszkania,
Tu choć nie ma kaplicy,
Msza Święta w moim salonie
Z komputera, a przed nim stawiam
Krzyż kwiaty i świeca płonie.
Z bliskimi łączę się w myślach
W dniu Pana Zmartwychwstania.
Dziś ekran nam jeno zastąpił,
Z rodziną, bliskimi spotkania,
Gdy większość z nas samotnie
Zasiądzie w święta do stołu.
Bliscy jedynie w sercu,
Jedynie w myślach pospolu.
Toż przyszło nam tej wiosny
Jako ci pastelnicy
Ujść w zacisze schronienia,
Wszem pustki na ulicy.
Gdy zaraza grasuje,
Przenika po kryjomu,
W Tobie jest nadzieja,
Zło nie wtargnie do domu.
Boże, dziś Syn Twój żywy
Do życia przywrócony.
Alleluja światem się niesie,
Anielskie biją dzwony.
W mym pacierzu Cię proszę,
W Twoje Odrodzenie,
Weź nas pod Twą opiekę,
Ześlij zdrowie na ziemię.

WYWROTOWY SEN GNIEWNEGO LEOSIA

Zamierzał raz Leos poczytać „Kurierka”
gdy wtem się zakradła doń ćmaga kwatarka.
Nie przelął się Leos, wychylił aż młasnął,
i tak się pogrążył w lekturze, że zasnął...

Przez sen nagle gromko zachrapał: „Narodziel!”
Idź za mną, odwagi, ruszajmy w pochodziel!”
- Leosiu - lud na to - rząd dusz bierz i prowadź!
Marsz, światu na odsiecz! Zaczniemy ze Lwowa!”

Wzburzyły się masy, zerwały kajdany,
dudniły ulice, dymili majdany,
braterskie kolumny szły z dumą i śpiewem,
tłum głośno skandował zanosząc się gniewem:

„Nie damy się zwodzić, żądamy konkretów!
Po pierwsze powrotu tych pań z Kabaretu!
Natalia - wołano - Oksana, Tatiana!”
Ktoś prosić się rzucił, wśród łez, na kolana.

Wtem nagle błysk jasny rozświetlił niebiosa
i w krąg się rozniosło w anielskich stu głosach,
że zagra kabaret: „LWÓW. DZIŚ. CZWARTA RANO”.
A gwoli ścisłości półgłosem dodano,

że program jak zwykle dotyczy miłości,
zaś razem z paniami na scenie gości
Sławomir i Dmytro and Wiktor i Grisza,
o którym się mówi „huragan w klawiszach”.

Cały Lwów, niby wulkan, zakipiął od braw.
Ludzkość widać się w płasach zawyla: „Law! Law!”
Pragnęła się zbliżyć znów dusza do duszy.
„Kabaret! Avanti!” - ktoś krzyknął i ruszył.

Prospektem Swobody, wśród łkań i pojednań
pod wodzą Leosia lud parł wprost do sedna,
gdyż hasła wznosili spragnieni mężczyźni -
„Kobieto, pamiętaj - mężczyzna też bliźni!”

Zaś panny poniosły transparent: „Facecie,
pokochaj dobrego człowieka w kobiecie!”
Tuż pod nim lwowianki w zadartych sukienkach
kroczyły na szpilkach wołając: „Jurtenka!”

Tak roztoczył po świecie „swą słodycz ten gród”,
że człek goły by polazł do ula „po mniód”!
Gdy z gardeł zagrzmią ta piosnka klasyka,
sam Wieszczył do zebranych przemówił z pomnika:

„Mój ludu - zawołał - idź wolny, zrzuć maski!”
I znów się rozległy radosne oklaski,
już każdy każdemu był gotów dać buził
Lecz Leos się wtedy, niestety, obudził.



Kurier Galicyjski



Tekst: Sławomir Gowin

Lwów antyczny (cz. I)

Rozmowa ANNY GORDIJEWSKIEJ z MARIUSZEM OLBROMSKIM, literatem i muzealnikiem, animatorem działań kulturalnych.

Rozmawiamy na wiele tematów, a jest Pan z wykształcenia polonistą i filologiem klasycznym, więc znawcą kultury antycznej. Może i temu zagadnieniu poświęćmy naszą rozmowę. Czy kultura starożytnej Grecji i Rzymu jest obecna we Lwowie?

Jak najbardziej, dla mnie jest to bardzo czytelne. Świadczy o tym, że miasto od wieków jest mocno zakorzenione w kulturze zachodnioeuropejskiej, której kolebką – jak wiadomo – była starożytna Grecja i Rzym. Lwów bez wątpienia należy do tego kręgu kulturowego. Bardzo widoczne jest to – już na pierwszy rzut oka – w rzeźbie, architekturze, czy malarstwie. Przy czym, co ważne, często jest to czytelne w dziełach najwyższej próby artystycznej. Są to prace przede wszystkim polskich artystów, ale też wielu europejskich. A gdyby głębiej na to zakorzenienie Lwowa jeszcze spojrzeć – to także widać je w znakomitych osiągnięciach w zakresie badań naukowych nad kulturą antyczną, w świątyniach



Rynek. Fontanna-studnia z posągiem Neptuna dłuta Hartmana Witwera, ok. 1800 r.

dorównać mieszkańcom Italii. W grodzie osiadali kupcy włoscy, greccy, ormiańscy, włoscy, inni. Budowali kamienice w stylu renesansowym, otaczali się sztuką nawiązującą do antyku. Od XVI wieku antyk we Lwowie zawierał sojusz z każdym nowym stuleciem.

Może proszę podać kilka przykładów inspiracji kulturą i sztuką antyczną...

Jest ich wiele, trudno choćby wymienić te najbardziej znane. Już kiedy stanie się w centrum miasta, na rogach Rynku, od razu rzucają się w oczy rzeźby o tematyce mitologicznej przypuszczalnie według projektu Hartmana Witwera lub Schimslera. To okazałe studnie-fontanny z początku XIX wieku. Neptun podnosi harpun, jego żona Amfitryta, bogini mórz, czuwa nieopodal. Diana zaprasza na łowy. Piękny Adonis, umiłowany Afrodyty, wylania się z podziemi, może aby zobaczyć Lwów. Dalej, gdy się pójdzie wzdłuż pierzei rynku, po ulicach i uliczkach starówki na fasadach kamieniec widać liczne płaskorzeźby o tematyce mitologicznej i antycznej. W kamienicy królewskiej, na dziedzińcu, widzimy rzędy białych kolumn – twórczy i piękny sojusz kultury antycznej z renesansem. Każdego kto odwiedza katedrę łacińską zachwyci renesan-

A dla Pana osobiście jakie dzieło związane z mitologią grecką we Lwowie jest najbardziej przejmujące?

Najbardziej sławna kurtyna według projektu Henryka Siemiradz-



Rynek. Fontanna-studnia z posągiem Adonisa, dłuta Hartmana Witwera, ok. 1800 r.

sowa kaplica Kampianów, która jest najpiękniejszą i najcenniejszą z kaplic w tej świątyni, posiada bogaty wystrój rzeźbiarski wykonany z barwnego marmuru i alabastru. Na Cmentarzu Łyczakowskim budzi zadumę wiele antykizujących rzeźb przedstawiających Thanatosa, boga śmierci. Często już w wersji chrześcijańskiej ze skrzydłami jako Anioła Śmierci. Bogate, bo liczące 58 tys. eksponatów zbory Lwowskiej Galerii Sztuki obejmują dzieła sztuki już od czasów starożytnych. Zainteresowanie antykiem widać też w dziełach malarskich, między innymi w twórczości Jana Styki i Henryka Siemiradzkiego. Jan Styka, który tworzył przez wiele lat we Lwowie, gdzie miał dom i pracownię malarską, znany jest przede wszystkim jako współautor „Panoramy Raclawickiej”, wielu innych obrazów o tematyce batalistycznej i religijnej. Warto jednak pamiętać, że namalował on też piękne obrazy-ilustracje do *Iliady* i *Odysei* Homera, a także do *Quo vadis* Henryka Sienkiewicza, arcydzieła, którego akcja – jak wiadomo – rozgrywa się w starożytnym Rzymie.



Rynek. Fontanna-studnia z posągiem Amfitryty, dłuta Hartmana Witwera, ok. 1800 r.

sąd trwa z każdą odsłoną nowego tygodnia, miesiąca, roku. Gmach teatru – jak wiadomo ma charakter eklektyczny – ale warto wspomnieć, że projektant Zygmunt Gorgolewski, nieprzypadkowo gmach upiększył kolumnami greckimi w trzech podstawowych porządkach: doryckim, jońskim, korynckim. Wnętrze też zdobia antykizujące rzeźby alegoryczne przedstawiające Poezję i Muzykę, Komedię i Tragedię autorstwa Stanisława Wójcika.

Dawniej wiele mieszkań lwowskich miało na wyposażeniu też szereg dzieł antykizujących, gromadzono je z upodobaniem. Oczywiście były różnej wartości artystycznej. Często określenie „rzemiosło artystyczne” było w odniesieniu do nich dużą przesadą. Jeszcze dzisiaj czasem można je spotkać na targach staroci, choćby w pobliżu gmachu Teatru Opery i Baletu.

No dobrze, a jakie są dzieje badań naukowych we

Lwowie nad literacką kulturą antyczną?

W tym zakresie miasto rzeczywiście zapisało się w dzieje nauki europejskiej złotymi zgłoskami. We Lwowie pod koniec XIX wieku i w okresie dwudziestolecia międzywojennego wykształciło się, a potem twórczo pracowało na uniwersytecie oraz w gimnazjach Lwowa i okolicznych miast, wielu wybitnych filologów klasycznych, badaczy, tłumaczy i popularyzatorów antyku. Później, część z nich, która zdołała przetrwać kataklizm II wojny światowej, przeniosła się w głąb kraju i już po wojnie przyczyniła się do kontynuacji badań nad literaturą starogrecką i rzymską w Polsce, szczególnie w Warszawie, Krakowie i Wrocławiu. Dzieje filologii klasycznej we Lwowie to bardzo chlubna karta naszej nauki.

Kto należał do tej plejady znawców kultury starożytnej?

Pierwszą taką postacią był Ludwik Ćwikliński, który od 1876 roku został profesorem Uniwersytetu Lwowskiego, gdzie wykładał filologię klasyczną, archeologię i historię starożytną. Później kierował Katedrą Filologii Klasycznej. Następnie był dwukrotnie dziekanem Wydziału Filozoficznego, prorektorem, a nawet rektorem Uniwersytetu Lwowskiego. Udzielał się społecznie, pełnił funkcję prezesa Towarzystwa Kursów



Rynek. Fontanna-studnia z posągiem Diany, dłuta Hartmana Witwera, ok. 1800 r.

dziełach literackich. Lwów potrafił z dziedzictwa kultury antycznej twórczo czerpać. Antyk wkroczył do miasta w okresie renesansu, epoki która jak wiadomo, odkryła kulturę dawnej Grecji i Rzymu na nowo. Wielu mieszkańców miasta podróżowało wówczas nad Morze Śródziemne, do stolicy Italii, do Aten, innych miast i miejsc. Przywozili ze sobą zachwyty pięknem krajobrazów, architekturą, rzeźbą, stamtąd czerpiąc różne inspiracje artystyczne i nie tylko. Okres renesansu był dla miasta wyjątkowo szczęśliwy, Rzeczypospolita rozwijała się świetnie, przez Lwów wiódł wielki i ważny międzynarodowy szlak handlowy. Na kupiectwie i rzemiośle bogacili się mieszczanie, dochodząc czasem do wielkich fortun. Zamożni patrycjusze kształcili się często w Padwie i Bolonii, starali się później we Lwowie stylem i poziomem życia

Jest ich wiele, trudno choćby wymienić te najbardziej znane. Już kiedy stanie się w centrum miasta, na rogach Rynku, od razu rzucają się w oczy rzeźby o tematyce mitologicznej przypuszczalnie według projektu Hartmana Witwera lub Schimslera. To okazałe studnie-fontanny z początku XIX wieku. Neptun podnosi harpun, jego żona Amfitryta, bogini mórz, czuwa nieopodal. Diana zaprasza na łowy. Piękny Adonis, umiłowany Afrodyty, wylania się z podziemi, może aby zobaczyć Lwów. Dalej, gdy się pójdzie wzdłuż pierzei rynku, po ulicach i uliczkach starówki na fasadach kamieniec widać liczne płaskorzeźby o tematyce mitologicznej i antycznej. W kamienicy królewskiej, na dziedzińcu, widzimy rzędy białych kolumn – twórczy i piękny sojusz kultury antycznej z renesansem. Każdego kto odwiedza katedrę łacińską zachwyci renesan-

Academickich dla Kobiet. W pracy naukowej zajmował się historiografią i poezją grecką oraz literaturą polskolacińską. Przygotował, między innymi, pierwsze kompletne wydanie dzieł Klemensa Janickiego, poety polskolacińskiego. Zajmował się dziełami Tukidydesa, badał przekłady Homera. Przez dwa lata prowadził też badania archeologiczne we Włoszech i Grecji. Od 1894 roku redagował czasopismo *Eos*, poświęcone kulturze antycznej, które ukazuje się do dziś w Polsce.

A kto jeszcze?

Trzeba o nich wspomnieć bardzo lapidarnie, choć o dokonaniach każdego z nich można by prowadzić osobną i długą rozmowę. Do tej plejady należeli profesorowie: Marian Auerbach, lwowianin, polski filolog klasyczny żydowskiego pochodzenia. W czasie II wojny światowej został zamordowany przez gestapo w rodzinnym mieście. Był, między innymi, autorem wydanego po raz pierwszy w 1935 roku i później wielokrotnie

wznawianego świetnego podręcznika akademickiego Gramatyka grecka, z którego uczyłem się greki w czasie swoich studiów na Uniwersytecie Wrocławskim. Auerbach zdobył dużą popularność aktywnością wśród młodzieży szkolnej i akademickiej, w szczególności propagowaniem antyku. Pisał poczytne artykuły publikowane na łamach lwowskiego czasopisma *Filomata*, poświęconego kulturze antycznej.



Lwów. Kamienica Pillerów na skrzyżowaniu Łyczakowskiej i Wynnyczyńskiej, dawniej Czarneckiego. Figury na attyce kamienicy Pillerów z centralną postacią Ateny, dłuta J. Schimslera



Kamienicę Pillerów zdobią liczne płaskorzeźby o mitologicznej tematyce

Inną bardzo ciekawą postacią był prof. Ryszard Gansiniec, który nie pochodził ze Lwowa, ale od 1920 roku został kierownikiem I Katedry Filologii Klasycznej oraz profesorem zwyczajnym. W latach 1930–1939 był właścicielem prywatnej drukarni we Lwowie. Przez okres dwudziestolecia prowadził na uniwersytecie wykłady z hellenistyki, religioznawstwa, dziejów humanistyki polskiej, historii literatury łacińskiej i greckiej. W czasie okupacji pracował jako murarz i urzędnik w Chłodni Lwowskiej, później był przesłuchiwany przez sowietów na temat rzekomej współpracy z Niemcami i w więzieniu przesiedział do końca wojny. W 1946 opuścił Lwów w jednym z ostatnich transportów i trafił do Wrocławia.

Z kolei prof. Jerzy Kowalski, urodził się i kształcił w Krakowie, ale od 1920 otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego we Lwowie i objął III Katedrę Filologii Klasycznej. Później

został profesorem zwyczajnym. Odbył w okresie międzywojennym liczne podróże naukowe do Włoch i Grecji. Przez kilka lat pełnił na uczelni funkcję dziekana Wydziału Humanistycznego. Początek II wojny światowej spędził we Lwowie, prowadząc z żoną oraz innym profesorem filologii klasycznej Jerzym Manteufflem, herbaciarnię. Pod koniec wojny wyjechał na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i badał życie oraz działalność św. Augustyna,

które przerwała wojna. Po wojnie kontynuował studia i w 1923 uzyskał we Lwowie magisterium z filologii klasycznej i archeologii. W latach 1922–1924 był kierownikiem literackim w sławnym wydawnictwie Alfreda Altenberga, w którym zorganizował serię przekładów z literatury klasycznych oraz serię *Wielcy pisarze*. Współpracował z wieloma dziennikami lwowskimi. W latach 1924–1926 podróżował do Grecji i Włoch. Na dziesięć lat przed wybuchem II wojny światowej wyjechał do stolicy i wkrótce stał się tam jedną z czołowych postaci świata kultury.

Jakie były jego sukcesy w promowaniu kultury antycznej?

Był pisarzem, eseistą, tłumaczem, przede wszystkim erudycyjnym znawcą i popularyzatorem kultury i literatury starożytnej. Wielką popularność przyniosła mu wielokrotnie wznawiana *Mitologia*, po raz pierwszy wydana w 1924. Wznawiana także po wojnie w dużych nakładach. W 1936 roku w Berlinie za książkę „Dysk olimpijski” o igrzyskach antycz-

jego jednej z przedwojennych powieści, wydanej po raz pierwszy w 1936 roku „Niebo w płomieniach” toczy się we Lwowie. Książka w swoim czasie wzbudziła mocne polemiki, ale ją cenili przede wszystkim za piękne opisy przedwojennego Lwowa. Po wojnie Jan Parandowski jakiś czas wykładał na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, wznowił działalność jako prezes prestiżowego polskiego PEN Clubu, którą to funkcję sprawował już przed wojną. Współpracował z miesięcznikiem *Twórczość*. Cieszył się zasłużonym uznaniem, bardzo wysoko ceniono jego twórczość, czego dowodem jest fakt, że był dwukrotnie nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Mam wrażenie, że to wszystko co o nim mówię – to za mało. Jan Parandowski należy do plejady najwybitniejszych naszych pisarzy XX wieku, poczytność jego książek przez dziesiątki lat była rzeczywiście wielka i chyba nikt lepiej niż on nie przyczynił się w takim stopniu do popularyzacji antyku w Polsce.

Oczywiście, wspominam zaledwie o kilku postaciach. A iluż było

antycznej. Zupelnym fenomenem było to, że ukazywało się naraz kilka czasopism poświęconych antykowi. Tego nie było w żadnym innym mieście. Od 1927 do 1934 roku publikowano *Kwartalnik Klasyczny* – w którym czytelnicy znajdowali prace z zakresu filologii klasycznej, historii i kultury antyku. Jego kontynuacją był wydawany od 1935 roku do wybuchu wojny *Przegląd Klasyczny* – również kwartalnik. Niestrudzonym redaktorem naczelnym obu wydawnictw był wspomniany prof. Ryszard Gansiniec. Oprócz tego od 1894 roku ukazywało się wspomniane czasopismo *Eos*, a także od 1929 roku kwartalnik *Filomata*. Czyli w jednym mieście kilka czasopism. To nic, że nakłady ich były niewielkie. Ale były jednak dostępne w lwowskich księgarniach, kioskach, rozchodziły się po okolicy, po Polsce.

Czy oprócz badań nad literaturą starożytną prowadzono też badania nad filozofią starożytną i dokonywano przekładów dzieł starożytnych? Czy prowadzono badania archeologiczne? No,



Kurtyna według projektu Henryka Siemiradzkiego, *Sąd Apollona nad muzami* w Teatrze Wielkim Opery i Baletu we Lwowie

nym otrzymał brązowy medal w Olimpijskim Konkursie Sztuki i Literatury w czasie Letnich Igrzysk Olimpijskich. W 1937 otrzymał Złoty Wawrzyn Akademicki Polskiej Akademii Literatury za wybitną twórczość literacką. Miał już wtedy w swoim dorobku takie popularne książki o antyku jak, np.: *Wojna trojańska*, *Przygody Odyseusza*, *Eros na Olimpie*. W zakresie prac translatorskich najcenniejsze są jego powojenne przekłady *Wojny domowej* Juliusza Cezara, a także wspaniały przekład prozą „Odysei” Homera, który czyta się dziś jak dobrą powieść. Warto wspomnieć, że akcja

świeżych profesorów w gimnazjach i liceach we Lwowie i pobliskich miastach. To był cały ruch umysłowy i kulturowy.

Czy w związku z rozwojem badań filologicznych przed wojną rosło też zainteresowanie społeczeństwa we Lwowie antykiem? Czy zaczęły się ukazywać książki naukowe, tłumaczenia, a może także periodyki poświęcone kulturze antycznej?

W okresie międzywojennym w dość krótkim czasie powstała cała biblioteka prac poświęcona kulturze

a przede wszystkim jakie odzwierciedlenie ma kultura antyczna w polskiej literaturze, która powstawała we Lwowie i w pobliskich miastach w ciągu wieków?

Zadala pani kilka pytań. To tematy bardzo ciekawe, a zarazem wymagające trochę obszerniejszych komentarzy. Nie da się na te pytania odpowiedzieć krótko. Może więc pozostawmy je na drugą część naszego dialogu o „Lwowie antycznym”?

Dobrze, to ciekawe zagadnienia. Bardzo dziękuję za rozmowę.

Wspomóżmy 2-letniego Marianka Kobierskiego

Fundacja Charytatywna Pomoc Polakom na Kresach im. ks. dra Mosinga, zwraca się z serdeczną prośbą o pomoc dla 2-letniego Marianka Kobierskiego z Połonnego. Pięć miesięcy temu zdiagnozowano u dziecka neuroblastomę – nowotwór, który zatakował m.in. szpik kostny, wątrobę, węzeł chłonny.

Marianek od września przebywa w klinice Sant Joan de Déu w Barcelonie. Rodzice znaleźli tam szansę na uratowanie syna. Dziś dziecko jest po sześciu kursach chemii, a także po operacji; w najbliższych dniach ma rozpocząć się chemia pięciodniowa, potem radioterapia, a następnie immunoterapia. Metody



leczenia w Hiszpanii przyniosły bardzo pozytywne efekty, wiele zmian nowotworowych (przerzuty) zniknęło, ale pobyt dziecka w klinice przewidziany jest do października.

Koszty leczenia w Barcelonie są ogromne, stąd Kobierscy zwracają się z serdeczną prośbą o dalszą pomoc dla syna.

Ewentualne wpłaty prosimy kierować na konto fundacji –

BNP Paribas
23 2030 0045 1110 0000
0222 0700
z dopiskiem
„Marianek Kobierski”.

Andrzej Michalak
fundacja dr Mosinga

Jak żyje epicentrum koronawirusa na Ukrainie?

Bilety do teatru na komedię z udziałem słynnych ukraińskich aktorów Ady Rogowcewej i Akhtema Seitablaewa były prezentem dla moich rodziców jeszcze na Nowy Rok. Spektakl odbywał się wieczorem 3 marca – dokładnie wtedy, kiedy podano wiadomość o pierwszym pacjencie z koronawirusem na Ukrainie. I to właśnie w Czerniowcach, czego nikt się nie spodziewał...

MARICZKA PROCIUK
tekst i zdjęcia

Postanowiliśmy nie anulować długo oczekiwanego występu, choć trudno nam było uniknąć niepokojących myśli. I nie tylko nam. Przy wejściu do teatru, w kolejce do szatni, w sąsiednich łóżkach – krótko mówiąc wszędzie – mówiono tylko o koronawirusie. W przerwie do taty zadzwonili krewni mieszkający w jednym z bloków na obrzeżu miasta. Powiedzieli, że właśnie przez okno obserwują sąsiadów mężczyzny, u którego znaleziono COVID-19, szturmujących budynek i domagających się również izolacji jego żony. To był początek „śnieżnej kuli” ukraińskiej historii koronawirusa. I jak gorzko żartują mieszkańcy Czerniowca, nie w tym mieście trzeba było „robić Nowe Sanżary”, mając na myśli protesty... Ale o wszystkim po kolei.

Od czego wszystko się zaczęło?

Jak już wiemy, 39-letni „pacjent numer jeden” wrócił do Czerniowca z Włoch, jadąc przez Suczawę. 29 lutego został hospitalizowany z klinicznymi objawami grypy, a 3 marca dowiedział się o swojej infekcji koronawirusa. Należy powiedzieć, że jego żona, która całkowicie uspokoiła panikę sąsiadów, została odizolowana i była pod obserwacją, ale jak na ironię, nie zachorowała.

Omawiając tę wiadomość, obywatele Czerniowca byli sceptycznie nastawieni wobec informacji, że mężczyzna „pozytywny na COVID-19” prawdopodobnie nie był pierwszym pacjentem z koronawirusem w mieście, lecz jedynie pierwszym oficjalnie zarejestrowanym. Tymczasem „pionier” był leczony na oddziale zakaźnym szpitala klinicznego obwodu czerniowieckiego, skąd został wypisany 20 marca po otrzymaniu dwóch z rzędu negatywnych wyników testu w odstępie dwóch dni. Przewodniczący czerniowieckiej obwodowej administracji państwowej Serhij Osaczuk i główny lekarz Serhij Cyntar powiedzieli o tym dziennikarzom, informując też, że obwodowy szpital w Czerniowcach został wpisany do Księgi Rekordów Ukrainy i otrzymał nagrodę w nominacji „Pierwszy pacjent na Ukrainie, który wyzdrowiał od COVID-19”. To była dobra wiadomość podczas pandemii.

Drugi przypadek zakażenia koronawirusem w Czerniowcach został stwierdzony ponad tydzień później, 12 marca, u 64-letniego mężczyzny, którego żona przybyła z Włoch i który też wyzdrowiał. 16 marca dwie kolejne kobiety miały pozytywny wynik testów. Oznacza to niemały na początku odstęp czasowy pomiędzy wiadomościami o nowych zachoro-



waniach. Lecz ponieważ absolutnie nie zamierzam przekazywać statystykę czytelnikom, skoncentruję uwagę na czym innym.

Burmistrzowski-gubernatorski system powiadamiania

Trzeba wyrazić uznanie prezydentowi miasta Czerniowca Oleksijowi Kasprukowi i przewodniczącemu obwodowej państwowej administracji w Czerniowcach Serhijowi Osaczukowi: obaj urzędnicy codziennie przekazują w transmisji na żywo w sieciach społecznościowych najnowsze wiadomości z niewidzialnego, lecz odczuwalnego frontu, informując o nowych decyzjach.

„Kwarantanna to kwarantanna”

Tak w świetle bieżących wydarzeń Ukraińcy, a zwłaszcza mieszkańcy Czerniowca, parafrazują odpowiedź Petra Poroszenki Wołodomyrowi Zelerńskiemu dotyczącą debaty wyborczej na stadionie.

Biorąc pod uwagę szybkość rozpowszechniania się zakażenia koronawirusem oraz oceniając możliwości systemu opieki medycznej, władze lokalne reprezentowane m.in. przez miejską i obwodową komisję ds. bezpieczeństwa technologicznego i ekologicznego oraz sytuacji nadzwyczajnych zdecydowały się nie powtarzać smutnego doświadczenia innych europejskich krajów i miast. W celu prewencji postanowiły więc wprowadzić ograniczenia na terytorium regionu, mimo iż w Kijowie nie było o tym jeszcze mowy.

W związku z tym w obwodzie czerniowieckim od 14 marca, po informacjach o dwóch potwierdzonych przypadkach zakażenia koronawirusem, ogłoszono reżim sytuacji nadzwyczajnej na regionalnym

poziomie, podczas gdy w pozostałej części Ukrainy istniał tylko krajowy system kwarantanny dla instytucji edukacyjnych.

Zgodnie z reżimem sytuacji nadzwyczajnej zamknięto w regionie hipermarkety budowlane, supermarkety (z wyjątkiem działów spożywczych), centrum handlowe i rynki (z wyjątkiem rynku żywności), w tym Kalyniowski – jeden z największych na Ukrainie.

Dwa dni później, 16 marca, doganiając decyzję władz lokalnych rząd Ukrainy ogłosił stan sytuacji nadzwyczajnej w obwodzie czerniowieckim i żytomierskim przerywając również połączenia międzyregionalne.



Sytuacja zmieniła się 24 marca, kiedy w Czerniowcach do listy zawieszonych w pracy, dodano kantory, stacje naprawy pojazdów, sklepy zoologiczne i sklepy sprzedające nasiona oraz inne towary związane z ogrodnictwem i rolnictwem.

Zakazy zostały jednak nieco złagodzone 31 marca, kiedy Ministerstwo Ochrony Zdrowia Ukrainy zezwoliło na wznowienie pracy rynków żywności pod pewnymi restrykcyjnymi warunkami. 2 kwietnia zaczęło ponownie działać również Centrum Usług Administracyjnych w Czerniowcach

Kolejnym krokiem było całkowite zamknięcie obwodu czerniowieckiego dla transportu pasażerskiego poprzez wprowadzenie specjalnego systemu kwarantanny w dniach 3–24 kwietnia. Pięć punktów kontroli kwarantanny zainstalowano przy wyjeździe i wjeździe do regionu w pobliżu stacjonarnych posterunków policji. Wyjątki były przewidziane dla transportu towarowego, tranzytu, infrastruktury krytycznej i transportu rolnego, a także pojazdów osób fizycznych, których miejsce zamieszkania jest zarejestrowane w regionie lub którzy zamieszkują w re-

gionie i powracają do miejsca stałego zamieszkania.

Zaskoczeniem była decyzja o usunięciu ustanowionych wcześniej posterunków kwarantanny i epidemiologii we wsiach Kolinkiwci (rejon chocimski), Łużany (rejon kicmański), Czagor (rejon głybocki), Wielki Kuczuriv (rejon storożyniecki), gdzie zaobserwowano ogniska choroby większe niż w innych miejscowościach. W związku z tym w sieciach społecznościowych mieszkańcy obwodu zaczęli skarżyć się Oleksijowi Kasprukowi na nielogiczny charakter takich decyzji, mylących kompetencje regionalnej administracji państwowej i rady miasta.

Nie tylko ta decyzja była niejasna dla obywateli. W sieci Facebook późnym wieczorem 3 kwietnia Serhij Osaczuk wezwał bukowińczyków, aby nie wychodzili z domu od 13 godziny w sobotę do 6 godziny w poniedziałek 6 kwietnia, zalecając kupowanie jedzenia na dwa dni naprzód. Jednocześnie nie było oficjalnego dokumentu potwierdzającego powyższe zarządzenie. Jak później skomentował pan Osaczuk, przemówienie miało charakter jedynie rekomendacyjny. Wywołało ono jednak wiele emocji, przyczyniając się do tłumów i zwiększając kolejki przy wejściach do sklepów i supermarketów.

#zostańwdomu – nie dla wszystkich

Jeśli chodzi o miasto, całkowity zakaz poruszania się środkami transportu publicznego nie trwał długo, ponieważ spotkał się z praktyczną niewykonalnością. Infrastruktura krytyczna, oczywiście, nie przestaje przecież działać. Dlatego 19 marca podjęto decyzję o wznowieniu ruchu trolejbusów, pod warunkiem, że będą przewozić wyłącznie pracowników usług komunalnych i pracowników służb operacyjnych, przy tym nie więcej niż 10 osób w jednostce transportu na raz. Ponadto pasażerowie są zobowiązani do okazania specjalnego zezwolenia – karty wydanej przez radę miasta, która zaświadcza potrzebę dotarcia danej osoby do miejsca pracy podczas stanu sytuacji nadzwyczajnej. Inna rzecz, że takie karty zostały wydane przez radę miasta w znacznie mniejszej ilości, niż było to konieczne dla pracowników różnych przedsiębiorstw, instytucji i organizacji, których praca nie została zawieszona i przeniesiona do trybu zdalnego.

W ciągu kilku dni, między decyzją o zakazie transportu publicznego w Czerniowcach a poprawką częściowego jego przywrócenia, mieszkańcy miasta zaczęli jeździć do pracy improwizowanymi „bla-bla-karami” – właściciele samochodów zgodzili się dowozić pracowników do miejsc pracy, inicjując kampanię w mediach społecznościowych pod tytułem „podwieź lekarza do pracy”. Akcja miała charakter ogólnoukraiński, ale stolica Bukowiny nie pozostała na uboczu.

Niejednoznaczne oceny opinii publicznej otrzymała decyzja o zorganizowaniu ceremonii pożegnania 3 kwietnia na placu Centralnym Czerniowca 23-letniego bohatera, obrońcy Ukrainy Aleksandra Malanczuka, który zginął w konflikcie na Wschodzie. Moralna strona decyzji władz lokalnych nie budziła żadnej wątpliwości, mimo iż był to kolejny powód

masowego gromadzenia się ludzi w czasie maksymalnych ograniczeń spotkań.

Czy jest „broń”?

W końcu marca w jednym ze swoich wywiadów zastępczyni przewodniczącego obwodowej administracji państwowej w Czerniowcach Natalia Husak zauważyła, że zakłady medyczne mają wszystko, czego potrzebują, ale niektóre są zaopatrzone na półtora miesiąca, inne zaś – tylko na pół miesiąca. Następnie urzędniczka porównała sytuację w Czerniowcach z sąsiednimi regionami i zapewniła, że nasze szpitale są dobrze zaopatrzone.

W tym samym wywiadzie Natalia Husak powiedziała, że „obecnie ruszyła fala dobroczynności, i my (obwodowa administracja państwowa) postanowiliśmy nie wpływać na nią



w żaden sposób. Ludzie mają możliwość i chęć pomocy – to świetnie”. Ta wypowiedź została skrytykowana w mediach społecznościowych. A chodziło tu zwłaszcza o inicjatywę lokalnych blogerów, którzy utworzyli specjalną stronę w sieci społecznościowej Instagram, aby zbierać środki na niezbędny sprzęt dla szpitali i środki ochrony indywidualnej dla lekarzy. Ta działalność wolontariatu otrzymała mocne wsparcie wśród miejscowej ludności.

Obszar ten nie został poza uwagą Światowej organizacji zdrowia (WHO), której pomoc humanitarną – środki ochrony indywidualnej dla lekarzy – otrzymano w połowie marca. Jednocześnie obwód został zaopatrzonej w systemy testowe oraz szybkie testy identyfikacji osób zakażonych koronawirusem.

Jeśli chodzi o inną pomoc, to pierwsza partia pomocy Fundacji Arsenija Jaceniuka „Odkryj Ukrainę” dotarła do Czerniowców 20 marca. A na początku kwietnia poprzez Platformę Solidarności (Fundacja Petra Poroszenki) 200 paczek spożywczych dotarło do wrażliwych społecznie grup ludności w mieście. W ramach programu „Oddychaj! Razem przeciwko koronawirusowi” również PrivatBank przekazał sprzęt medyczny do szpitali w Czerniowcach o wartości 4,7 mln hrywien.

Od początku kwietnia w centrach medycznych Bukowiny jest więc 60 sztucznych wentylatorów płuc różnej jakości, z czego 33 w Czerniowcach. Proces ich naprawy w razie potrzeby i zakupu nowych jest w toku. Tak przynajmniej zapewniają urzędnicy.

Inną kwestią są zasoby ludzkie, w związku z czym Departament Ochrony Zdrowia regionalnej administracji państwowej w Czerniowcach prosi osoby posiadające lub otrzymujące wykształcenie medyczne o pomoc na zasadzie wolontariatu w

walce z rozprzestrzenieniem się koronawirusa.

Czy bukowińczyków przybyło?

Według Serhija Osaczuka, do Bukowiny przed oficjalnym zamknięciem granic przyjechało z zagranicy około półtora tysiąca pracowników i turystów, a także wracających, już z pomocą Ministerstwa Spraw Zagranicznych po 18 marca.

Szef administracji prosi wszystkich, którzy wrócili z zagranicy do czerniowieckiego regionu, aby świadomie się odizolowali i pozostali w domu, a także dołączyli do bazy danych takich osób, wypełniając specjalny formularz Google.

W tym kontekście pojawia się logiczne pytanie, na ile jak mieszkańcy regionu poradzą sobie z wypełnieniem tej aplikacji online. Co wię-

cej, czy każdy ma takie możliwości techniczne. W końcu dlaczego nie miano by współpracować z Państwem służbą graniczną Ukrainy w celu gromadzenia i systematyzacji tych danych bezpośrednio przy przekraczaniu granicy Ukrainy? Pytanie pozostaje otwarte.

Zjednoczona koronawirusem Bukowina

Interesujące byłoby znalezienie w obecnej sytuacji podobieństw pomiędzy Czerniowcami a Suczawą jako stolicami północnej i południowej Bukowiny w ocenie zagranicznych mediów.

Po obu stronach granicy ukraińsko-rumuńskiej miasta te stały się epicentrami rozprzestrzenienia się koronawirusa w dwóch sąsiednich państwach. Należy jednak zauważyć, że do niedawna w ukraińskich mediach praktycznie nie było publikacji na ten temat. Jak dotąd byliśmy znacznie lepiej poinformowani o sytuacji w walce z koronawirusem, powiedzmy, we Włoszech lub w Niemczech, niż w sąsiedniej Rumunii.

Obecnie powiat suczawski jest niestety nazywany „rumuńską Lombardią”, gdzie m.in. 24 marca poinformowano, że u przewodniczącego suczawskiej rady powiatowej Georga Flutura zdiagnozowano COVID-19.

Tak chyba wygląda zjednoczenie historycznego regionu Bukowiny, żartują dziennikarze.

Sytuacja zmienia się codziennie, dlatego władze miasta i obwodu starają się szybko i skutecznie reagować na wyzwania.

Wiemy jednak prawdopodobnie tylko to, że przez długi czas nie straci swojej aktualności mem internetowy mówiący o tym, że aby uchronić się przed koronawirusem należy myć ręce przez 30 sekund, to znaczy tyle ile trwa jeden refren napisanej w Czerniowcach „Czerwonej ruty”.

Czy Polska potrzebuje bariery bezpieczeństwa na Wschodzie

Pytanie zasadnicze, jakie sobie sam zadaję od jakiegoś czasu to – czy rzeczywiście jest nam potrzebny płot graniczny na wschodniej granicy, a jeśli tak, to jak ma on wyglądać. Innym zagadnieniem jest czy owa mityczna konstrukcja nie zrazi do nas naszych sąsiadów.

TOMASZ KOSSAKOWSKI

I tak, żeby płot udało się postawić, potrzebna jest specustawa, zakładająca masowe wywłaszczenia. Znając nasze realia zajęłoby to z poprawkami w ekspresowym tempie od 12 do 24 miesięcy.

Płot mierzyłby 1200 km. Płot miałby się zaczynać przy Zalewie Wiślanym, a kończyć w Bieszczadach. Metalowa siatka, taka jak te zabezpieczające autostrady przed zwierzętami, oddzieliłaby Polskę od Federacji Rosyjskiej, Białorusi i Ukrainy.

Pierwszym pomysłem tego typu był projekt ministerstwa rolnictwa, w którym powstał projekt specustawy w tej sprawie, zbudowanie gigantycznego płotu miałyby kosztować 235 mln złotych.

Ministerstwo chciało, aby pieniądze na inwestycję pochodziły z budżetu państwa; konkretnie ze środków przeznaczonych na inwestycje w poszczególnych województwach, rezerw celowych i pieniędzy przeznaczonych na usuwanie skutków klęsk żywiołowych. Projekt dopuszczał także finansowanie budowy i utrzymania płotu przez samorządy.

Zdaniem resortu rolnictwa, bariera miała powstrzymać dziki z wschodniej granicy kraju. A co za tym idzie, pomóc powstrzymać rozprzestrzenienie się ASF. Ta zabójcza dla świń choroba przywędrowała do Polski cztery lata temu za sprawą dzików właśnie z wschodniej granicy. Projekt specustawy zakładał uproszczenie procedur administracyjnych potrzebnych przy budowie. Właściciele gruntów, na których miałaby powstać bariera, byłiby traktowani tak jak przy budowie dróg czy linii wysokiego napięcia. Grunty byłyby zajmowane, a niezadowoleni z wyceny właściciele mogliby dochodzić swoich roszczeń przed sądem. Ale już po fakcie, czyli po przejściu gruntu.

Drugim pomysłem i poważnym argumentem był napływ uchodźców w pierwszej połowie 2015 roku. Znacznie wzrosła liczba imigrantów przybywających na Węgry. W 2014 roku zarejestrowano w Biurze Imigracyjnym i Obywatelskim 42 777 wniosków o udzielenie azylu. Liczba ta w pierwszej połowie 2015 r. przekroczyła 57 tysięcy. Do połowy lipca granicę przekroczyło nielegalnie 78 tys. osób, z czego 77 600 przybyło od strony Serbii, znajdującej się poza strefą Schengen.

Rząd węgierski 17 lipca 2015 zdecydował o tym, że podobnie do granicy grecko-tureckiej i bułgarsko-tureckiej, zamknie zieloną granicę na odcinku węgiersko-serbskim. Zgodnie z przyjętą uchwałą rządu, należy wybudować tymczasowy płot o długości ok. 175 km i wysokości 4 m w celu zabezpieczenia granicy.

Węgierskie Zgromadzenie Narodowe w dniu 6 lipca 2015 roku przyjęło poprawkę ustawy dotyczącej granicy państwowej, zgodnie z którą wprowadza się, licząc od granicy Węgier, 10 metrowej szerokości pas przeznaczony do budowy, montażu i eksploatacji „urządzeń zapewniających ochronę porządku na granicy”.

Państwo ma prawo do korzystania ze znajdujących się tam nieruchomości ze względu na interes publiczny, a ich właściciele otrzymają odpowiednie odszkodowanie.

Budowę pierwszego odcinka płotu w okolicy Mórahalom rozpoczęły 13 lipca 2015 pododdziały węgierskiej armii. 18 lipca ukończono 175-metrowy odcinek próbny.



Na posiedzeniu z 21 lipca 2015 roku rząd węgierski zdecydował o budowie płotu zgodnie z drugą wersją, oprócz 30–40 km trudno dostępnego odcinka, gdzie będą leżały zwoje drutu ostrzowego. Wzdłuż ogrodzenia umieszczone będą tablice informujące migrantów o położeniu przejść granicznych, a również o tym, że nielegalne przekraczanie granicy jest przestępstwem.

Według badania fundacji Századvég Alapítvány przeprowadzonego 21 lipca 2015 roku na tysiącu osób, 97% Węgrów zna plan budowy ogrodzenia, a większość z nich (61%) zgadza się, że w ten sposób próbuje się zmniejszyć imigrację. Planowi przeciwnych jest 27%, a 12% nie wyraziło opinii.

Trzeci argument podali nam nasi dobrzy sąsiedzi ze wschodu, a konkretnie Federacja Rosyjska. Podczas ostatniego majdanu strategii kremłowski świetnie wychwycili drobne niuanse związane z brakiem odpowiednich zabezpieczeń na granicach byłego Układu Warszawskiego.

I takim sposobem zaczęto uprawiać turystykę podrzucając tzw. „zielone ludziki”. Tak było na Krymie, potem w Doniecku i Ługańsku.

Pomysł budowy ogrodzenia na granicy między Ukrainą a Rosją wysunął ówczesny gubernator obwodu dniepropietrowskiego na wschodniej

Ukrainie i jeden z najbogatszych obywateli kraju Ihor Kołomojski. Zaproponował on zbudowanie na granicy z Rosją płotu na wzór tego istniejącego między Izraelem a Autonomią Palestyńską.

Zabezpieczenia mają obejmować długość granicy około 2000 km na linii Sumy – Charków – Donieck – Ługańsk. Na szczególnie zagrożonych odcinkach mają powstać rowy czołgowe, drut kolczasty, zasieki, płot pod napięciem, detektory ruchu oraz system flar i min. Dodatkowo co 20 km mają się znajdować wieżyczki strażnicze wraz z kamerami.

Jeśli projekt uda się zrealizować będzie to największa ufortyfikowana granica w całej Europie (dla porównania linia Maginota wynosiła 450

km). Oprócz problemów wynikających ze skali przedsięwzięcia istotną przeszkodą jest oczywiście trwający konflikt w części separatystycznych regionach: Doniecku i Ługańsku przez które musi przebiegać linia obserwacyjna dla zupełnej szczelności granic.

I tu mamy zarówno dość długi odcinek granicy z Federacją Rosyjską, jak i jej sojusznikiem wojskowym – Białorusią. Nie zapomnijmy też, że Rosjanie mogliby wykorzystać odcinek granicy polsko-ukraińskiej do przerzucenia ludzi w cywilu na teren naszego kraju.

Czwartym argumentem już w zasadzie powtarzającym się jest nowa fala uchodźców z Azji, która została sztucznie stworzona przez rząd turecki. I tu tzw. „Szlak Bałkański” został tak naprawdę zamknięty zarówno przez Węgry, jak i mniejsze kraje, które w ten czy inny sposób ufortyfikowały i uszczelnili swoją granicę.

Realnym zagrożeniem jest pojawienie się alternatywy dla „Szlaku Bałkańskiego” będzie to nowy kierunek, wiodący przez Bułgarię, Rumunię i Ukrainę do granicy ze Słowacją i Polską.

Tak czy inaczej, do sprawy trzeba podejść poważnie. Wydaje mi się, że sprawa powinna zostać poruszona zarówno przez opinię publiczną, jak i na szczelbu rządowym.

Zapomniane. Odzyskane. Polska pamięć pokoleń

(dokończenie z nr poprzednich)

Trzymają Państwo w rękach wyjątkowe. Wyjątkowe, ponieważ pozwala zatrzymać czas. Przenieść się do świata już mino- nego i wydobyć go z zapomnienia. Przywołać dawne zdarzenia, przeży- cia, tragedie i radości, będące udziałem polskich mieszkańców ziem, które w wyniku dziejowych zawieruch znalazły się poza granicami Polski. Wydawnictwo to pozwala ocalić dla obecnych i przyszłych pokoleń ich historie rodzinne, obrazy z życia codziennego, wygląd miejsc. Zebrane w

całość tworzą obraz kresowej Polski i Polaków, którzy mimo przeciwności i rozmaitych szykan ze strony władz sowieckich próbowali zachować swo- ją odrębność narodową, kultywować polskie święta, polską kulturę, tradycje i obyczaje.

Co ważne, wspomnienia te zosta- ły zebrane przez przedstawicieli naj- młodszych pokoleń – wnuków czy prawnuków ich autorów, które dzięki odkrywaniu przeszłości własnych rod- zin dowiedziały się czegoś więcej o swoich korzeniach. Ma to niebagatel-

ne znaczenie dla wzmocnienia ich po- czucia tożsamości narodowej i świa- domości otrzymania w spadku po przodkach dziedzictwa kulturowego, dla zainteresowania ich – młodych Polaków, dzisiejszych mieszkań- ców Ukrainy – polską przeszłością Kresów, a także zbudowania w nich dumy z bycia Polakami.

Wydawnictwo to nigdy by nie powstało, gdyby nie projekt Fun- dacji Wolność i Demokracja „Nie- podległość i Pamięć”, zrealizowany w roku 2018 – roku obchodów 100.

rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Był on adresowa- ny do młodych osób pochodzenia polskiego, które miały za zadanie przeprowadzić wywiad z najstar- szym członkiem rodziny i na pod- stawie uzyskanych informacji spisać te wspomnienia. Wiele jest w tych relacjach zdarzeń radosnych, wiele smutnych, są opowieści o zsyłkach do Kazachstanu czy na Syberię, o represjach. Przeprowadzającym wy- wiady udało się wydobyć na światło dzienne unikalne przekazy, które

mają wartość nie tylko wspomnie- niową, ale i historyczną.

Do projektu zostało zaproszo- nych 800 uczniów polskich szkół so- botnio-niedzielnich, którzy nie ukoń- czyli 25 roku życia, zamieszkałych na zachodniej i centralnej Ukrainie. Niniejsze wydawnictwo pokazuje zaledwie małą część ich pracy, ale także reprezentatywną. Zamieszcz- one w nim dokumenty i zdjęcia pocho- dzą z archiwów rodzinnych.

LILIA LUBONIEWICZ

Polacy i Ukraińcy mają inne podejście do tożsamości. Tym się różnimy

Wspomnienia Antoniny Kowtoniuk

ELŻBIETA ZEMBYCKA

Moi rodzice oboje urodzili się w wsi Medwedowa [ukr. Медведове] w obwodzie żytomierskim. Tato Jan Turowski (1921–2006) był niezwykłym ciekawym świata człowiekiem, niespokojnym duchem, który interesował się wszystkim, co było modne. uprawiał zboża, warzywa, hodował bydło, zajmował się rzemiosłem, myślistwem. Mogę śmiało powiedzieć, że był wszechstronnie wykształconym człowiekiem. Natomiast mama Maria z domu Kotwic- ka (1919–1988) zajmowała się do-



Antonina Kowtoniuk (z domu Turowska) w młodości

mem, ogrodem, tkala, darła pierze, dużo czasu poświęcała dzieciom, a potem wnukom.

W czasie wojny oboje zostali wy- wiezieni na przymusowe roboty, tata hartował stal w Niemczech, a mama pracowała jako pomoc domowa w Austrii.

W domu oczywiście rozmawiali- śmy po polsku. Moi trzej bracia: Jan, Anatolij i Władysław najbardziej lu- bili czytać książkę Władysława Be- zy „Katechizm polskiego dziecka”. Dużo było też modlitewników, bo modliliśmy się także po polsku, codziennie klękaliśmy z mamą do ró- żańca. Potem wiele książek zostało spalonych.

Z nastaniem komunizmu nie wolno było chodzić do kościoła, a odgrywał on wielką rolę w budowa- niu poczucia polskości, bo właśnie ksiądz opowiadał o Polsce, o tym,

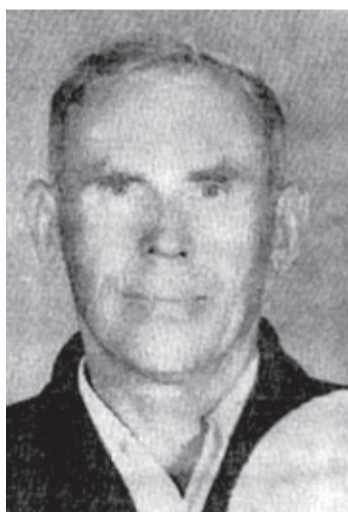
jak ważne jest pielęgnowanie tra- dycji, powtarzał, że trzeba kochać Ojczyznę i Boga.

W Emilczynie, sąsiedniej wsi, kościół św. Apostoła Mateusza zamieniono na magazyn, ale kie- dy jeszcze można było do niego chodzić, to każdy wyjazd na mszę w Emilczynie był dla nas wielkim wydarzeniem. Często na ulicy rozmawialiśmy po ukraińsku, bo mówienie po polsku groziło prze- śladowaniami, zesłaniem, śmier- cią. Władze chciały z nas zrobić Rosjan. Za bycie polskim patriotą groziły surowe kary. Jestem jednak pewna, że każdy Polak pamiętał o świętach narodowych i radował się w sercu w te dni. Byli tacy, którzy wyrzekali się swojego pochodzenia i wiary, żeby tylko przeżyć. Trudne to był czasy.

W Medwedowej i okolicznych wsiach mieszkało wielu Polaków. Starali się trzymać razem, bronić wiary i zachowywać ją. Ludzie ci kochali i cenili wolność, pielęgn-owali tradycje. Byliśmy nieco inni od ukraińskich rodzin, ponieważ ob- chodziliśmy wyłącznie święta ka- tolickie. Najbardziej lubiłam Boże Narodzenie. Przygotowania do nie- go rozpoczynały się w listopadzie od porządków. W grudniu chodzi- łam z babcią na roraty, w adwencie często spotykaliśmy się za stołem, żeby pośpiewać i poopowiadać bożonarodzeniowe opowieści. Był to taki czas spokoju. Wieczere- żę wigilijną zaczynaliśmy od modli- twy i dzielenia się oplatkiem, pod obrusem kładliśmy siano, a w ką- tach stawialiśmy snopy zboża. Nie



Kościół pw. św. Mateusza Apostoła w Emilczynie



Rodzice, Maria i Jan Turowscy

mieliśmy pięknie udekorowanej choinki, ale tak zwane różgi. Moim ulubionym daniem były placki z miodem i makiem. Dla niespo- dziewanego gościa zostawialiśmy puste miejsce przy stole, a dla zmarłych mama wynosiła jedzenie przed dom. Bardzo tęsknię za dzie- ciństwem spędzonym w Medwed-owej, były to najlepsze momenty w moim życiu.

Na polskim cmentarzu w Me- dwedowej pochowani są moi rod- zice i bliskie mi osoby. Często tam jeżdżmy, aby pomodlić się, posprzątać groby, uczcić pamięć zmarłych. To bardzo ważne dla nas miejsce. Przekazujemy z pokolenia na pokolenie pamięć o przodkach, polskie tradycje i miłość do Ojczy- zny. Pamiętek rodzinnych, oprócz kilku fotografii, niestety nie mamy.

Mamy typowo polski charakter – głębokie poczucie wolności, zdolność do poświęceń, wytrwałość i cierpliwość w trudnych sytuacjach

Wspomnienie o dziadku Bolesławie Kotwickim

JANISŁAW ZAJARNY

Maria (ur. 1910) i Feliks (ur. 1905) Kotwiccy mieli czworo dzieci: Walen- tego, Janinę, Bolesława i Józefa. Z czworga rodzeństwa tylko dwoje do- żyło wieku dorosłego. Walenty zmarł w wieku dwóch lat, a najmłodszy, Jó- zef, dziewięć dni po urodzeniu. Ciocia Janina i mój dziadek Bolesław przeżyli represje lat 1937–1938, II wojnę, pod- czas której zginął ich ojciec, i trudny czas powojenny, kiedy aresztowano mamę.

Do początku represji w 1937 roku w domu mówiono po polsku, ale potem nie było to możliwe. Rodzina spaliła wszystkie polskie czasopi- sma i książki. Nikt już nie czytał po polsku, a nauczone wcześniej wiersze i piosenki musieli zapomnieć. Święta obchodzono w tajemnicy, po chichu.

Pradziadek Feliks Kotwicki Karło- wicz (1905–1944) był krawcem i szyl w domu ubrania, poza tym pracował na budowie i jako kierowca. W 1944



Prababcia Maria Kotwicka z wnuczkami Natalią (od lewej) i Maryną, lata 60.

wiadra węgla dla głodnych dzieci została oskarżona o kradzież wła- sności państwowej i skazana na więzienie w kolonii karnej. W ten sposób Janina i Bolesław na kilka lat zostali pozbawieni mamy. Ciocia Janina mieszkała potem ze swoją rodziną w Gruzji i tam zmarła, a dziadek Bolesław do końca życia w Winnicy.



Dziadkowie, Zinaida i Bolesław z córką Aloną, czyli moją mamą, 1988 rok

roku zbląkany odłamek pozbawił go życia w wieku 39 lat.

Mój dwuletni dziadek Bolesław i dziewięcioletnia ciocia Janina straci- li ojca, a prababcia Maria (z domu Jasińska) męża. Od tej pory sama musiała zarabiać na utrzymanie dzieci. Zbierała niespalony węgiel z pociągów, leżący w hałdach na polach węglowych. Za kradzież

W domu zawsze mówiło się, że jesteśmy Polakami, bo mamy typowo polski charakter: głębokie poczucie wolności, zdolność do poświęceń, wytrwałość i cierpliwość w trudnych sytuacjach. Jesteśmy z tego bardzo dumni.

Cale swoje krótkie życie słyszę o Polsce, że to kraj naszych przodków. I jestem z tego dumny.

Polaków wyróżniało to, że pomagali sobie nawzajem

Wspomnienia Olega Tuszkowa

LERA TUSZKOWA

Urodziłem się w miejscowości Stołpce na Białorusi. Do II wojny światowej była tam Polska. O tym mówili mi rodzice i dziadkowie. Opowiadali także o naszym polskim pochodzeniu, choć nieczęsto, bo mogło to stać się początkiem kłopotów. Za czasów radzieckich nie można było mówić o Polsce,

tową był w tym miasteczku kościół św. Kazimierza i klasztor Dominikanów, ale potem zostały zniszczone. W latach dziewięćdziesiątych kościół odbudowano. Moi dziadkowie Józefa i Aleksander Owczukowie obchodzili w nim 50. rocznicę złożenia przysięgi małżeńskiej.

Wielu Polaków mieszkających w Stołpcach pracowało w instytucjach państwowych, na kolei i w tartaku.



Rodzinna fotografia. W pierwszym rzędzie: dziadek Aleksander Owczuk, Oleg Tuszkow, babcia Józefa Owczuk; w drugim rzędzie: tata Witalij Tuszkow, mama Wanda Tuszkowa (z domu Owczuk), Lena Owczuk (Barbaszyńska) i wujek Czesław Owczuk

obchodzić świąt narodowych. W domu obchodziliśmy święta religijne, Boże Narodzenie i Wielkanoc. W te dni chodziliśmy do kościoła, a potem spotykaliśmy się w domu przy uroczystym stole. Dużo śpiewaliśmy, bo moi dziadkowie bardzo lubili śpiewać.

Moi rodzice mieli mnie jednego. Tata Witalij Tuszkow urodził się w Rosji w miejscowości Korkino w obwodzie czelabińskim, a mama Wanda Owczuk w miejscowości Nowiki Wielkie [w II RP w województwie białostockim], potem mieszkała w Stołpcach [w II RP w województwie nowogródzkim]. Przed II wojną swia-

Polaków wyróżniało to, że pomagali sobie nawzajem.

Po drugiej stronie rzeki Niemen we wsi Świerzeń Nowy jest kościół św. Piotra i Pawła, w którym władze sowieckie urządziły magazyn nawozów. W latach osiemdziesiątych brałem udział w odnawianiu tej świątyni.

Dziadek Aleksander Owczuk dostał w 1938 roku wezwanie do wojska. Służył w 20 Dywizji Piechoty Wojska Polskiego. We wrześniu 1939 roku bronił granicy polsko-radzieckiej, a po 17 września dywizja została przerzucona na zachodnie tereny Polski [20 DP od początku września walczyła w okolicach Mła-



Dziadek Aleksander Owczuk jako żołnierz 20 Dywizji Piechoty Wojska Polskiego

wy, pod koniec września jej resztki broniły Warszawy]. Po kolejnej przegranej bitwie w okolicach Łukowa dziadek dostał się do niemieckiej niewoli. Za uczestnictwo w kampanii wrześniowej został odznaczony medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939”.

W trakcie powrotu w rodzinne strony, przy przekraczaniu Bugu, został wzięty do radzieckiej niewoli i był w niej aż do 1941 roku. W domu o tym się nie mówiło.



Medale i odznaczenia dziadka Aleksandra Owczuka



Książki, które były w rodzinnym domu

Wspólna tragedia i kościół jednoczyły polskie rodziny

Wspomnienie o prababci Alicji Zajcewej z d. Makowskiej

ANIA WÓJCICKA

Moja prababcia Alicja miała trzy lata, a jej siostra Witalia roczek, kiedy NKWD zabrał im tatę. Był rok 1938. Aleksander Makowski został rozstrzelany prawdopodobnie w Żytomierzu. Miał 30 lat. Razem z nim zginął jego brat Konstantyn. Mama prababci Helena z domu Arcinowska miała problemy ze znalezieniem normalnej pracy, z dostaniem się na studia ze względu na polskie pochodzenie. Okrutny los spotkał też siostry Heleny, które zostały wywiezione na Sybir. Jedna z nich zmarła w pociągu, nie wytrzymała podróży. Kuzynowi Romanowi Arcinowskiemu udało się ocalić życie, bo wojna zastała go na wycieczce w Częstochowie i nie mógł wrócić do Berdyczowa. Bolszewicy nekali rodzinę Arcinowskich już wcześniej. Dziadkowi prababci Alicji Aleksandrowi Arcinowskiemu, który był inżynierem kolejczarzem i budował kolej



Moi przodkowie z Berdyczowa, 1910 rok

od Janowa do Berdyczowa, zabrali dom i zmusili do przeniesienia się do małego mieszkania, tylko dlatego, że był Polakiem.

Prababcia od zawsze wiedziała, że jest Polką. Jej rodzina, tak jak inne polskie rodziny, przeżyła tragedie zabieranych nocą ojców i starszych braci, aresztowanych matek i sióstr, wywożonych dziadków i babć. Te tra-

gedie i ból jednoczyły Polaków, a najtrudniejsze chwile pomagał przetrwać kościół. Po kryjomu modlili się na różańcu, chodzili na lekcje religii, świętowali Wielkanoc i Boże Narodzenie.

Moja prababcia urodziła się w Berdyczowie, potem mieszkała w Winnicy. Przed śmiercią bardzo często śpiewała razem z siostrą Witalią piosenkę „Cicha woda brzegi rwie”.

Matka, Bóg, Polska – to credo prawdziwego Polaka

Wspomnienia Władysława Karpińskiego

JARYNA WASYLYK

Stanisławów [w II RP stolica województwa stanisławowskiego], moje rodzinne miasto, to wyjątkowe miejsce. Tu przyszedłem na świat, tu urodziły się moje dzieci i wnuki. Stanisławów jest mi bardzo bliski, przeżył wiele rzeczy, a ja przeżywałem je razem z nim. Chodziłem do szkoły nr 7, gdzie wszystkie lekcje były w języku polskim. Uczono nas historii, literatury, gramatyki. W trzeciej klasie nauczyłem się wiersza Jana Kochanowskiego „Na zdrowie” i pamiętam go do dziś. Bardzo lubiłem szkołę, kolegów, nauczycieli. Wesolo było, to był nasz drugi dom.

Zanim poszedłem do szkoły, mówiłem tylko polsku, bo Polacy w Stanisławowie rozmawiali po polsku, Ukraińcy po ukraińsku. Do 1939 roku



Władysław Karpiński

nią i po niemiecku zapytał: „Jude?”. Przestraszona dziewczyna zanie-mówiła. W tym momencie faszysta



Władysław Karpiński z siostrą

były w mieście kościoły, polskie ulice, np. Belwederska, 3 Maja, Słowackiego. Potem przyszli Sowieci i wszystko zniszczyli, poprzerałi kościoły na sklepy, kina.

Święta w naszej rodzinie były bardzo ważne, ja najbardziej lubiłem Boże Narodzenie – dzielenie się opłatkiem, bardzo rodzinny czas. Każdej zimy chodziłem z kolegami kolędować. Był Jurek Kozłowski, Krzysiek Różycki, bliźniaki Wikus i Pikuś. Śpiewaliśmy cały dzień różne piosenki. W tłusty czwartek dom był pełen pączków z różnymi nadzieniami, a na Zielone Świątki zbieraliśmy szuwarek. Msza święta była w każdą niedzielę, bez wyjątku.

Moja mama, Anna Karpińska, urodziła się w Buczaczu [w II RP w województwie tarnopolskim, dziś w obwodzie tarnopolskim] w 1899 roku, zajmowała się domem, a tato urodził się w okolicach Tarnopola w 1900 roku. Był pracownikiem gazowni. Wiele mi opowiadał o Polsce, o swoim dzieciństwie. Miałem też młodszą siostrę (ur. 1938 r.), która zmarła w wieku 26 lat.

Kiedy zaczęła się wojna, zaczęły się wywózki, aresztowania, wojenny terror. Pewnego wieczoru, kiedy wracałem z pracy, zobaczyłem idącą po drugiej stronie ulicy dziewczynę, piękną z czarnymi włosami. Żydówka, ale nie miała gwiazdy Dawida na ramieniu. Naprzeciw niej szedł Niemiec. Zatrzymał się tuż przed

oddal dwa strzały, celując prosto w twarz dziewczyny. I poszedł dalej, jak gdyby nic się nie stało, jakby to robił codziennie. Nie można tego zapomnieć.

Mojego ojca zabrali Niemcy za to, że był Polakiem. Wysłano go do



Władysław Karpiński, zdjęcie współczesne

III Rzeszy i słuch po nim zaginął. Nie wiem, gdzie jest jego mogiła.

Nie dostał żadnego medalu, ale myślę, że na zawsze zostanie bohaterem swojej Ojczyzny – Polski. Bo czasami bohaterami zostają nie ci, którzy mają złoto wpięte w kłapę, ale ci, którzy całym sercem kochali swój kraj i oddali za niego życie.

Polskie pochodzenie to najważniejszy element, który determinuje bieg życia człowieka.

Zamów książki i płyty Biblioteki Kuriera Galicyjskiego



Szczerbiec, Miecze grunwaldzkie, Święty murzyn, Święty Brunon z Kwerfurtu, Pan Twardowski, Wampirzyca, Boskie i cesarskie, Kto pali czarownice?, Kraj bez stosów, Cmentarz prostytutek, Piekarski, Polskie terytoria zamorskie, Piętnastu chłopów na umrzyka



General Stanisław Sosabowski, Baba, Duchy pilotów, Afrit, Nie ma, nie ma wody na pustyni..., Artykuł nieświęteczny. Boże Narodzenie, Do stratosfery, Kamienie przechowują pamięć, Misiek, katecheta i mądre zwierzęta, Koniec świata, Pszczeli kryzys. CCD – koszar w pasiekach, Uruchromiony w roku 1895 taran wodny, Zapomniana technika starożytności, Zapomniany geniusz, Zbigniew Cybulski, Zderzenie cywilizacji?, Oleksa Dowbusz. Bo-

skrzyni, Waza przeciw Wazie, Czy ktoś chciałby zostać Krzyżakiem?, Krzyżacy i Priwisłency, Czarna wołga, Jak Zabłocki na mydle, Kanał Augustowski, Kaplica czaszek, Rzeź Pragi, Złodzieje i kolaboranci, Podlasie – kraina magiczna. Tatarzy. Podlasie – kraina magiczna. Święty Ilija. Królestwo przyrody, Święta Lipka, 45 000 niewolników, Człowiek-ćma, Morskie opowieści, W morzach coś jest!, Złoto ukryte, Meteoryt tunguski, Monstrualne fale, Olbrzymy, Pochowani żywcem, Przepowiednia z Tęgoborz, Tajemnica latarni Eileanmor, Trup w szafie, Ubi leones, Wir oregoński, Wybrzeże Szkieletów, Czy duchy straszą?, Grób rodziny Chase, General Stanisław Sosabowski.

O tym wszystkim w I tomie „Opowieści niezwykłych” Szymona Kazimierskiego.

Pierwszy tom „Opowieści” to 400 stron, płynących wartkim strumieniem opowieści, które nikogo nie pozostawią obojętnym. To twór niezwykły, podobnie jak i niezwykłą była osoba jej autora.

Szymon Kazimierski, bo o nim właśnie te słowa, był z nami od początku wydawania pisma. Bez niego Kurier Galicyjski nie byłby tym czym jest dzisiaj. Był jednym z tych publicystów, na którego teksty czekano, o które spierano się. A zresztą przeczytajcie sami....

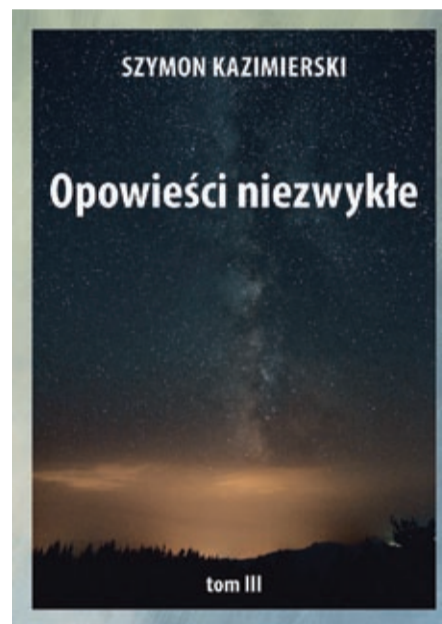
hater czy bandyta?, Kozacy, Jarema, Kudak, Wasyl Wyszywany, Symon Petlura, General Marko Bezruczko, Jurko Tiutiunnyk, Pawło Szandruk. Niestereotypowy kawaler Virtuti Militari, Cud nad Wisłą, Pułapka na Rasputina, Wstrętna broń, Zaginiony batalion, Osiem lat pod ziemią, Stary – opowieść sprzed lat, Jedzie pociąg z daleka, Morze, nasze morze..., Kanał Elbląski, Kasztanka, Mówi Warszawa. Leokadio, nastaw radio, Pociąg symbol – Luxtorpeda, Oni zmienili losy wojny, Piękna Helena, Kosztowny gniot. Pechowiec, Wódka Baczewskiego.

Pasjonująca lektura....

„Opowieści niezwykłe” Szymona Kazimierskiego, tom I, II i III można zamówić w naszej redakcji. Cena tomu I to 220,00 UAH + koszt wysyłki (na terenie Ukrainy). Cena tomu II – 45,00 PLN (razem z kosztami wysyłki na terenie Polski).

Kontakt:
nataliakostyk@wp.pl
tel.: +380995281836

Kupując wydane przez nas książki, wspomogasz słowo polskie na Wschodzie i umożliwisz wydanie kolejnych pozycji.



W III tomie „Opowieści niezwykłych” Szymona Kazimierskiego przeczytasz m.in.: Najcięższe czołgi świata, „Dora” – stalowe monstrum, Sowietci na amerykańskich czołgach, Polak, Japończyk – dwa bratanki, Westerplatte bez pozołoty, Wawer 26 grudnia 1939 roku, Przedmoście rumuńskie, Dziwaczne zakończenie wielkiej wojny, Powstanie Warszawskie. Pierwszy sierpnia dzień krwawy, Warszawskie dzieci, Powstanie Warszawskie. Borgward, Zamach stanu, A teraz ja! General Sikorski, Obozy generała Sikorskiego, Operacja „Wrench”, Nieudolność czy zbrodnia, Początek II wojny światowej. Wolne Miasto, Centralny bunkier Hitlera – Wolfsschanze, Kobyła, Suka i Kobieta z psami, Otto. Żołnierz, który nie chciał zabijać, Niedźwiedź Wojtek vel Voytek, Potworne tragedie na morzu, Jak powstała radziecka bomba atomowa, Odbudowa Warszawy oraz inne ciekawe opowieści...



Film-spacer, film-nostalgia, film-wspomnienie... Opowieści dawnych mieszkańców Stanisławowa (dziś Iwano-Frankiwska) skonfrontowane z pejzażami dzisiejszego miasta. Stare kamienice zachowały atmosferę przed-

wojennego Stanisławowa, która ożywa we wspomnieniach ich mieszkańców. Historie zabawne, sentymentalne i tragiczne pokazujące życie codzienne jego mieszkańców, którzy po wojnie zmuszeni byli do opuszczenia dziedzictwa wielu pokoleń. Historie o latach dzieciństwa, szkolnych i młodzieńczych pełne są ciepła i wzruszeń. Ale te z okresu wojny mają odcień bardziej tragiczny. W kontraście widzimy dzisiejszy Gród Rewery, jego mieszkańców, uśmiechniętych, radosnych, świętujących i śpieszących do spraw codziennych – gromadzących swe własne wspomnienia...

Film wyróżniony na Festiwalu Filmów Emigracyjnych EMIGRA 2018, laureat III miejsca na Festiwalu Losy Polaków w kategorii film historyczny (2018).



Film ballada. Piękne rozległe pejzaże Pokucia, a w tej scenerii wieś, która powoli odchodzi w niebyt – wieś o niespotykanej nazwie Święty Józef. Miejscowość, która pod koniec XIX wieku powstała w miejscu wykarczowanych podgórnich borów, zamieszkała była przez Polaków przybyłych z Zachodniej

Galicii. Tuż obok rodzinna miejscowość Franciszka Karpińskiego. Z trzynastu ulic wsi, a w zasadzie prawie miasteczka, Święty Józef, bo była tam szkoła, kościół, posterunek policji, karczma i prawie 600 domów, po wojnie pozostały jedynie ich fundamenty i bryła kościoła wysadzona w powietrze na początku lat 60. W to miejsce przesiedlono nowych mieszkańców, którzy w bardzo ciepły sposób opowiadają o swoich poprzednikach – Polakach.

Obecnie żyje się tu co prawda spokojnie w zagubionej wiosce, wśród sadów, zasadzonych częściowo jeszcze przez pierwotnych mieszkańców, ale wieś powoli wymiera, jak i wiele jej podobnych. Wypowiedzi dzisiejszych mieszkańców swoimi wrażeniami przepłata redaktor naczelny Kuriera Galicyjskiego Mirosław Rowicki. Niespodziewane zakończenie..., ale to zostawiamy już wyłącznie naszemu widzowi.



Wiele jest wspaniałych nekropoli na świecie, ale chyba żadna nie dorównuje Cmentarzowi Łyczakowskiemu. Tu na wzniesieniu wśród drzew spoczywa historia Polski.

Tradycyjnie 1 listopada cmentarz ożywa i rozbłyskuje tysiącami światełek – jest to akcja Światelko Pamięci dla Cmentarza Łyczakowskiego, wspierana przez Konsulat Generalny RP we Lwowie i rodaków w Polsce. Jest to też rocznica tragicznych wydarzeń w historii Lwiewo grodu – „miasto okazało się za małe na aspiracje niepodległościowe obu narodów” – Polaków i Ukraińców. Wydarzeniem tragicznym niestety towarzyszą groby. Tu kres swojej ziemskiej drogi znaleźli powstańcy listopadowi i styczniowi oraz uczestnicy innych zrywów. Tu spoczęły Orleńscy Lwowski. Dziś wiele nagrobków odzyskuje swój pierwotny bogaty wygląd, a cmentarz Obrońców Lwowa odzyskał prawie swój pierwotny stan po zniszczeniach z okresu sowieckiego...



Tu, w Czarnohorze, chmury płyną poniżej nas..., a nad nimi na górze Pop Iwan dumnie stoją mury dawnego obserwatorium astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego im.

Józefa Piłsudskiego – potocznie zwane Białym Storniem. 29 lipca 1938 roku obiekt został otwarty. Choć obserwatorium działało jedynie rok, stało się legendą. Po wojnie, rozszabrowane, popadało w ruinę. Dzięki dwóm pasjonatom i zapaleńcom – dyrektorowi Studium Europy Wschodniej Janowi Malickiemu i rektorowi Uniwersytetu Przykarpaccy im. Wasyła Stefanyka w Iwano-Frankiwsku Ihorowi Cependzie Białego Słonia zaczyna odżywać. W 2007 roku uczelnia podpisała umowę o wspólnych działaniach w tej dziedzinie i od tej pory trwają prace. Niestety surowy górski klimat pozostawia niewiele czasu, ale już obiekt zabezpieczono przed dalszą ruiną, a w 2012 roku dach znów pokryła miedziana blacha... Białego Słonia się odradza. I o tym, a także o pięknej Czarnohorze jest ten film.

Płyty z filmami można zamówić w naszej redakcji. Cena jednej płyty 78,00 UAH + koszt wysyłki (na terenie Ukrainy); 25 PLN razem z kosztami wysyłki do Polski. Kontakt: nataliakostyk@wp.pl; tel.: +380995281836.

Radio Kurier Galicyjski nadaje w Radiu Wnet!



Radio Kurier Galicyjski nadaje w środy w Radiu Wnet audycję „Studio Lwów” o godzinie 9:15 (10:15 czasu ukraińskiego). W audycji prezentujemy aktualne wydarzenia we Lwowie i na Ukrainie. Zapraszamy ciekawych gości.



Radio Wnet jest dostępne w Warszawie na częstotliwości 87,8 FM i w Krakowie na częstotliwości 95,2 FM. Ponadto Radio wnet można słuchać na stronie: Wnet.fm (link do playera: <https://wnet.fm/wp-content/themes/wnet/player.php>) Przy okazji informujemy, że w czwartki o tej samej godzinie jest nadawane Studio Wilno.

PONAD MILION PRZEGLĄDÓW kanału telewizyjnego Kurier Galicyjski TV

Materiały filmowe telewizji Kuriera Galicyjskiego obejrzano już ponad milion razy na kanale YouTube (www.youtube.com/user/KurierGalicyjski).

Kanał na YouTube należy do Grupy Medialnej Kuriera Galicyjskiego. Na dzień dzisiejszy w wolnym dostępie



jest ponad 1150 materiałów filmowych, które zostały obejrzone ponad milion razy. Ponad 60% przeglądów przypada na Polskę.

Subskrybuj nasz kanał KurierGalicyjski na YouTube (www.youtube.com/user/KurierGalicyjski) i dowiaduj się pierwszy o nowych filmach.

Bądź nadal z nami i nie przegap kolejnych materiałów Kurier Galicyjski TV!

Roczniki Kuriera Galicyjskiego i Polaka Małego są do nabycia w naszej redakcji



Zawiadamiamy, że w redakcji są do nabycia kompletne oprawione roczniki Kuriera Galicyjskiego z lat 2007–2018, a również

roczniki Polaka Małego z lat 2012–2018. Cena roczników na Ukrainie po 350 UAH za jeden oraz koszty wysyłki, a z wysyłką do Polski – 130 PLN.

Osoby zainteresowane prosimy o kontakt:

Natalia Kostyk,
tel.: +380 995281836;
+380 949933520;
0380 322531520;
e-mail: nataliakostyk@wp.pl

Miesięcznik Polak Mały

można zaprenumerować na pocztę na Ukrainie!!!

KOD PRENUMERATY
УКРПОШТА 68416

Cena prenumeraty pocztowej:

1 miesiąc	9,00 UAH
3 miesiące	27,00 UAH
6 miesięcy	54,00 UAH
12 miesięcy	108,00 UAH



Pożegnanie Janusza Wasylkowskiego

16 kwietnia w kaplicy kościoła pw. Matki Bożej Loretańskiej w Warszawie odbyło się nabożeństwo przy trumnie Janusza Wasylkowskiego z udziałem nielicznych – z powodu pandemii – najbliższych współpracowników i przyjaciół Zmarłego: Bogdana Kasprowicza, Mariusza Olbromskiego, Krzysztofa Smolany z Instytutu Lwowskiego oraz przedstawiciela rodziny Zmarłego – Pawła Wasylkowskiego. Modlitwę przy trumnie poprowadził ks. prof. Józef Naumowicz. W imieniu zebranych przemówił Jan Kasprowicz (tekst mowy drukujemy obok).

MARIUSZ OLBROMSKI

Msza św. żałobna i uroczystość pożegnalna – jak zostało uzgodnione z rodziną Zmarłego – odbędą się w Warszawie, po odwołaniu stanu epidemii, w późniejszym terminie, kiedy możliwy będzie udział w uroczystościach przedstawicieli władz, delegacji ze Lwowa, przyjaciół z zagranicy (USA, Kanada, Wielka Brytania, Dania), przedstawicieli organizacji kresowych, w tym przede wszystkim Oddziałów Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Wschodnich z całej Polski.

Janusz Wasylkowski, wybitnie zasłużony dla Lwowa, założyciel i prezes Instytutu Lwowskiego – Fundacji Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Kresów Wschodnich, redaktor naczelny „Rocznika Lwowskiego”, poeta, pisarz, dramaturg, aforysta, publicysta, redaktor programów telewizyjnych, edytor, znakomity bibliofil i kolekcjoner, zmarł 14 kwietnia w Zakładzie Opiekuńczo-Leczniczym w Radości koło Warszawy. Wcześniej przebył operację i był leczony w Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie przez ponad miesiąc, gdzie stan jego zdrowia, dzięki rzeczywistej świetnej opiece lekarskiej, znacznie się poprawił. Kiedy przewoziłem go do Radości lekarze dawali nadzieję na długie jeszcze lata życia i sądziliśmy, że z tego właśnie zakładu, gdzie przebywa w dobrych warunkach wielu podopiecznych, będzie nadal kierował pracami Instytutu Lwowskiego i zespołu redakcyjnego Rocznika Lwowskiego. Niestety, stało się inaczej.

Przyszedł na świat 2 sierpnia 1933 roku, w szpitalu przy ul. Kurkowej we Lwowie, mieście, któremu poświęcił swą twórczość, różnorodne prace, całe życie. Ochrzczony został w kościele pw. św. Marii Magdaleny. Jego ojciec, Marian, był kolejjarzem. Matka – Maria, z domu Nahorny, zajmowała się domem. We Lwowie rodzina Wasylkowskich przeżyła hitlerowskie oblężenie miasta w 1939 roku, a później kolejne okupacje: pierwszą sowiecką, niemiecką i ponowne wkroczenie w 1944 Armii Czerwonej do miasta, po czym matka z małym Januszem wyjechali do Zakopanego. Jak opowiadał, rok później, w Krakowie, w obozie dla Polaków wysiedlonych ze Lwowa, spotkał przypadkowo, jakimś cudem, ojca. Rodzina wyruszyła, jak większość wypędzonych, na Ziemię Zachodnią. Chodził do szkoły i zdał maturę w Zielonej Górze, gdzie – jak wspominał – układał satyryczne wiersze antystalinowskie, które budziły śmiech wśród kolegów i grozę nauczycieli. Był polonistą, ukończył studia na Uniwersytecie Wrocławskim, nieprzypadkowo wła-



Janusz Wasylkowski

śnie w mieście, gdzie zręby uczelni po wojnie tworzyły głównie środowisko akademickie Lwowa i gdzie przesiedliło się tysiące mieszkańców miasta znad Pełwi. Jego poczucie humoru, jakże typowe dla rodowitych lwowian, zapewne sprawiło, że założył we Wrocławiu Studencki Teatrzyk Satyry „Ponuracy” (1955), a także reżyserował tam kilka programów Teatrzyków „Szubak” i „Bleff” (1958–1960). We Wrocławiu rozpoczęła twórczość literacką, debiutował i napisał, między innymi sztukę – komedię „Wszystko przepadło” (1957), którą wystawił po latach Teatr Fre-

kiem artystycznym Teatru Rozrywki, gdzie zrealizował 45 spektakli. W latach 1987–1988 kierował teatrem „Buffo”. Równocześnie rozwijał swą różnorodną twórczość. W Warszawie powstało jego kilkanaście sztuk teatralnych, m.in.: „Węzeł rodzinny” i „Upalny dzień” (1963), „Ten trzeci” (1965), „Dyptyk katastroficzny” (1975), „Królewski błazen” (1984), „Trzasnęło nas po fajrancie” (1985). Jego sztuki były prezentowane nie tylko na scenach teatrów polskich, ale i zagranicznych, m.in. czechosłowackich, a także w telewizji i w radiu: w Telewizji Zachodnio-Niemieckiej w

działał przy parafii pw. św. Trójcy na Solcu w Warszawie, pod opieką ks. prof. Marka Kiliszka. W 1990 r. założył Instytut Lwowski jako prywatne przedsięwzięcie wydawnicze, które w dużej mierze sam w miarę swoich skromnych możliwości finansował. W 1991 r. ukazał się pierwszy tom „Rocznika Lwowskiego” pod jego redakcją. Dotychczas ukazało się 21 tomów „Rocznika”, w druku jest następny. Na łamach tego wydawnictwa ukazują się teksty nie tylko autorów krajowych, ale i w znacznym stopniu autorów polskich zamieszkałych na Ukrainie. W roku 2010 wspierany przez grupę przyjaciół, przekształcił wydawnictwo w Fundację „Instytut Lwowski – Fundacja Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Kresów Wschodnich”. Był też wielokrotnym uczestnikiem Dialogu Dwóch Kultur – spotkań intelektualistów, pisarzy polskich i ukraińskich w Krzemieńcu i innych miastach. Przewodził się do ocalenia i popularyzacji folkloru i kultury muzycznej Lwowa redagując i publikując, między innymi, takie książki jak: „Piosenki lwowskiej ulicy”, „Nie ma jak Lwów. Śpiewnik lwowski do 1939”, „Lwowska piosenka na wojennym szlaku”. Jest też autorem cennej monografii „Teatr z ulicy Kopernika. Polski Teatr Ludowy we Lwowie 1958–2008” (2008). Pisał

odbyło się w dniu 12 lutego 2019 roku w siedzibie Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie, a które miałem zaszczyt prowadzić. Był laureatem nagród, m.in. został wyróżniony drugą nagrodą (przy pierwszej nieprzyznanej) w konkursie Opery Narodowej na libretto dla Opery Kameralnej (1985). Otrzymał też wyróżnienie honorowe Nagrody Literackiej im. Władysława Reymonta „za wszelkie zasługi dla ocalenia pamięci Lwowa” (2008). Jego twórczość i działalność na rzecz Lwowa i Kresów z latami była coraz bardziej znana i ceniona, co znalazło odzwierciedlenie także w przyznawanych mu przez różne gremia odznaczeniach i nagrodach. Został uhonorowany, m.in. Złotą Odznaką Związku Ziemi Wschodnich w Londynie (1993), Medalem „Pro memoria” (2005), Nagrodą specjalną Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2008), Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2011), Orderem „Polonia Mater nostra est” (2012) oraz wyjątkowym wyróżnieniem, jakim jest tytuł Kustosza Pamięci Narodowej IPN (2017), wręczonym na Zamku Królewskim w Warszawie.

Janusz Wasylkowski był człowiekiem dobrym, pełnym błyskotliwego humoru, ciekawych, niekiedy zaskakujących pomysłów, chęci pomocy potrzebującym, życzliwym ludziom i światu; wytwarzał wokół siebie pogodną i przyjazną atmosferę. Był – jak wspominałem – wybitnym i nieustrudzonym kolekcjonerem, zbieraczem różnych pamiątek ze Lwowa, dokumentów, książek, map, obrazów, sztychów. Także kolekcji grafik, chyba największej jaka istnieje w kraju, która ostatnio była prezentowana – w części – na wystawach w Muzeum – Pałac w Wilanowie oraz w Senacie RP. Do ostatnich dni życia pracował nad monumentalnym dziełem „Encyklopedia Lwowa” oraz nad słownikiem „Bałak Lwowski”, a także nad dalszą częścią monografii o dziejach Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Miał rozliczne kontakty we Lwowie, w kraju, Europie. Jego różnorodne badania nad kulturą i dziejami Lwowa, mądrze prowadzone przez lat dziesiątki z miłością i bezgranicznym poświęceniem, są wielkim i trwałym jego wkładem w ocalenie pamięci i budowanie narodowej świadomości o mieście „Semper Fidelis”. Cześć Jego Pamięci!

Zdjęcia są ze spotkania w czasie jubileuszu 65-lecia pracy twórczej Janusza Wasylkowskiego. Wieczór odbył się 12 lutego 2019 r. w siedzibie Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Janusz Wasylkowski (od lewej) i Mariusz Olbromski

dreum. Po jednym spektaklu sztukę zdjęła ze sceny cenzura. Był też, po „polskim październiku” współzałożycielem i współpracownikiem tygodnika „Poglądy” we Wrocławiu (1956–1957). Od 1961 zamieszkał w Warszawie i zajął się dziennikarstwem, a także wrócił do swych zamiłowań teatralnych; pracował w tygodniku harcerskim „Drużyna” (1964–1966) oraz w „Życiu Gospodarczym” (1966), w latach 1972–1974 był kierowni-

Mainz, w Telewizji BBC w Londynie, telewizji w Ostrawie i w radiu w Bratysławie. Jego dramaty tłumaczone były na język angielski, niemiecki, serbski, chorwacki i duński.

Najważniejszą jednak i najbardziej owocną sferą działania Janusza Wasylkowskiego były sprawy Lwowa i Kresów Wschodnich. Od 1982 r. uczestniczył w pracach i był jednym z organizatorów podziemnego zespołu Historii Lwowa, który

też wiersze o Lwowie, które zostały zebrane, między innymi, w zbiorze „Są słowa. Wiersze o Mieście, które samo się nie obroni” (2002). Był członkiem Warszawskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, a jego twórczość literacka znalazła uznanie zarówno wśród pisarzy, krytyków, jak i czytelników. Można to było odczuć na spotkaniu zorganizowanym z okazji jego jubileuszu 65-lecia pracy twórczej, które

Mowa pożegnalna

(W kaplicy kościoła pw. Matki Boskiej Loretańskiej, przy trumnie Janusza Wasylkowskiego, którą w imieniu obecnych wygłosił Bogdan Kasprócz).

Żegnaj przyjacielu

Odszedł poeta. Odszedł poeta lwowski – i nie biją dzisiaj dzwony wszystkich lwowskich kościołów, a ulicą Piekarską nie sunie w rytmie żałobnego marsza nieprzebrana rzesza lwowiaków w kierunku Łyczakowskiej nekropolii.

Nic to, nawet tu w Warszawie staje nas u trumny tylko pięć osób..., choć przecież wiemy, że bólem i smutkiem ściśnięte są serca lwowiaków w całej Polsce, za granicą i w samym Lwowie.

O tempora!

Odszedł lwowski poeta, jakżeż w takiej chwili nie zawołać słowami „Pieśni żałobnej” ormiańskiego poety – *Głęboki serca lament zanoszę ku Tobie Panie, wejrzyj i nie odtrącaj, miłosierny Panie.*

Odszedł lwowski poeta, który całe swoje życie i mienie poświęcił realizacji zadania, które wyznaczył inny lwowski poeta – „A o Lwowie pamiętać, pamiętać, pamiętać...”

Jakżeż nie przypomnieć w tej chwili tegoż poety „Strof lwowskich” –

*Śmierć na obczyźnie nas wymiata jak pajęczynę w kącie.
Coraz nas mniej z tamtego świata,
co się oddala i odlata
i tylko po nas dzwony dzwońcie.*

*Coraz to ktoś upada obok,
coraz topnieją nasze rzędy
i dawnej słyhać krzyk komendy:
„Szlusuj!”
I ścieśnia się czworobok
i zamykają się szeregi,
bez przyjaciela,
bez kolegi...*

Drogi Przyjacielu – jako wiatyk na tę Twoją ostatnią drogę przyjmij wiersz innej lwowskiej poetki, której

wiersze drukowałeś, o której pisałeś, a która krótko przed swoją śmiercią napisała:

*Idę w nieogarnione
w świetlistą jasność gwiazd,
idę w nieogarnione,
dokąd odpływa czas.
Wszystko
każde słowo i gest,
wszystko co było i będzie
tam jest...*

Wierzmy – Januszu – że wszystko tam jest, wierzmy, że Aniołowie Boży już prowadzą Twoją duszę ku Łyczakowskim kwaterym w raju, gdzie już z powitaniem w lwowskim białku czekają Twoi przyjaciele – Szolgina, Janicki, Michotek i Szczepko i Tońko, i dawny Lwów cały...

Kochany Januszu – całe życie byłeś facycjonistą, nie opuszczał Cię lwowski humor, a Twoje aforyzmy, limeryki i fraszki stały się wśród nas. Pozwól więc, że na ostatnią drogę wraz z niebiesko-czerwonym bukietem dodamy to co sam napisałeś –

*Powłóczył się po świecie
mój panku,
z tęsknotą, wierną kochanką,
powłóczył, powłóczył,
a na końcu zamierzysz
o Łyczakowskim cmentarzu...*

Żegnaj Przyjacielu...

Po tym pożegnaniu ciało śp. Janusza Wasylkowskiego zostało skremowane, a urna z prochami złożona w kaplicy kościoła Matki Boskiej Loretańskiej, do czasu kiedy będzie możliwe zorganizowanie właściwych uroczystości żałobnych z pełną mszą świętą i odprowadzeniem prochów w kondukcje żałobnym na warszawski cmentarz „Na Wólce”.

Wielki przyjaciel naszego teatru

Tak to się dziwnie dzieje na tym świecie, że dopiero śmierć bliskich osób uświadamia nam, że odszedł bardzo serdeczny i bliski przyjaciel, który dla nas poświęcił wiele swego czasu i uwagi. Dopiero wtedy zaczynamy doceniać wszystko to, co nas łączyło i jak wiele tej osobie zawdzięczamy.

Janusz Wasylkowski był wielkim przyjacielem naszego teatru, erudytą, niestrudzonym badaczem lwowskiej historii, a przede wszystkim kulturą Lwowa i jego twórców.

Niespożyta energia, z którą penetrował losy naszego miasta i bogactwo jego kultury wprost zadziwiały, ale dopiero teraz uzmysłowiły, jak wiele dokonał ten niemłody już przecież wierny lwowianin, choć od lat zamieszkuje w Warszawie.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy chyba w 1970 roku w moim dawnym

mieszkaniu przy ulicy Teatralnej w słynnym gmachu hr. Skarbka. Zainteresował się wówczas niedługim przecież, bo 12-letnim życiorysem Polskiego Teatru Ludowego i od tego czasu zbierał wszystko, co się dało na nasz temat, dzielnie wspomagany przez swojego rówieśnika, szkolnego kolegę Janusza Tyssona.

Z dumą chwalił się artykułami, które pojawiały się w polskiej prasie o naszej działalności, oczywiście pióra Janusza Wasylkowskiego, a ponieważ był człowiekiem parającym się pisarstwem podrzucał nam od czasu do czasu swoje sztuki teatralne i różne lwowskie „Misztygalki” – do dziś mam wyrzuty sumienia, że nie udało mi się wprowadzić do repertuaru żadnej Jego propozycji – zawsze był ktoś ważniejszy.

Nasz przyjaciel godnie znosił taką sytuację i nie ustawał w propa-

gowaniu działalności polskiej sceny we Lwowie, kolacząc do różnych instytucji z prośbą o wsparcie. Tak się zrodziła książka „Teatr z ulicy Kopernika”, jak dotychczas najpełniejsza rejestracja naszego 50-lecia. Już wkrótce zabrał się do opracowania kolejnych 10 lat, ale śmierć przerwała ten szlachetny zamiar.

Janusz Wasylkowski był tak często z nami, czy to podczas występów w Warszawie, czy na próbach we Lwowie na ulicy Kopernika, zdawało się, że jest jednym z nas, a teraz o Jednego za mało...

Żegnamy Cię, Drogi Przyjacielu, mając tę świadomość, jak wiele Ci zawdzięczamy.

w imieniu zespołu artystów
Polskiego Teatru Ludowego
we Lwowie
Zbigniew Chrzanowski



KANCELARIA PREZYDENTA
RZECZYSPOLITEJ POLSKIEJ

Sekretarz Stanu
Adam Kwiatkowski

Warszawa, 17 kwietnia 2020 roku

Przyjaciele i Współpracownicy
śp. Janusza Wasylkowskiego

Szanowne Państwo,

z głębokim smutkiem i żalem przyjąłem wiadomość o śmierci Janusza Wasylkowskiego, osoby niezwykle zasłużonej dla kultury polskiej, poety, pisarza, twórcy Instytutu Lwowskiego, redaktora „Rocznika Lwowskiego”.

Śp. Janusz Wasylkowski w trakcie swojego życia oddał wielkie zasługi zarówno Polsce, jak i tradycjom i kulturze Lwowa. Jego działalność i zaangażowanie na rzecz podtrzymywania i upowszechniania dziedzictwa przedwojennego Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz potężny dorobek literacki zalicza Go do grona wybitnych Polaków. Wyrazem uznania dla Jego wieloletniej pracy są liczne odznaczenia, takie jak Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, Medal „Pro Memoria”, Honorowe Wyróżnienie Nagrody Literackiej im. Władysława Reymonta, czy nagroda „Kustosza Pamięci Narodowej”, którymi został wielokrotnie uhonorowany.

Wyrażam głębokie uznanie dla Jego patriotycznej postawy i służby Rzeczypospolitej Polskiej, ukazującej bogatą historię i piękno naszej Ojczyzny. Jestem przekonany, że dzięki swojej ogromnej pasji, oddaniu sztuce i nauce, stał się autorytetem dla wielu pasjonatów Lwowa. Wierzę, że Jego życiowe dzieło, które wywarło znaczący wpływ na zachowanie pamięci o polskim dziedzictwie kulturowym na ziemiach wschodnich, będzie kontynuowane.

Żegnając, w imieniu Prezydenta RP Pana Andrzeja Dudy śp. Janusza Wasylkowskiego, składam wyrazy głębokiego współczucia Jego Przyjaciółom, Współpracownikom oraz wszystkim, których ta strata boleśnie dotyka.

Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie!

Z wyrazami szacunku,

Adam Kwiatkowski



Z wielkim bólem serc i smutkiem dusz zawiadamiamy, że w dniu 14 kwietnia, po ciężkiej chorobie zmarł

śp. JANUSZ WASYLKOWSKI

urodzony we Lwowie w 1933 r.

Poeta, dramaturg i dziennikarz, laureat wielu krajowych i zagranicznych nagród literackich, znany, uznany i kochany przez lwowiaków „Cives leopoliensi semper Fidelis”. Założyciel i prezes Fundacji Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Kresów Wschodnich – Instytut Lwowski, były Prezes Oddziału Warszawskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Redaktor Naczelny „Rocznika Lwowskiego”, Kustosz Pamięci Narodowej IPN.

Msza św. i uroczystości pożegnalne odbędą się w Warszawie, po odwołaniu stanu epidemii, o czym powiadomimy publicznie.

Za zarząd i radę Instytutu Lwowskiego Bogdan Kasprócz,
Mariusz Olbromski, Krzysztof Smolana

Warszawski latarnik

Januszowi Wasylkowskiemu
Gdzie pójdziesz myślą znowu
obraz lwowski,
choć tamto życie znikło – na nowo
się toczy.
Gdzie sięgniesz ręką – cieszę twoje
oczy
książki znad Peltwi i z Kresów
uroczych.
I żyjesz tutaj – podwójnym istnieniem:

pogłębiony tęsknotą – uskrzydłony
cierpieniem.
Piller i sławny też Altenberg widzą
z dala pewno
Twoje serdeczne dzieło –
„Rocznik Lwowski”,
który jak Feniks wstaje ciągle
z nieistnienia
tylko mocą twojej pracy i mądrej
miłości.

Jakżeś się w mowie lwowskiej
rozślonecznił,
że czas warszawski śpiewnym
słowem złocisz.
I trwasz w wieżowcu sam niczym
latarnik,
kiedy stolica w falach reklam błyska
i po horyzont szum za oknem
głuchy toczy.

Wiersz z książki Mariusza
Olbromskiego „Róża i kamień”,
Londyn – Rzeszów – Lwów, 2012

(S)TWORZENIE NIEZWYKLE DYNAMICZNE

Wywiad z Zuzą Wiśniewską

Przykuwa uwagę muzyką i sceniczną zadziornością. Eksperymentuje, zaskakuje, wzrusza. ZUZA WIŚNIEWSKA – o roli wychowania, fertyczności kobiet oraz (nie tylko artystycznej) zgodzie z samą sobą. Rozmawiała ELA LEWAK.

Mówisz o tym, że „jesteś gadułą, a muzyka sama do Ciebie przychodzi”.

Lubię gadać, to prawda. (śmiej). W ogóle jestem stworzeniem towarzyskim – i to bardzo. W moim przypadku muzyka też jest „bardzo towarzyska”, bo cały czas coś tam się tłucze w mojej głowie. (śmiej) A ja ufam swoim pomysłom. Choć znam teorię, w komponowaniu i tak kieruję się intuicją.

Wesłałaś w świat autorskiej piosenki z przytupem. Zaczęłaś pisać dopiero trzy lata temu, a masz na koncie znaczące nagrody i wyróżnienia.

Na festiwalach wykonywałam najpierw cudze utwory, ale koledzy poeci pisali, dobrze się z tym czuli, realizowali się, więc stwierdziłam, że może ja też zostanę takim „bardem”. Chciałam należeć do grupy „twórców”, a nie tylko „wykonawców”.

A następnie stwierdziłaś, że określenie „bard” absolutnie do Ciebie nie pasuje.

Idea bardowska skończyła się w naszym kraju wraz z upadkiem władzy komunistycznej. Podobnie stało się z piosenką studencką, która w tamtym czasie stanowiła wentyl dla twórców i społeczeństwa. Dziś nie ma już potrzeby, by śpiewać piosenki zaangażowane, a jeśli się one pojawiają, to traktują o nieco innych wartościach i korzystają z innych środków wyrazu. Znaczenie poezji też jest współcześnie zupełnie inne.

Porównywanie waszej twórczości do tego, co było, nie ma sensu?

Bard kojarzy mi się z człowiekiem, który wychodzi sam z gitarą na scenę – i gra. Tylko on buduje całą dramaturgię swojego występu. Bardzo imponuje mi, gdy taka osoba cechuje się sporą charyzmą i potrafi przyciągnąć widza na dłużej, wciągając go w świat swojej opowieści. Niemniej, osobiście nie utożsamiam się do końca z taką formą przekazu. Nie chciałabym być nazywana bardem, bo po pierwsze – nie piszę tak jak oni, a po drugie – gdy sama występuję, mam ochotę dać słuchaczowi coś więcej niż tylko dobrą treść i emocje.

Na przykład?

Nieco bogatsze instrumentarium, muzyczne inspiracje czy walory wizualne związane z ciekawie dobranym strojem czy scenografią koncertu. Bardowie nie mają takich elementów, bo ich nie potrzebują. Bliżej mi chyba do nazwania siebie „songwriterem” albo „twórcą muzyki alternatywnej”. Wynika to z tego, że chodzi mi o tworzenie muzyki, a nie konkretnego gatunku. Mam

szacunek do poezji, do skrupulatnie napisanych tekstów, ale jednocześnie chcę sprawić, by ich wykonanie było bardziej współczesne. Dlatego nie nazwałabym tego, co robię, „poezją śpiewaną”. Zwłaszcza że od zawsze byłam fanką przeróżnej muzyki, od mocnego uderzenia po hiphopową gadkę. Bardzo doceniam takie połączenia, jak chociażby w przypadku Justyny „Sieni” Sieniuc, mojej festiwalowej koleżanki. Gitara, prosty bit, raperski sznyt i treść. Da się!

Może kiedyś mnie najdzie, by zrobić show sceniczny jak Ralph Ka-

pomocą przyszła mi wykładowczyni, profesor Katarzyna Matuszak, która wyszła z propozycją zrobienia dodatkowego projektu. Zaproponowała mi to, bo widziała, że tworzę, jeżdżę, występuję i jestem otwarta na nowe wyzwania artystyczne. To była świetna propozycja, zwłaszcza że mogłam połączyć ten pomysł z dyplomem ze śpiewu. Podczas reaserchu zapoznałam się z wcześniej publikowanymi tłumaczeniami The Doors, ale moim zdaniem były one zbyt dosłowne lub zwyczajnie pozbawione rytmu. Postanowiłam więc przygotować samo-

Wychowałam się w domu aktorów. Wyrosłam w przekonaniu, że dialog ze sztuką, czynne doświadczanie jej jest rzeczą naturalną. Nie jest czymś odległym i niedostępnym. Za pośrednictwem moich rodziców kręciłam się w świecie teatralnym. Byłam otwartym dzieckiem, zainteresowanym, chętnym do działania i podejmowania wyzwań na tle artystycznym. Dopiero po latach okazało się, że nie dla wszystkich jest tak oczywistym stwierdzenie, że artysta to taki sam, normalny człowiek. Wszystko przez to, że artyści rozta-

i postanowił się tym pochwalić na swojej tablicy.

Mój ojciec, Grzegorz Wiśniewski, od lat interesuje się wierszem i poezją, ze szczególnym uwzględnieniem twórczości Jacka Kaczmarskiego i Włodzimierza Wysockiego. W przerwach między graniem w teatrze zdarza mu się także koncertować z programami tych autorów. Raz na jakiś czas w ramach różnych projektów zajmuje się również reżyserią. Wraz z moją mamą Małgorzatą od ponad 10 lat prowadzą Stowarzyszenie Teatr Piosenki STP i pod tym szyldem właśnie rodzice tworzą i grają w autorskich spektaklach z piosenkami, między innymi Agnieszki Osieckiej, Wojciecha Młynarskiego czy z gatunku żydowskiego szmonecsu. Twórczość rodziców miała wpływ też na mnie, bardzo mnie inspirowała w najmłodszych latach. To dzięki ich działaniom artystycznych pojawił się we mnie szacunek do poezji i polskiej piosenki literackiej, a jednocześnie podczas własnych poszukiwań staram się czerpać inspiracje z innych źródeł i eksperymentować we własnych kompozycjach.

Na Spotkaniach w Olsztynie wyraźnie pokazałaś, o jakich eksperymentach muzycznych mówisz.

Masz na myśli „Mróz”? To ciekawe, bo początkowo napisałam ten utwór tylko na ukulele i... schowałam go w szufladzie, bo stwierdziłam, że jest niewiarygodnie nudny w takiej formie. Kilka lat później, dość spontanicznie, postanowiliśmy z pianistą Tomkiem Jagiełowiczem przetestować pewien pomysł: zrobiliśmy próbkę tego kawałka z muzyką elektroniczną. Swoją drogą, Tomek był klawiszowcem kapeli metalowej Oberschlesien, co nie przeszkodziło nam w stworzeniu czegoś wspólnego! Niby dwa światy, a jednak! Gdy wybierałam się na Spotkania, stwierdziłam, że dobrze jest wykorzystać okazję, w której na scenie jest cały zespół muzyków. Dzięki uprzejmości i otwartości Pawła Lucewicza (kierownika muzycznego Spotkań Zamkowych) udało się wykorzystać syntezatory i przygotowaliśmy aranż zbliżony do tego stworzonego z Tomkiem. Utwór spodobał się jury na tyle, że dostałam I nagrodę. Widziałam też wiele uśmiechów wśród publiczności, a sądząc po brawach, myślę, że im również przypadł do gustu. Bardzo miłe wspomnienie.

Powiedziałaś mi kiedyś, że bardziej poruszają Cię na scenie mężczyźni niż kobiety.

To chyba wynika z mojej płci. (śmiej) Faktem jest jednak, że częściej zdarza mi się obcować i pracować z mężczyznami. Mam też poczucie, być może mylne, że jest więcej mężczyzn tworzących w sposób dla mnie inspirujący. Być może z powodu ich wrażliwości, dosadności przekazu? Nie chciałabym w tym miejscu generalizować, bo kobieta może urzec mnie na scenie tak samo jak męż-



Jarosław Wicher

minski? Albo wymarzę sobie koncert z orkiestrą symfoniczną, bo czemu nie? Chcę eksperymentować, chcę próbować, chcę robić nowe projekty. Chcę poruszać. Chcę dostarczać ludziom czegoś, co im zostanie w głowie, za pomocą różnych form widowiska. Spotkania ze sztuką powinny być nie tylko przyjemne, ale także zostawiać coś po sobie: wspomnienie, uczucie, emocję. To akurat mnie z bardami łączy. (śmiej)

Znajdziemy to na Twojej debiutanckiej płycie, którą teraz szykujesz?

Chciałabym, by moje utwory, które znajdują się na płycie, były ciekawe i muzycznie interesujące, a także literacko wartościowe. W moim przypadku proces znajdowania swojego stylu wciąż trwa. Jak dotąd moja twórczość jest mieszanką songwriterki, muzyki akustycznej z ciągotami do innych gatunków muzyki rozrywkowej... a w kontekście tekstów piosenek być może faktycznie zostało we mnie odrobinkę z barda. Nie chcę jednak się skupiać na tym, by stworzyć na płytę wiersze na poziomie Mickiewicza, bo to się mija z celem. Chcę, by były spójne ze mną w tym momencie życia.

A w międzyczasie wprowadzasz rockowo-bluesowe brzmienia na uczelnię w ramach dyplomu z wokalu...

Od dawna chciałam stworzyć polskie teksty do piosenek The Doors, ale krążyło to gdzieś w krainie marzeń. No bo niby jak? Kto miałby śpiewać i kto zagrać? Przy jakiej okazji, jeśli nie samoistnego spektaklu? Z

dzielnie nowe przekłady. To ciekawe doświadczenie – sprawdzić, czy potrafi się zrobić sensowny przekład i czy potrafi się wykonywać takie piosenki. Zaproponowałam do udziału w projekcie nie tylko studentów z naszej uczelni, ale także Tomasza Kotwicę, który robi na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy doktorat z dyrygentury i jest współprowadzącym chór akademickiego. Jest to więc projekt nie tylko studentów, lecz także w jakimś stopniu wykładowców, co tym



Manuszkiewicz

bardziej napawa mnie radością i motywuje do pracy. „Projekt: Morrison” miał mieć premierę 28 marca, jednak z uwagi na obecną sytuację musieliśmy przelożyć wydarzenie. Pozostaje nam czekać na inny termin, gdy to wszystko się uspokoi. Jednak z pewnością zagramy!

Otwartość na eksperymentowanie w świecie muzyki to cecha wyniesiona z domu?

czynna. Jednak w przypadku muzyki to męskie głosy częściej kradną moje serce.

Mam taką teorię, że mężczyźni „odzyskują” naszenie właśnie wrażliwość, o której mówisz, a kobiety – siłę.

Coś w tym jest. Wciąż istnieje stereotyp kobiet ubóstwiających smutnych facetów z gitarami, bo im się wydaje, że mogłyby ich pocieszyć. (Śmiech) Nie jest to oczywiście reguła, ale trzeba pamiętać, że sztuka pozwala artystom na kreacje. Jest jakąś formą ekspresji i niekoniecznie na scenie musimy być tacy sami jak w rzeczywistości, co stanowi doskonały wentyl do przekazywania emocji. Nie zawsze mamy na to odwagę w prawdziwym życiu. Lech Janerka chociażby w którymś z wywiadów przyznał, że dla niego piosenka jest formą komunikacji ze słuchaczem. W tekstach wylewa z siebie to, co go boli, z czym się nie zgadza, co nie zawsze jest proste podczas rozmowy z drugą osobą.

Swoją drogą, w społeczeństwie chyba wciąż funkcjonuje taki stereotyp *indwiduum*, jakim jest artysta... cierpiący, biedny, palący papierosy i pijący sporo wódki. Gdy faktycznie człowiek tkwi w takim stereotypie, wtedy jest tym dobrym artystą. A jak jest szczęśliwym, spełnionym człowiekiem, przy okazji tworzącym sztukę – to jest zdrajcą i żaden z niego artysta. A z pewnością nie przez duże A. Kim więc jest taki delikwent?

Zdrajcą dla środowiska czy publiczności?

Raczej dla środowiska. Ale w moim przypadku w czasie aktu cierpienia nie urodziło się nic dobrego oprócz przemyśleń. Były tylko ciemność i nicość, brak inspiracji i brak kreatywności. Mogłam o przeżyciach pisać później, jak się już doprowadziłam do stabilnego stanu... Przynajmniej u mnie to tak wygląda, ale nie wiem, jak to jest w przypadku „zropaczonych artystów”, o ile tacy jeszcze są. Świat się zmienił, a sztuka przestała być jedynie wzniosłą ideą. Dla niektórych jest formą zarobku, obok domu, dzieci i normalnego życia. Jej uprawianie wciąż nosi w sobie znamiona elitarności, jednak nie definiuje już człowieka jako kogoś nieszczęśliwego, kim targają emocje i kto musi je z siebie wykrzesać.

Co do kobiet... gdy się nad tym zastanawiam, jest kilka takich, które mnie bardzo wzruszają na scenie. Na myśl przyszła mi teraz Barbara Streisand, która jest charyzmatyczną petardą, Nina Simone – wulkan mocy i doskonałych dźwięków, Janis Joplin z jej schrypiałym głosem, bardzo dojmującym. Powstało ciekawe zestawienie! Jest jednak coś, co łączy i kobiety, i mężczyzn, którzy zapadają mi w pamięć: energia, moc, charyzma, emocje. Opozycja wobec rzeczywistości. Trochę tak było też z Jimem Morrisonem z The Doors. Wszystkich tych wykonawców coś tam w środku gniołło. Od diwy estrady w cekinach do rockandrollowca w glanach. Dlatego wychodzili na scenę i czarowali. Mieli coś do powiedzenia. Mieli charyzmę. Mieli w sobie to „coś”. Mnie ujmuje przede wszystkim autentyczność w artystach. Tylko z tymi „prawdziwymi” chcę zostać na dłużej, bo przekazują mi swoje emocje. Właśnie dlatego też w moich utworach chcę od początku stawiać

na spójność ze sobą. Podobnie jak w życiu. Lepiej od początku funkcjonować w zgodzie z samym sobą. To nie zawsze jest łatwe, ale z czasem przynosi olbrzymią satysfakcję i po prostu – szczęście, nie tylko ze sobą, ale też wobec innych. Często jednak jest inaczej i zaczyna się dziać jak w mojej „Litaniu”.

Ten utwór po raz pierwszy usłyszałam w 2016 roku na Festiwalu NADZIEJA im. Jacka Kaczmarskiego w Kołobrzegu. Wtedy, podobnie jak z Olsztyna, wróciłaś do domu jako laureatka I miejsca.

„Litania” była jednym z moich pierwszych tekstów. Napisałam ją w drodze z Lublina do Poznania, pod wpływem tak gęsto stojących na Lubelszczyźnie kapliczek. Piękno krajobrazu zainspirowało mnie do stworzenia tekstu o niezgodzie między ludźmi

dowej. W kilku przypadkach usłyszałam, że moi znajomi z zagranicy nie czują pełnej przynależności ani do kraju, z którego pochodzą, ani do tego, w którym od wielu lat mieszkają. Dużo o tym myślałam, podobnie jak o ogólnej sytuacji imigrantów w Polsce. Słyszysz się u nas – niestety – o przypadkach agresji wobec osób, które tu przyjechały, które nie mówią po polsku. W „Litaniu” wybrzmiewa między innymi właśnie kwestia nienawiści, która jest obecnie w Polsce „na tacy”. Można to odnieść do agresji słownej i fizycznej, wobec innych, a więc również wobec imigrantów. A ta nienawiść bierze się głównie ze strachu albo niewiedzy. Nie tylko w kontekście imigrantów, ale również osób o odmiennych poglądach, wyznaniu, kolorze skóry czy preferencjach seksualnych. To zjawisko mnie smuci, stąd właśnie tekst do „Litaniu” jest taki, a nie inny.

tów, które akurat dotyczą danego twórcy i którymi się interesują.

Ty jednak śpiewasz o ciebie.

Tak, ale nie wiem, czy jest to temat zarezerwowany wyłącznie dla kobiet, choć faktycznie rzadko się mówi w drugą stronę. Podobnie jak o przemocy kobiet wobec mężczyzn. O żeńskiej agresji słownej wobec chłopaków. O męskiej depresji bez metafory. Mężczyzna według stereotypu ma być silny i zarabiać na dom! A w rzeczywistości? Właściwie... to jest bardzo dobry pomysł na piosenkę!

W „Zwierciadłach” przeglądają się jednak na razie kobiety.

„Zwierciadła” to taki mini protest song. Często to kobiety kobietom robią wyrzuty, że mogłyby odrobinę schudnąć. Szczególnie lubują się w tej czynności matki i ciotki, które chcą „wespierać” dobrą radą. Czemu

to jedynie wycinek jakiejś relacji i nie odnosi się do każdego związku. To oczywiste. W związku można być zarówno dla kogoś ogniem i wodą, ale również powietrzem czy ziemią. Albo wszystkim tym na raz. Wszystkie żywioły mogą się ze sobą pięknie połączyć. Wszystko zależy od kontekstu.

Jesteś zadziorna, odważna w muzyce i głosie, dotarłaś „tam, gdzie diabeł chodzi spać”. A mam jednak poczucie, że daleko Ci do głoszenia jakichś prawd objawionych o kobiecości, do nawoływania do zmian i naprawiania świata.

Bo kimże jestem, żeby nawoływać do takich rzeczy? Świat jest dla mnie bardzo skomplikowany, podobnie jak większość postulatów, o które toczą się zażarte dyskusje społeczne. Z jednej strony dobrze, że trudne kwestie porusza się publicznie. Z drugiej nie zgadzam się na często agresywną, roszczeniową i poniekąd prostacką doktrynę propozycji rozwiązywania problemów. W kwestii feminizmu jestem chyba bliżej postulatów z początku tego ruchu. Interesuje mnie równość płci, wzajemny szacunek i akceptacja. Nie agresywne traktowanie mężczyzn jako „wrogów uciemnionych kobiet”. To skrajność, której się boję i z którą się nie utożsamiam. Aczkolwiek czy to jest feminizm? I czy to nie powinno być zwyczajnym, że ludzie ze sobą dyskutują w sposób kulturalny i starają się, jeśli to konieczne, dojść do konsensusu? Niestety, jak wspomniałam, świat to miejsce skomplikowane i nie wszystko jest tak proste, jakbyśmy tego chcieli.

ZUZANNA WIŚNIEWSKA



Maciej Szczęsny

spowodowanej między innymi religią. Na marginesie dodam, że uwielbiam Lubelszczyznę – głównie za sprawą mojego przyjaciela Kuby Zuckermana, który stamtąd pochodzi i cudownie o niej opowiada. Dodatkowym „przyciągaczem” mojej sympatii są krajobrazy tamtych okolic. Zdarzyło mi się kilka tekstów popelnić właśnie na Lubelszczyźnie, a „Litania” była pierwszym – który w dodatku ze mną został i nadal jest grany.

I nadal jest bardzo kontrowersyjny.

Owszem. Ta piosenka jest zaangażowana, ale nie politycznie czy religijnie. Błędem jest myślenie, że atakuję w niej Kościół. Chciałam za jej pomocą zwrócić uwagę na pewne postawy ludzkie. Cały utwór jest przenośnią. Nasz kraj jest uznawany za katolicki, więc może się wydawać, że uderzam w Kościół – jednak nie to było moim celem. Natomiast zapowiadam ją do dzisiaj jako piosenkę kontrowersyjną, ponieważ są ludzie, którzy potrafili się na mnie przez nią obrazić. Zdarza się, że jak wybrzmiewa ujęta na początku apostrofa do Matki Boskiej, to wiele osób nie chce dalej słuchać utworu, a tym bardziej usłyszeć puenty. A szkoda, bo to właśnie w puencie jest zawarty sens „kontrowersyjny” całej wypowiedzi.

Do „Litaniu” zainspirowało mnie też zjawisko coraz częstszej imigracji. Mam kilku znajomych z Rosji czy Ukrainy, którzy mieszkają w Polsce od wielu lat. Zdarzało mi się poruszać z nimi kwestię ich tożsamości naro-

Czy masz poczucie, że jakieś tematy są „zarezerwowane” tylko dla kobiet?

Wydaje mi się, że mimo mnogości tematów podwaliną wszystkich tekstów poetyckich jest miłość i wolność. Pisanie w dużej mierze wynika z chęci wyrażenia swoich emocji i stosunku do rzeczywistości. Z moich obserwacji wynika, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety bardziej śpiewają właśnie o miłości, a też często, w przypadku młodych artystów, o jej poszukiwaniu, ale też o przemyśleniach, które z tego wynikają. Trudno mi wskazać jednoznaczne tematy „zarezerwowane” dla kobiet w piosenkach. Może menstruacja albo rodzenie dzieci? (Śmiech) To trywialne, ale piosenki o zespole napięcia przedmiesiączkowego też powstają, jak chociażby ten „PMS” Wieży Bajzel. Wydaje mi się jednak, że koniec końców próżno szukać podziałów na męskie i żeńskie tematy w poezji. Jedyne, co zauważyłam, niemniej w kontekście starszej poezji, to to, że mężczyźni częściej sięgali po tematy drażliwe społecznie i politycznie. Jak Tuwim w klasyku pt. „Całujcie mnie wszyscy w dupę” czy Gałczyński w „La danse de Polonais”. Kobieta z kolei szybciej napisze tekst o tym, że nie akceptuje swojego ciała niż mężczyzna. A może się mylę? Koniec końców mam wrażenie, że podstawa zawsze jednak jest taka sama – chęć zobrazowania stosunku do rzeczywistości, przy pomocy tema-

jednak kobieta powinna się katować? Jeśli chce mieć talię osy, to może ją mieć, a jeśli nie chce – to niech nie czuje społecznej presji, żeby ją mieć! Przyznaję, że nie zawsze mi wychodzi całkowite odrzucenie krytyki otoczenia. Szczególnie, gdy jest pasywno-agresywna. To jest trudny temat, z którym jednak staram się na co dzień sobie radzić.

Kobiety w Twoich tekstach są też niezwykle... ogniste.

Faktycznie, coraz częściej zdarza się zauważyć dysproporcję w postrzeganiu płci. Często to kobiety są ogniste, płomienne, żywiołowe i pełne energii – ich fertyczność wynika poniekąd z tego, że mają wiele pól do jej eksploatacji, chociażby na ścieżkach zawodowych. Nie są już jedynie spokojnym jeziorem, ostoją domu. Tak samo mężczyźni nie zawsze są wulkanem mocy i dynamizmu. Czasem mają w sobie coś z „wody”, a ich obecność w życiu przynosi ukojenie. Mam wrażenie, że to nie do końca odnosi się do płci, tylko do momentu. Kobiety i mężczyźni mają w sobie różne strony, zarówno te energiczne, jak i spokojne. Trudno powiedzieć, że ktoś jest bardziej taki albo taki. Klasyczne podziały na role rodzinne już dawno uległy deformacji, tak samo jak postrzeganie kobiet czy mężczyzn jako symboli. W „K.” opowiadam historię swojej znajomości z mężczyzną, który w tamtym momencie był dla mnie „wodą” – wychnieniem w szalonej wędrówce przez życie. Jest

Urodzona w 1995 roku Toruniu. Autorka tekstów piosenek, ukulelelistka, kompozytorka, obserwatorka świata. Absolwentka kulturoznawstwa Uniwersytetu Adama Mickiewicza i studentka edukacji muzycznej w zakresie sztuki muzycznej Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego. Córka aktorów, Grzegorza Wiśniewskiego i Małgorzaty Chojnowskiej-Wiśniewskiej, związanych z Teatrem im. Wilama Horzycy w Toruniu. Laureatka ogólnopolskich festiwali piosenki autorskiej, poetyckiej i artystycznej.

Koncertuje po całym kraju z autorskimi piosenkami. Od 2019 roku na scenie towarzyszą jej muzycy: Piotr Klimek (bas) i Dawid Cholewiński (cajon, instrumenty perkusyjne). W 2020 roku odbędzie się premiera monodramu muzycznego „Project Morrison”, w którym występuje jako solistka. Jest również autorką przekładów użytych w spektaklu. Autorka muzyki do spektakli teatralnych, między innymi „Białego dmuchawca” (Teatr R. Bezimienni). W międzyczasie kończy studia i przygotowuje się do wydania debiutanckiej płyty.

- I nagroda 46. Ogólnopolskich Spotkań Zamkowych „Śpiewajmy Poezję w Olsztynie”

- I nagroda 54. Turnieju Poezji Śpiewanej we Włocławku

- Grand Prix XVI Festiwalu im. Jacka Kaczmarskiego „Nadzieja” w Kołobrzegu

- Grand Prix Festiwalu Interpretacji Piosenki Aktorskiej FIPA (2016), (2019)

Spotkanie z Krzysztofem Pendereckim we Lwowie w 2014 r.

Podczas III Międzynarodowego Festiwalu „Odkrywamy Paderewskiego” odbyło się spotkanie z Krzysztofem Pendereckim – kompozytorem, dyrygentem i profesorem Akademii Muzycznej w Krakowie. Kompozytor powiedział o sobie i swojej twórczości, odpowiadał na liczne pytania młodzieży. Spotkanie prowadziła prof. Lubow Kijanowska. Po spotkaniu z KRZYSZTOFEM PENDECKIM rozmawiała ANNA GORDIJEWSKA.

Przed wojną Pan jako dziecko przyjeżdżał do Lwowa. Co utkwiło Panu w pamięci?

To są bardzo głębokie wspomnienia wstecz, do moich najwcześniejszych lat. Przyjeżdżałem tutaj od drugiego roku życia aż do rozpoczęcia wojny, kiedy miałem niecałe 6 lat. Mój wujek był szefem sztabu, a dziadek studiował we Lwowie. Myśmy mieszkali w Dębicy między Krakowem i Lwowem, ale Lwów to było miasto bardzo „bliskie” dla nas. Pamiętam Panoramę Raclawicką, to jest to, co najbardziej mi utkwiło w pamięci, poza moją rodziną.

Kiedy powstało „Credo”, utwór, który miała możliwość wystąpienia publiczność lwowska?

Credo – to jest wyznanie wiary. Kiedy ukończyłem 65 lat wtedy postanowiłem je napisać, było to bardzo ważne dla mnie. Jest to osobisty utwór, w którym nie chciałem być awangardowym kompozytorem, chciałem napisać muzykę, którą czuję i która mi była potrzebna. Jest to najdłuższy utwór „Credo”, które ktokolwiek napisał.

Pochodzi Pan z rodziny wielokulturowej. Proszę opowiedzieć o swoich korzeniach?

Moja babcia była Ormianką, mieszkała w małej miejscowości, gdzie nie było kościoła ormiańskiego, chodziła do greckokatolickiego i dlatego mój ojciec był chrzczony w obrządku greckokatolickim. Dziadek był Niemcem. Rodzina mojego ojca mieszkała koło Rohatyna w małej miejscowości Tenetniki. Zawdzięczam mojemu ojcu bardzo dużo. Zapoznał mnie z muzyką ludową, która nie była popularna w Polsce, jeździliśmy do wschodniej Polski, w Bieszczady, do Białegostoku, żeby słuchać muzyki tych regionów. Ojciec prowadził mnie do cerkwi. Zostałem wychowany w rodzinie religijnej, z wiekiem jest to coraz mocniejsze. Jestem katolikiem, ale muzycznie największy wpływ miała na mnie muzyka cerkiewna. Jestem otwarty dla każdej wiary. Pan Bóg jest jeden, a czy to pisze się po hebrajsku, czy ormiańsku, czy łaciną nie ma znaczenia. Łacina jest językiem, w którym się wychowałem. W ciągu ostatnich 1000 lat była językiem obowiązującym w kościele katolickim, więc większość moich utworów jest napisana łaciną. Dotychczas nie chodzę do kościoła, gdzie jest msza po polsku, tylko znajduję kościół, w którym jest odprawiana po łacinie.



Komu Pan zawdzięcza to, że został muzykiem?

Mój ojciec chciał, abym został skrzypkiem. Był adwokatem, ale grał codziennie na skrzypkach. Kiedy miałem 5 lat dostałem skrzypce do ręki i ojciec powiedział: będziesz się uczyć. Nie chciałem na początku, wolałem grać w piłkę z kolegami, ale coraz bardziej mnie to wciągało. Miałem kochanego dziadka. W tym czasie już nie pracował, więc mógł więcej czasu poświęcić dla mnie. Wcześniej był dyrektorem banku, który wybudował w tym samym małym miasteczku, gdzie się urodziłem. Najpierw przyszli Niemcy i wyrzucili nas, potem przyszli sowieci i jako burżujów też wyrzucili nas z domu. Mój dziadek był Niemcem, który stosował bardzo dobrą metodę: siedząc przy mnie z zegarkiem w rękę obserwował jak długo ćwiczę i za każde dodatkowe 15 minut płacił mi. Ojciec nie pochwałał tego mówiąc, że to nie jest metoda wychowawcza, ale

awangarda była formą protestu przeciwko narzuconej nam przez Rosję estetyce żdanowskiej. Zerwaliśmy z tradycją i zaczęliśmy szukać nowej muzyki. W 1957 powstało studio muzyki elektronicznej przy Polskim Radiu w Warszawie i dla mnie była to wielka fascynacja, kiedy moja muzyka zmieniła się zupełnie. Rozpoczął się kontakt z elektroniką – wówczas to był nowy świat. Teraz każdy w kieszeni ma elektronikę i to nie jest nic nowego, ale wówczas zachodnia awangarda była zabroniona, my musieliśmy tworzyć swoją awangardę.

Pierwszy utwór sakralny – psalm Dawida – napisałem również w 1957 roku. W tym czasie Polska nie była wolnym krajem, nie wykonywano wtedy muzykę religijną. Ponieważ nie była grana, to na znak protestu pisałem muzykę sakralną.

Po awangardzie nastąpił moment „flirtu z przeszłością”?



okazało się, że to jest dobra metoda, bo zawsze miałem za co kupić sobie zabawki czy wydać na czekoladę. Może dlatego, że mi dziadek płacił – zostałem muzykiem (śmiech).

Jakie miejsce w twórczości Pana profesora zajmuje muzyka awangardowa?

Każdy twórca i kompozytor przechodzi pewne okresy. Awangarda była chyba najważniejszym dla mnie okresem tworzenia się zupełnie czegoś nowego – discovery nie tylko w muzyce, ale w sztuce i świecie technicznym. Wyrastałem w epoce powstawania nowej estetyki, szczególnie w Polsce. Pod koniec lat 50.

Wyrostem na polifonii. Tak się szczęśliwie złożyło. Miałem dwóch profesorów, każdy miał obsesję na temat uczenia kontrapunktu – to jest uczenie możliwości równoczesnej muzyki na wielu płaszczyznach, w ten sposób najbardziej rozwija się muzykalność. Polifonia istnieje w mojej muzyce od samego początku była w awangardowej muzyce też, tylko zupełnie inna. Po awangardzie nastąpił powrót do melodyki, a bez melodyki nie ma muzyki.

Znane jest stwierdzenie, żeby dobrze pisać muzykę trzeba cierpieć. Jak to jest w Pana przypadku?

Każdego dnia rano siadam do pracy i wydaje mi się, że niczego nie umiem i nie potrafię napisać nawet jednej nuty. I to jest walka z materiałem, który jest oporny i nie układa się pod rękę, tylko go trzeba wydrzeć z siebie, z wnętrza. To jest, wydaje mi się, najważniejszym cierpieniem twórcy.

Byłem prześladowany, pisałem muzykę, która nie każdemu się podobała. Moją awangardę nie każdy rozumiał. Pamiętam pierwsze próby trenu i polimorfii z filharmonią krakowską, gdzie muzycy pukali się w głowę, śmiali się, nie brali tego poważnie. To nie było tak, że ta muzyka była od razu przyjęta. Natomiast kiedy napisałem „Pasję”, która była zupełnie innym utworem, to z kolei awangarda ode mnie się odwróciła. Nie miałem łatwego życia jako twórcy. Dopiero teraz na stare lata to się uspokoiło, ale mnie zawsze krytykowano. Moja muzyka była do tego

całe życie, nie ma takiego drugiego. Ubóstwiam Beethovena, Szostakowicza, z którym się przyjaźniłem, Prokofiewa, Rachmaninowa. Bardzo lubię słowiańską muzykę. Jeśli chodzi o współczesnych ukraińskich kompozytorów to dla mnie bardzo bliska jest muzyka symfoniczna Latoszyńskiego, którego znałem osobiście, niejednokrotnie przyjeżdżał do nas oraz Sylwestrowa, którego muzyka jest często u nas wykonywana.

Jakie metody jako pedagog Pan profesor stosuje w pracy ze studentami?

Nigdy nie byłem najlepszym pedagogiem, ponieważ moja własna muzyka zawsze interesowała mnie bardziej niż ta, którą pisali moi uczniowie. Muszę przyznać, że nie jestem najlepszym pedagogiem, ale uważałem, że w tym ważnym okresie ktoś powinien stać na czele Akademii Muzycznej. Nie chciałem być rektorem, ale trzymali mnie na tym stanowisku i szkoła skorzystała, bo jednak znali mnie w ministerstwie i mogłem dużo załatwić dla szkoły, na przykład fortepian. Potem kiedy posadziłem drzewa w mojej posiadłości w Lusławicach postanowiłem coś zrobić dla młodych ludzi i starałem się o pieniądze w Unii Europejskiej, ministerstwo dodało 15%. Budowa trwała 7 lat. To jest jedno z największych moich dzieł, które powstało z niczego, bo na łące gdzie się pasły krowy powstało centrum dokąd przyjeżdża z całego świata młodzież, a nawet dzieci. Myśmy stworzyli orkiestrę dziecięcą dla najlepszych, wybranych z całej Polski, żeby dzieci tam mogły się kształcić i uważam ten opus za bardzo ważny w swoim życiu.

Co dla Pana jest największą inspiracją?

Dla mnie największą inspiracją jest tekst. Napisałem cztery opery, mam zamiar pisać następną i to jest moja inspiracja, a nie muzyka, która jest we mnie. Nie muszę już słuchać, trudno, żeby mnie coś zainteresowało.

Czy chętnie wraca Pan do Lwowa?

Oczywiście, że bardzo chętnie, tylko nie często jestem zapraszany. Teraz otworzyły się większe możliwości. Ja bym bardzo chciał przyjechać tutaj do Akademii Muzycznej i właśnie ze studentami zrobić koncert i to jest najważniejsze, ponieważ ostatnio zajmują się młodzieżą, o czym już mówiłem, zbudowałem Centrum Europejskie w Lusławicach. Możemy nawiązać kontakty, organizować wymiany studentów między Lusławicami i Lwowem. Mam nadzieję, że w przyszłym roku jak tylko znajdę jakieś okienko i czas chciałbym przyjechać do Lwowa i zadyrygować koncertem ze studentami. Chciałem podziękować licznie zebranym studentom tutaj, w tym gmachu, bo na spotkaniu ze mną w krakowskiej Akademii Muzycznej, gdzie byłem rektorem w ciągu ostatnich 14 lat, byłaby połowa sali. Myślę, że nie jest się prorokiem we własnym kraju.

Aleksy Kokorew
zdjęcia

Tekst ukazał się w nr 22 (218) 28 listopada – 18 grudnia 2014 r.

Non omnis moriar...

ZBIGNIEW CHRZANOWSKI
tekst
archiwum autora
zdjęcia

W ten niedzielny poranek, 29 marca, jak zwykle włączyłem radiową dwójkę i usłyszałem znajomy głos Joanny Wnuk-Nazarowej, przewinęły się słowa „odejście mistrza” i natychmiast zrozumiałem, że chodzi o Krzysztofa Pendereckiego. Dalszy ciąg programu upewnił mnie



tylko o Jego śmierci. Cały dzień byłem przykuty do radia, bo jedna za drugą wypowiadały się osoby związane z Nim i Jego Twórczością.

Nie zadzwoniłem do radia, natomiast na drugi dzień udało mi się chwilę porozmawiać z Elżbietą Penderecką, która podzieliła się ze mną informacją o pogrzebie, który będzie miał charakter państwowy, ale odbędzie się w stosownej chwili, kiedy skończy się pandemia wirusowa, i że urna z prochami Zmarłego zostanie złożona w krypcie kościoła św. Piotra i Pawła w Krakowie.

Pisać o znaczeniu twórczości Krzysztofa Pendereckiego dla polskiej i światowej kultury byłoby truizmem, ale to co skłoniło mnie do napisania tych kilku słów była moja długoletnia znajomość i przyjaźń z Nim, która rozpoczęła się dość niespodziewanie w roku 1987.

Kiedy już mogłem odwiedzić moje rodzinne miasto po wymuszonym opuszczeniu Lwowa w 1983 roku, spotkałem przypadkowo mojego serdecznego przyjaciela Eugeniusza Łysyka – przypominę czytelnikom „Kuriera”, że chodzi o wybitnego scenografa Opery Lwowskiej. Zapytał mnie, czy słyszałem o operze „Czarna maska” i czy przypadkiem znam autora tego dzieła. O Krzysztofie Pendereckim wiedziałem już sporo – „Czarną maskę” oglądałem i słuchałem w Teatrze Wielkim w Poznaniu, dzięki biletom zdobytym dla nas przez byłego aktora naszego teatru Piotra Pisarczyka i jego żony, która już wtedy tańczyła w Operze Poznańskiej. Wracając do rozmowy z Łysykiem: powiedział mi, że dyrygent Lwowskiej Opery Igor Łacanycz jest zainteresowany tym tematem. No i zaczęło się poszukiwanie nieuchwytnego praktycznie już wtedy Autora. W kontakcie z Nim pomógł nie kto inny, jak nasz sławny ziomek kompozytor Andrzej Kurylewicz, z którym przyjaźniłem się już od wielu lat, z kolei dzięki Adamowi Hanuszkiewiczowi – jednym słowem „chebra lwowska” stoi u progu tej historii. Andrzej zadzwonił do syna Krzysztofa Pendereckiego Łukasza, który podał telefon ojca, no i kontakt,

na razie telefoniczny, został nawiązany, wyznaczony dzień spotkania i miejsce – hotel „Pod Różą” w Krakowie. Pamiętam, że była to niedziela godz. 12. Trochę onieśmielony powie-działem Mistrzowi o takiej propozycji. Przyjął informację życzliwie, ale zapytał od razu czy zdaję sobie sprawę z trudności materiału muzycznego i czy znajdują się odpowiedni soliści. Byłem optymistycznie nastawiony, choć zdawałem sobie sprawę z bardzo skomplikowanego przedsięwzięcia,

które zresztą upadło, bo wkroczyły bezlitosne prawa autorskie, wtedy już należące do niemieckiego wydawnictwa muzycznego. Partytura „Czarnej maski” znajduje się w Lwowie w posiadaniu profesor Lwowskiej Akademii Muzycznej p. Ludmiły Bożko-Łacanycz, ale historia mojej znajomości z Krzysztofem Pendereckim rozwinęła się niespodziewanie w innym kierunku. Już w 1994 roku, kiedy zacząłem pracować w Przemysłu, dzięki wsparciu ówczesnego dyrektora Wydziału Kultury Mariusza

lanki, Jadwigi Rappe, no i kolejnego lwowianina Andrzeja Hiolskiego. Z tych dni pochodzi słynna historia rozmowy dwóch przemyskich seniorów w kruchcie Katedry Przemyskiej, w której odbywał się koncert, kiedy ogłosiłem wykonawców, kompozytora i zarówno dyrygenta – ponoć spytały jedna drugą „to on jeszcze żyje?”. Dla tych pań życie zatrzymało się na okresie Ignacego Paderewskiego.

A potem już potoczyło się – i pierwsza prywatna wizyta Elżbiety i Krzysztofa Pendereckich we Lwowie, i „Requiem polskie” w Katedrze Lwowskiej, „Credo” w Operze Lwowskiej i ostatnio tytuł doktora honoris causa Lwowskiej Akademii Muzycznej oraz uroczysty koncert w sali Filharmonii Lwowskiej, a później uroczysta kolacja w lwowskiej restauracji „Kopuła”, gdzie z uśmiechem Krzysztof Penderecki nadmienił, że widzimy się częściej we Lwowie aniżeli w Jego domu w Krakowie i Lusławicach, gdzie przecież byłem częstym gościem i drogim nam zdjęcie z grudnia 1996 roku, kiedy to po występie z naszą „Szopką Lwowską” w krakowskim teatrze „Groteska” „wylądowaliśmy” na ulicy Cisowej na zorganizowanej i zaimprovizowanej przez Elżbietę Penderecką Wigilię Lwowskiej.



Olbromskiego, determinacji dyrektora Centrum Kulturalnego Janusza Czarskiego i mojej skromnej osoby, zauroczony Wrocławskimi Dniami Muzyki Oratoryjno-Kantatowej, wystartowaliśmy z „Pasją wg św. Łukasza” Krzysztofa Pendereckiego pod batutą samego Autora z udziałem znakomych solistów Jadwigi Gadu-

że po lwowsku to się jeszcze mówiło „serwusik”?

Na Gwiazdkę dostałem od przyjaciela dwutomowy album „Penderecki”. Po parku Lusławickim będę wędrował chyba już tylko na fotografiach. Ale nie, pozostaje jeszcze żywy obraz w pamięci i Jego muzyka i słowa „Non omnis moriar”...

Polskie redakcje i audycje radiowe na Ukrainie

Podajemy według czasu ukraińskiego



Garry Knight from London.

Lwów



Radio Kurier Galicyjski

audycja Studio Lwów w środy o godz. 10:15 w Internecie na stronie wnet.fm, archiwum: <https://www.youtube.com/channel/UCidI611v95WQEDz7fDez83A>



Polskie Radio dla Zagranicy

Magazyn Polskiego Radia dla Zagranicy codziennie w Radiu Niezależność o godz. 18:30 na częstotliwości 106,7 FM, w Internecie: radiozagranica.pl, bądź z aplikacji Polskiego Radia. W Internecie jest nadawany codziennie również drugi magazyn o godz. 23:00



Radio Lwów

w soboty w Radiu Niezależność od godz. 9:00 do 12:00 na częstotliwości 106,7 FM, archiwum: radiolwow.org



Katolicki Program Radiowy we Lwowie

w niedziele w Radiu Niezależność na częstotliwości 106,7 FM od godz. 19:00 do 21:00, wybrane materiały dostępne na stronie <http://programkatolicki.org/>

Iwano-Frankiwsk (dawny Stanisławów)

Radio Kurier Galicyjski: audycja „Na polskiej fali” w Radiu Weża na częstotliwości 107,0 FM codziennie (premiery i powtórki) w dni pracujące o 23:15 i powtórki o 2:15 w nocy

Radio CKPiDE: publikuje dwie audycje w miesiącu na stronie ckpide.eu, archiwum: www.soundcloud.com/ckpide

Winnica

Radio Słowo Polskie: w ostatnie piątki miesiąca w Radiu Takt na częstotliwości 107,3 FM o godz. 21:00, powtórka o 24:00 12 dnia następnego miesiąca, archiwum: słowopolskie.org/program-radiowy

Berdyczów



Polskie Radio Berdyczów: audycja „Polska bliżej” raz w miesiącu w ruchome piątki w Radiu Live na częstotliwości 102,0 FM. Audycja zawsze jest zapowiedziana w radiu i kościele.

Żytomierz

Audycja „Jedność” w Radio Żytomyrska Chwyła w pierwszą sobotę miesiąca, kilka minut po godz. 20:00 w Żytomierzu na częstotliwości 103,4 FM, w Berdyczowie 107,1 FM, w Olewsku 100,2 FM i w Owruclu 104,2 FM, ponadto w radiu kablowym Teleradiokompanii Żytomierskiej

Równe

Audycja „Polska Fala” w Radiu Rytm na częstotliwości 90,9 FM w niedziele o godz. 20:20, wybrane audycje są dostępne po adresem: <https://soundcloud.com/user-540088387>

Kantorowe kursy walut na Ukrainie 27.04.2020, Lwów

KUPNO UAH		SPRZEDAŻ UAH	
27,20	1 USD	27,50	
29,20	1 EUR	29,50	
6,20	1 PLN	6,40	
33,50	1 GBR	33,90	
3,20	10 RUR	3,50	

Izrael. Wakacje last minute

Tydzień to zdecydowanie za mało na Izrael, ale nikt z nas nie jest panem swojego czasu, prawie nikt nie dysponuje nim dowolnie... może teraz, w czasach ataku nowego wirusa typu korona mamy czasu aż za dużo, ale jeszcze przez jakiś czas o podróżach nie będzie mowy.

WOJCIECH JANKOWSKI
tekst i zdjęcia

To była ważna podróż. Na liście miejsc do zwiedzenia Izrael był odkad pamiętam. Ceny biletów lotniczych kupionych kilka miesięcy przed lotem były śmieszne. Gorzej już było z cenami noclegów, ale był to czas jeszcze przedsezonowy. Stawki nie były najwyższe. Dwuosobowa ekipa wyruszyła w ważną podróż, z jednej strony Ziemia Święta, z drugiej współczesny Izrael. Masa skojarzeń, kodów religijnych i kulturowych. Na tym małym skrawku ziemi mieści się duża część Starego i Nowego Testamentu, Amoz Oz i „Piękni dwudziestoletni” Hłaski.

Jerozolima

Izrael ma wiele wspaniałych miejsc, godnych tego by je zwiedzić, ale nie można być w Izraelu i nie być w Ziemi Świętej. Wiele osób polecało Tel Awiw, ale postanowiłem zostawić stolicę na następny raz i udaliśmy się od razu do Jerozolimy. W pośpiechu – za kilka godzin miał zacząć się szabas. Szybkie zakupy, szybki obiad, by zregenerować siły i wejść w mury Jerozolimy. Kończąc obiad widziałem jak wszystko zwalnia. Kucharze już nie pracowali, klienci wychodzili, kelnerki wydawały ostatnie rachunki. Za chwilę prawie cały Izrael opustoszeje.

Pierwszy spacer pośpieszny, by zdążyć jeszcze pierwszego dnia zobaczyć choć fragment Jerozolimy. Zaczęła się wędrówka przez dzielnice, arabskie stragany, ormiańskie kościoły, niezliczoną ilość kościołów i kaplic. Tego wieczoru wydawało mi



Bazylika Grobu Pańskiego

Powrót trwał prawie tyle, co spacer. Szedłem wśród murów okalających starą część Jerozolimy. Pomysł dobry pod warunkiem, że poszedłbym w prawo... Poszedłem w lewo. Długo trwało, zanim zorientowałem się, że trzeba wracać. Pytałem o drogę mijanych ludzi. Nie było ich wielu. Jeden powiedział, że idzie w stronę Gaju Oliwnego i mogę z nim pójść, ale nie wiedziałem czy to dobry kierunek. W końcu pomogło dwóch Arabów. Pokazali w telefonie, dokąd mam iść. Byli na lekkim rauszu... Chrześcijanie? A może byli muzułmanami i mieli obojętny stosunek

do religii? Nie miałem siły pytać, ani rozmawiać...
tów orientacyjnych i przede wszystkim sposobem aby nie się pchać w labirynt małych uliczek. Lepiej było przechodzić przez ten wielki plac, niż próbować dokądś dojść obok, ginąc pośród straganów, ulic, uliczek i zwężeń między ulicami. Ściana Placzu to miejsce, gdzie w czasie szabasu nie można nawet sięgnąć po telefon. Surowe zasady dotyczą również gojów. Do godziny 16 żadnych zdjęć. Czasem ktoś zwrócił uwagę osobom wyciągającym telefon... do godziny 16, potem już można... O tej porze roku, bo uniwersalna zasada brzmi: 18 minut przed zachodem słońca.

Kopułę na Skale widać ze Ściany Placzu. Zawsze słyszałem, że tu wszystko jest obok siebie, wszystko jest przemieszane. Spacer kładką nad terenem Ściany Placzu prowadzi na Wzgórze Świątynne z meczetem Al-Aksa i Kopułą na Skale – trzeciego miejsca po Mekce i Medynie. Ze zdziwieniem odkryłem, że tu też są żołnierze izraelscy. Królowali turyści do czasu, kiedy zbliżała się godzina modlitwy. Niewierni zostali wyproszeni.

W ten sam sposób trafiliśmy do Bazyliki Grobu Pańskiego. Trafiłem na dziedziniec nieoczekiwanie. Przez ułamek sekundy zastanawiałem się dokąd trafiłem, ale świadomość szybko wróciła. Byłem na dziedzińcu i za chwilę miałem przekroczyć próg Bazyliki Grobu Pańskiego po raz pierwszy w życiu. Emocje, które towarzyszą temu momentowi można chyba porównać tylko do jednej sytuacji, gdy dziecko adoptowane, po latach życia w innej rodzinie, nagle pozna je swojego prawdziwego ojca. Towarzyszy temu stan oszołomienia, jakby nie do końca odpowiadający rzeczywistości. Powoli przywyka się do miejsca. Atmosfera nie do końca jest podniosła – gwar, tłok, chyba wszystkie języki świata, ale

dominują te swojskie z Europy. Najwięcej jest chyba Polaków, Rumunów i rosyjskojęzycznych. Znałem z opowieści atmosferę tu panującą – opiekujący się miejscem mnisi ciągle poganiają, odzierają święte miejsce z możliwości kontemplacji. Pokrzykiwania, trochę nielogiczne: *stay and go! stay and go!* Potem wejście do małego grobu, chwila na modlitwę, ale czujesz napór następnych. *Stay and go! Stay and go!* Lecz w samej bazylice można być godzinami. I w istocie nie chce się stąd wyjść. Tu każdy kamień nasączony jest świętością...



Izraelscy żołnierze

Kto nie wie, jak wygląda Droga Krzyżowa w Jerozolimie, nie tylko dozna zdziwienia, ale nie rozpozna połowy stacji. Niektóre zresztą są zakamuflowane. Nie od razu rzucają się w oczy. Niektóre mają swoich opiekunów. Dostojni Grecy, znaleźli się tu też rumuńscy duchowni, i oczywiście najwięksi chyba potentaci chrześcijańskiej Jerozolimy – Ormianie. „Żydzki Kaukazu” zagospodarowali nawet jedno przejście między stacjami na sklep z dewocjonaliami i gadżetami turystycznymi. Co kraj (czyt. kultura), to obyczaj.

Wyszedłem poza mury. Uśmiechnął się do mnie amerykańskim uśmiechem muzułmanin: *It's free. It's for you.* Przez sekundę zawalczyły we mnie dwie szkoły. Jedna rozsądna – nie ma nic za darmo na tym świecie, druga to reakcja niemal podprogowa, peerelowskie wychowanie wzięło górę – jak coś dają, bierzesz. Popatrzyłem na przedmiot, który mi wręczono, był to Koran w tłumaczeniu na angielsku.

Poza murami zamajaczyła Góra Oliwna. Po drodze była Dolina Jozafata. To tu wedle tradycji Starego Testamentu ma być Sąd Ostateczny. Malownicza dolina zachwyca widokiem, ale po raz kolejny szokuje wrażenie, że tu wszystko jest koło siebie, blisko, czasem przemieszane. Cmentarz jest tak pociągający, że podszedłem bliżej grobów. Obok przechodził ortodoksyjny Żyd. Coś powiedział po hebrajsku. Przeszedł na angielski: „Are you Jew? Very good”. Po godzinie dotarłem do Gaju Oliwnego. Znowu tu wrażenie, że wszystko tu jest takie małe. To tu ważny się losy świata całego... A drzewa oliwne są takie nieogrzotyczne. Mam wrażenie, że widzę wierzyby, takie swojskie wierzyby, prawie jak na moim Mazowszu.

Na szczycie góry jest taras widokowy, z którego widać Dolinę Jozafata i starą część Jerozolimy. W zachodzącym słońcu błyszczy złota Kopuła na Skale. To cudowny widok. Muezin zaczął nawoływać do modlitwy. Potem drugi. Potem trzeci, czwarty... Jedni pięknym, łagodnym głosem, inni bardziej nerwowo, ochryple. Nie tworzyły to jednak kakofonii. Śpiewy



Jerozolima

się, że tu nie ma Żydów. Arabowie sprzedawali swoje towary, wszystko co tylko możliwe, z gwiazdą Dawida, albo z flagą palestyńską. Czego tylko dusza zapagnie! W dzielnicy ormiańskiej słyszałem głównie francuski. Byłem oszołomiony wąskimi uliczkami, gęstą zabudową. Trzeba było już wracać... Ale właściwie gdzie byliśmy? W której części miasta? Przypomniałem sobie rady znajomych, żeby ściągnąć mapę, która będzie działała bez Internetu w telefonie, bo tu łatwo się zgubić... Coś ściągnąłem... czy działa, nie sprawdziłem... Byłem ugotowany.

do religii? Nie miałem siły pytać, ani rozmawiać...

Drugi i trzeci spacer po Jerozolimie też bez konkretnego planu. Wiedziałem jakie miejsca, chcę zobaczyć, ale zakładałem, że i tak do nich dotrę. Pozwoliłem sprawom toczyć się własnym torem. Uznałem, że do najważniejszych miejsc droga sama poprowadzi. Tak trafiłem pod Ścianę Placzu, tak trafiłem do Kopuły na Skale na Wzgórze Świątynnym.

Ściana Placzu – jedyna pozostałość po Świątyni Jerozolimskiej, najświętsze miejsce judaizmu stało się w moich spacerach jednym z punk-

muezinów ubogaczyli się, zachodzili na siebie i rozchodzili, jak zderzające się na wodzie fale z różnych stron, które tworzą fantazyjne wzory na zaskoczony, bo została zmuszona do tańca, tafli wody.

– How much? – No problem!

Spacer po starej części Jerozolimy, to podróż przez gęszcz sklepów, kramów, kramików. W ofercie są przeróżne gadżety, z jednej strony dewocjonalia, z drugiej pamiątki, koszulki i masa innych niepotrzebnych do niczego rzeczy, bez których można żyć,

ale psychologia turysty (w tym również częściowo pielgrzyma) jest taka, że pozwala sobie na pewne szaleństwo. W końcu coś trzeba przywieść z urlopu, nie wspominając już o pielgrzymce. Wśród straganów króluje pełny asortyment: Don't worry be Jewish i Free Palestine, każdy znajdzie koszulkę dla siebie. Chrześcijańskie dewocjonalia królują. Niektóre nie tylko przekraczają granice dobrego smaku – mrugający oczami Chrystus w zależności od kąta patrzenia przez wielu jest uważany za profanację. Wśród sprzedających dominują Arabowie. Zazwyczaj Arabowie też podają jedzenie, wyciskane soki i kawę. To pokusa nie do odparcia. Czasami zatrzymywałem się, by wypić sok z granatów i kawę, koniecznie „arabską kawę” z aromatem kardamonu.



Betlejem

Każdy sprzedawca serwuje „najlepszą kawę w Jerozolimie”, niektórzy serwują napitki w cenie niepokojącej „no problem” – co może znaczyć, że cena jest bezproblemowo niska, albo nie stanowi problemu, dopóki nie zaczniesz płacić...

Pogodny, uprzejmy Arab oczywiście robi „najlepszą kawę w Jerozolimie”. Po drugiej wizycie w tym samym miejscu zaczyna się rozmowa. Całe ściany są wyklejone kartkami z napisami we wszystkich językach świata. Oczywiście są i po polsku, są też po ukraińsku. Nasz gospodarz wie jak powiedzieć „good coffee” zarówno po polsku, jak i po ukraińsku. Przy drugiej wizycie zaczął rozmowę. Nie czuje się komfortowo będąc Arabem w Jerozolimie. Mówił, że na każdym kroku odczuwa poniżający, odgórny stosunek Izraelczyków.

– Jeżeli oni są „wybrani”, niech zachowują się, jak przystało na członków narodu wybranego. Jeżeli poniżają mnie, to poniżają i siebie w ten sposób. Jesteś „wybrany? Zachowuj się, jak wybrany!

Narzeka na zachowanie niektórych przewodników żydowskich. Jeden regularnie przyprowadza wycieczki, żeby skorzystały z toalety, ale nic nie kupują. Ten przewodnik przychodzi z sokiem z granatów kupionych nie u mnie, ale u mnie cała wycieczka idzie do toalety:

– Ja nic nie mówię. To poniżej mojej godności, a to przecież oni są wybrani.

Miasto trzech religii. Święte miasto dla wszystkich. Miasto łączące trzy religie księgi... Przewodniki pełne są frazesów, ale wystarczy stanąć, przestać biegać bliskowschodnim labiryntem, rozejrzeć się. Usiadłem w kolejnej kawiarence. W środku siedzieli bardzo głośno rozmawiający Polacy – uznałem, że milej będzie na zewnątrz. Czekałem na kawę, rzecz jasna po arabsku.

Kawa po arabsku w Polsce to plujka w szklance. Kawa po arabsku tu – to kawa z dżewy z obowiązkowym kardamonem. Poza tym zamówiłem sok z granatu. Owoce te są tu wyjątkowo soczyste, o pełnym smaku, nie do opisania. Siedziałem na tarasie. Nie było innych klientów. Mój wzrok automatycznie skupiał się na izraelskich żołnierzach naprzeciwko. Oni zerkali, co się dzieje w restauracji. Zaczęłem selekcionować z przestrzeni siatkę spojrzeń, czy raczej obserwacji. Oni przyglądali się arabskim kelnerom, kelnerzy przyglądali się im. Rozmawiali ze sobą coraz żwawiej, z sytuacji wyczytywałem, że rozmawiają o żołnierzach, żołnierze komentowali ruchy kelnerów...

Zaczęłem wyczuwać napięcie. Miałem wrażenie, że coś się szykuje,

liśmy autobusem, który kilka razy dziennie pokonuje drogę z Jerozolimy do Betlejem. Byliśmy chyba jedynymi nie Palestyńczykami w autobusie. Spodziewałem się sprawdzania dokumentów pasażerów. Tymczasem to nie nastąpiło. Bez sprawdzania dokumentów byłem w Autonomii Palestyńskiej.

W Bazylice Narodzenia Pańskiego słyszy się wszystkie języki Europy. Nawet poza sezonem jest tu cały czas ruch. Częściej niż w Jerozolimie spotyka się Polaków. Można rozpoznać, kto z pielgrzymów jest ze wschodu, kto z zachodu. Fotografują wszyscy, ale zachód tylko fotografuje. Są na wycieczce. Wschód się kłania, modli, dotyka. Chrześcijanie obrządku wschodniego są bardziej dosłowni, mniej podatni na symbole. Święcenie nie jest symboliczne, wierni rzeczywiście ma dostać kroplę wody święconej, wtedy nie ma wątpliwości. Wszystkiego muszą dotknąć (a najlepiej pocałować). Polacy są pod względem intensywności przeżywania sacrum podobni, choć już czasem zadowolą się symbolem. Ludzie zachodu fotografują. Czasem się zadumają, ale w najlepszym przypadku przyjmują wszystko z północnym chłodem, czasem potrafią się podśmiać „z nie takiej, jak trzeba religijności”. Czym bardziej na wschód, bądź na południe twój kraj jest wysunięty, tym mniejszy jest dystans (liczony w centymetrach!) do miejsca świętego. Po wizycie w Bazylice Grobu Pańskiego, to miejsce już nie robi takiego wrażenia. Ewidentnie obraliśmy złą kolejność zwiedzania.

Centrum Betlejem jest zadbane, ale wychodząc na dalszy spacer ma się wrażenie przekroczenia granicy cywilizacyjnej. Domy są coraz mniej zadbane, powoli człowiek zanurza się w bliskowschodni hałas i harmider. W bardziej reprezentacyjnej części Betlejem Palestyńczyk zapytał, czy nie chcemy kawy. Zaprowadził do miejsca, które było połączeniem pakamery na narzędzia i warsztatu, ale przyrządzał tam kawę. Poza tym posiadał całkiem dobry zasób polskich słów. Ponad połowa konwersa-



Kopuła na Skale

cji odbyła się po polsku, a kawa była najsmaczniejsza ze wszystkich, które piłem. Pokazał nam zeszyt z wpisami po polsku, po czym wziął drabinę, powiedział „later” i poszedł. Już go więcej nie zobaczyliśmy. Zapłaciliśmy stawkę jerozolimską za kawę, bo to my mieliśmy zdecydować ile zapłacimy. Chyba był zadowolony. Skąd znał polski? Rozmawiał z turystami, którym proponował kawę.

Powrót do Jerozolimy już nie był taki bezproblemowy. Po drodze sprawdzano nam dokumenty. Turyści pozostali w autobusie. Palestyńczycy musieli wyjść na zewnątrz. Nikt się

nie skarżył, nie narzekał, im szybciej procedura się odbędzie, tym szybciej będziecie w Jerozolimie.

Turystyczny Izrael

Ciąg dalszy miał pójść, jak z płatka. Zarezerwowałem samochód przez Internet w wypożyczalni o nazwie Szlomo. Trzeba było zapłacić niestety kaucją. Środki miałem rozłożone na dwie karty, co w warunkach wyjazdu jest dobrym pomysłem, (trochę na jednej karcie, trochę na drugiej, trochę w kieszeni, a trochę w plecaku) ale teraz potrzebna była jedna płatność. Krótko mówiąc była jedna płatność. Krótko mówiąc spędziłem tam dużo czasu i niemal straciłem nadzieję. Piętnaście minut przed zamknięciem udało mi się wypożyczyć samochód...



Górzyste drogi – uczta dla oczu

Ostatnie dwa punkty programu to była Masada i Morze Martwe. Masada, miejsce bohaterskiej obrony w I wieku naszej ery Żydów przed Rzymianami stało się jedną z największych atrakcji turystycznych Izraela. Wedle relacji w obliczu zbliżającej się klęski Żydzi odebrali sobie życie. Obecnie żołnierze właśnie tu składają przysięgę mówiąc: „Masada już nigdy się nie powtórzy”. Była to twierdza na płaskowyżu sięgającym 410 metrów nad poziomem Morza Martwego. Ruiny robią niesamowite wrażenie. Ile pracy kosztowało wzniesienie tutaj twierdzy? Otwarcie Masady ma miejsce wedle tradycji żydowskiej o wschodzie słońca, czyli każdego dnia trochę o innej porze. Wejście na płaskowyż dla osoby

zdradziły do której części świata ma mnie przypisać. Pokazałem jej blankiet zapisany hebrajsku.

– Da, eto sztraf. Ekspedientka, jak się okazało, pochodziła z Duszanbe. Wyjaśniła co zrobić z mandatem. Pod żadnym pozorem nie mogłem nie zapłacić, bo wypożyczalnia ściagnie mi 200–300% z konta. Przed powrotem do Tel Awiwu znalazłem pocztę i zapłaciłem nieszczęsny mandat. Ostatni dzień był bardzo intensywny. Masada, kąpiel i trasa 200 km do przebycia. Wydawało się, że było dużo czasu, ale przed Tel Awiwem zaczęły się koszmarnie korki. Ostatnie kilkanaście kilometrów jechaliśmy chyba dwie godziny. Udało się oddać samochód, gdzie okazało się, że miałem prawie 200 ponadplanowych kilometrów, więc wynajem samochodu kosztował 200% początkowej kwoty. Potem już było niewiele czasu, by zdążyć na lotnisko. Nie zrealizowałem marzenia o ostatnim humusie i cudownym czerwonym winie.

– Zdrastie – kobieta pierwsza odezwała się do mnie. Moje błękitne oczy i czerwona od słońca skóra

zdradziły do której części świata ma mnie przypisać. Pokazałem jej blankiet zapisany hebrajsku.

– Da, eto sztraf. Ekspedientka, jak się okazało, pochodziła z Duszanbe. Wyjaśniła co zrobić z mandatem. Pod żadnym pozorem nie mogłem nie zapłacić, bo wypożyczalnia ściagnie mi 200–300% z konta. Przed powrotem do Tel Awiwu znalazłem pocztę i zapłaciłem nieszczęsny mandat. Ostatni dzień był bardzo intensywny. Masada, kąpiel i trasa 200 km do przebycia. Wydawało się, że było dużo czasu, ale przed Tel Awiwem zaczęły się koszmarnie korki. Ostatnie kilkanaście kilometrów jechaliśmy chyba dwie godziny. Udało się oddać samochód, gdzie okazało się, że miałem prawie 200 ponadplanowych kilometrów, więc wynajem samochodu kosztował 200% początkowej kwoty. Potem już było niewiele czasu, by zdążyć na lotnisko. Nie zrealizowałem marzenia o ostatnim humusie i cudownym czerwonym winie.

Ku mojemu zaskoczeniu byłem przepytany na lotnisku przy powrocie z Izraela, a nie po wylądowaniu. Przystojny mężczyzna w czarnym garniturze, który wyglądał, jakby zabrano go z planu hollywoodzkiego filmu zadał masę pytań, które uznałem za bezsensowne, ale może nie były. Nakleił białą naklejkę na paszport, przeprosił za zabrany czas i pozwolił odejść. Zostało 40 min. do odlotu.

Po powrocie z Izraela przez kilka dni sprawdzałem ceny samolotów i noclegów, jakbym za miesiąc wybierał się ponownie. Może pokusa byłaby nie do przezwyciężenia, gdyby znalazły się pieniądze i czas, ale pojawił się jeszcze jeden niespodziewany czynnik. Gdy byłem w Izraelu nowy wirus typu korona pojawił się we Włoszech... Świat trochę się zmienił. Podróże już nie są takie proste. Dobrze, że zdążyłem do tego Izraela... A poza tym już mi żadne wino i żaden humus nie smakował...

Wielkanoc przed kilkudziesięciu laty

Chcę Państwa zaprosić do wspólnego wspomnienia Świąt Wielkanocnych. Nie tych, które dopiero się zakończyły, ale tych sprzed kilkudziesięciu lat. Lata 60., 70. czy 80. wydają się nieodległe, zwłaszcza tym, którzy byli już wówczas na tym świecie, ale jednak – spojrzmy prawdzie w oczy – minęło 50 lat, dwa pokolenia, a świat poszedł szybko do przodu. Nasze wspomnienia z tych czasów należą już do historii. Ja sama lwowskich wspomnień nie posiadam, dlatego zapytałam znajomych, jak świętowano w tamtych czasach Wielkanoc we Lwowie? Dziękuję bardzo tym, którzy zechcieli poświęcić swój czas i podzielić się ze mną swoją historią, nawet, jeśli wydawało się im, że ich historie nie są ważne, ani ciekawe. Dzięki Wam naprawdę poczułam emocje towarzyszące tamtym świętom. I – oddaję Wam głos.

KATARZYNA ŁOZA
tekst
CZESŁAWA CYDZIK
ilustracje

Przygotowania do świąt

„I Wielkanoc, i Boże Narodzenie zaczynały się dla nas dużo wcześniej – wspomina Krystyna Adamska – od przygotowania karteczek świątecznych i wysyłania życzeń do licznej rodziny i jeszcze bardziej licznej grupy przyjaciół i znajomych. Nie było mowy o kupnie gotowych karteczek, dlatego trzeba je było zrobić. Techniki powielania nie były dostępne, a więc każda kartka była oryginałem, a rysowała je nasza mama – Czesława Cydzik – artysta plastyk. My pomagałyśmy w wykonaniu – przycinaniu czy zginaniu kartek, rysowaniu prostszych elementów. Nie było dwóch identycznych kartek. Na każdej były akcenty lwowskie i religijne oraz elementy wiosennej przyrody – bazy czy śnieżyczki. Dużo później te kartki były powielane i nawet publikowane w polskiej prasie, ukazującej się we Lwowie. Jako że rysowanie było bardzo pracochłonne, rodzice często robili karteczki w postaci naszych zdjęć w wielkanocnej scenarii. Mama rysowała na kartonie duże pisanki czy kurczaki, ustawiała kompozycje z kwitnących kwiatów czy innych kwiatów doniczkowych, my z siostrą ustawiałyśmy się w tej scenarii w strojach krakowskich bądź góralskich, też zresztą zrobionych przez mamę. I takie karteczki szły w świąt, co roku – inne. Jako uczennice lwowskiej szkoły nr 10 występowałyśmy na nich w marynarskich mundurkach, takich, jakie nosiły przedwojenne uczennice.

Oczywiście święta kojarzyły się z wielkim sprzątaniami, które zazwyczaj je poprzedzało:

AW: „Wszyscy w domu przygotowywali się do Świąt Wielkanocnych, było sprzątanie, porządkowanie wszystkiego w domu, nacieranie podłogi obowiązkowo, biały obrus. Zapasy gromadziło się w ciągu ostatnich trzech miesięcy, bo nie były tak łatwo dostępne wszystkie produkty, nikt o terminie ważności nawet nie myślał, bo wiadomo było, że produkty, które były zakupione, dotrą do świąt. I zaczynał się etap: „nie ruszaj tego, bo to jest na święta”.

Krystyna Adamska: „Wielkie wielkanocne porządki kojarzą mi się ze studiowaniem wzorów ozdobnych nóżek i kolumnienek naszych mebli, które trzeba było bardzo dokładnie wytrzeć z prochu i z niezapomnianym zapachem pasty do podłogi. Ten zapach mieszał się z zapachem ciast i świeżo uwędzonych mięs, które były domeną taty”.

AW: „Mięso było własnej roboty. Trzeba było zrobić kielbasę, zamarynować szponder, szynkę, polędwicę, w zalewie specjalnej, według

przepisu z Kuchni Polskiej z 1964 r. Przed świętami tato brał wielkie zielone wiadro, gdzie były pakowane wszystkie te szynki, kielbasy, i to się wiozło na działkę zaprzyjaźnionej osoby, na Pohulanę, albo gdzieś w Brzuchowicach u znajomych, którzy mieli „beczkę” – był to taki cały rytuał, specjalna konstrukcja, obowiązkowo trzeba było wykorzystać drewno z drzew owocowych. Święta się zaczynały właśnie wtedy, kiedy dziadek nasz przywoził do domu wiadro, to wielkie zielone wiadro wędzonki”.

Julia Kucewa, ze wspomnień babci Romualdy, z rodziny Jadwików-Baluków: „Mięso zawsze się we-

lwowskich przepisów, i tatowe – grodzieńskie, m.in.: mazurek królewski czy babka chlebowa”.

Kto miał czas i możliwość, chodził na nabożeństwa w Wielkim Tygodniu, zwłaszcza w trakcie Triduum. W pamięci zapadała ich niezwykła oprawa:

TP: „Przepiękna była suma w katedrze w Niedzielę Palmową. Trwała długo, był ścisk niesamowity. Męka Pańska była śpiewana, mistrzowskie wykonanie”.

ES: „Śpiewał psalmy Marian (Kołaziński?), śpiewak z Opery Lwowskiej, wspaniały głos. Rekolekcje w katedrze trwały przez 6 dni na wie-

świeczniki, chowano mszał, tabernakulum zostawało puste”.

Święcenie pokarmów

Babcia Julii Kucewej wspomina, że koszyczki z pokarmami świątecznymi były raczej skromne: „W koszyku wielkanocnym zbierano pasieczkę, jaja, chrzan i sól. Nic więcej. Nie wiem na pewno, ale prawdopodobnie dlatego, że w moim powojennym dzieciństwie nie było obfitości jedzenia. Tylko podstawowe... Pokarmy przykrywałyśmy haftowanym ręczniczkiem”.

Jednak i inne osoby wspominają podobnie zestaw pokarmów wklą-

[z kuzynką] z kościoła całe mokre, bo akurat na nas ksiądz zaczerpnął wody święconej, i obficie święcił nasze pokarmy i nas przy okazji”.

Święcenie pokarmów nie było tak proste i uroczyste, jak dziś. Dla wielu osób wiązało się z nieprzyjemnościami, a nawet z utratą pracy. Starano się nawet nie pokazywać z koszykiem na ulicy. Dzieci nie wolno było prowadzić do kościoła, bo uważano to za „szerzenie propagandy religijnej wśród nieleńców”, ale w praktyce kończyło się najwyżej na upomnieniu dla rodziców.

RŁ: „Młodzież religijna, jak to młodzież, rozumiała sytuację i w swoim uporze umiała sobie poradzić. Trzeba pamiętać, że tydzień lekcyjny w szkole obejmował też sobotę i był sześciodniowy. Na samą Wielkanoc zbierano klasy i organizowano albo tzw. „woskresnik”, czyli jakieś prace porządkowe, sprzątanie, albo „kultpochod” do kina, domu pionierów czy muzeum Lenina. Zdarzało się, że niektórzy uczniowie po drodze „dezertowali” i szli do kościoła. Pracownicy oświaty, w tym nauczyciele szkół byli delegowani do pilnowania, kto z uczniów chodzi do kościoła”.

Maria Zarycka: „Chodziliśmy do kościoła, pomimo, że nam zabraniało, i można było popaść w niemilość w szkole, jeżeli ktoś się dowiedział. Każdy rok na Wielkanoc nas zmuszano całą klasą, razem z kierownikiem klasowym chodzić do muzeum ateizmu. Nawet gdzieś mam zdjęcie z tego czasu. Ale pomimo tego chodziliśmy do kościoła, chociaż pilnowali nas nauczyciele, dyżur mieli koło kościoła. Byli tacy, że nie wydawali nas, a byli też ci komuniści, że robili przykrości. Rodzice nas przykrywali. Chodziło się święcić. Koszyk chowało się do reklamówki, jak szliśmy przez ulicę, a w kościele wyjmowało się”.

Malowanie pisanek lub dodatkowo twórczość plastyczna, związana z Wielkanocą nie była popularna, ale kultywowano ją w niektórych rodzinach. Nie mogło tego zabraknąć w artystycznej rodzinie Czesławy Cydzik (wspomina Krystyna Adamska): „Pisanki malowałyśmy farbami, były wzory kwiatowe i geometryczne, pojawiały się motywy lwowskie czy bardzo przez nas lubiane elementy ornamentów secesyjnych. Zawsze robiło się trochę drewnianych pisanek, takie się nie tłukły i łatwiej je było użyć w następnych latach”.

W innym wspomnieniu czytamy o tym, że pisanki przygotowywano specjalnie na upominek: „Jajka farbowano się w łupinach cebuli, ale też anilinową farbą do tkanin – nie zastanawiało się, czy to zdrowe. Niektórzy na jajku oprócz wzorów pisali imię tego, komu miało się ono być podarowane. Takie jajko leżało długo na honorowym miejscu, jak się przypadkiem rozbiło, to był „specyficzny efekt zapachowy”. Po święceniu szło do



dzilo na podwórku, kielbasy również były robione samodzielnie. W mojej młodości, kiedy jeszcze nie mieliśmy lodówek, studzienię trzymaliśmy na oknach. Ale ponieważ rodzina była duża, to szybko studzienka zniknęła z parapetów”.

AW: „Obowiązkowo w czwartek, były robione babki wielkanocne. Z samego rana przygotowywało się ciasto, uważało się, żeby do domu nie weszła żadna kobieta, a w domu miało być cicho, spokojnie, bez klótni, i wtedy to był sygnał, że ciasto na pewno się uda. Takie ciasto zawsze wędrowało pod pierzynę, żeby dobrze wyrosło. W tamtych czasach nasi rodzice jeszcze pracowali, i dlatego rano się ciasto nastawiło, i dopiero po obiedzie przychodziło się z pracy czym najprędzej, i wtedy do wszystkich foremek nakładano się ciasto, włączało się piecyk”.

TP: „Pieczenie i lukrowanie babki i baranów starano się skończyć w czwartek do wczesnego popołudnia”.

Krystyna Adamska: „Mama nie tylko piekla, ale też ślicznie dekorowała wszelkie ciasta. Na stole były i te przyrządzone według domowych

czarnym nabożeństwie. Raz chyba po trzecim dniu wierni czekali, ale o. Rafał nie pojawił się. Dostał zakaz sprawowania posługi na 7 lat. W dniu poprzednim mówił o Panu Jezusie wtrąconym do ciemnicy, a ciemnicę porównał do więzienia. I to było powodem”.

TP: „Nabożeństwo Ciemnych Jutrznii w katedrze było o godz. 10. Na bocznych ławkach przed głównym ołtarzem były ustawione elektryczne lampki na białej nóżce z zielonym abażurem. Pośrodku na drewnianej oporze stał drewniany trójkaąt, na nim obraz przedstawiający chyba ostatnią wieczerzę. Na każdym ramieniu tego trójkaąta były miejsca na świece, chyba 15 sztuk. Po odśpiewaniu części modlitwy czy psalmy była gaszona kolejna świeca, lampki, zdaje się, też. W końcu Nabożeństwa przez jakiś czas panowała cisza i półmrok”.

RŁ: „W Wielki Czwartek na zakończenie mszy Wieczerzy Pańskiej odbywało się „burzenie ołtarzy” na znak, że Chrystus znajduje się w ciemnicy. Ojciec Rafał szybko szedł od ołtarza do ołtarza, a za nim licznie dzieci, młodzież i przeważnie kobiety i babcie. Zdejmoowano obrusy,

danych do wielkanocnego koszyczka: jajka, kielbasa, paska czy babka wielkanocna.

Krystyna Adamska: „Do święcenia nie brało się za wiele, wszystko mieściło się w niewielkich koszykach, ale każda z nas, córek, miała osobny. Zawsze też byłyśmy bardzo elegancko ubrane – nowe wiosenne obuwie, czasem nowe płaszczyki. Jeśli było cieplej i można było rozpiąć płaszczyki – wkładałyśmy stroje krakowskie”.

Eryk Matecki: „Pokarmy święcił ks. Rafał Kiernicki. Koszyk z barankiem, korzeń chrzanu, masło, sól, kraszanka, kielbasa, szynka, boczek. Pamiętam z katedry ojca Rafała, miał takie charakterystyczne grube soczewki. Jako dziecku zapadł mi w pamięć”.

Jajka zazwyczaj farbowano, gotując je w łupinach cebuli, rzadko zjawiały się na nich jakieś ozdoby. Czasem kilka jajek pozostawiano nieomalowanych:

AW: „W koszyczku tradycyjnie była babka, kielbasa, sól, pieprz, jajka. Pisanki robiliśmy w cebuli gotowane zazwyczaj, ale dwa jajka musiały być na biało, te były do poświęcenia. Zawsze wychodziłyśmy

Czy lubią Państwo bajki?

Proszę się nie spieszyć z odpowiedzią.

Bajki, bądź baśnie opowiadają o życiu człowieka i otaczającej go naturze. A co najbardziej istotne – opowiadają o naturze człowieka, o różnych jego zachowaniach w różnych sytuacjach, o różnych usposobieniach, o różnych charakterach. Opowiadają o wszystkim, z czego składa się zwykłe ludzkie życie – o narodzinach człowieka, o życiu w rodzinie, o radzeniu sobie bądź nieporadności w życiu, o sukcesie bądź niepowodzeniu, o miłości... o śmierci też. Opowiadają o dobru i złu. Tylko inaczej.

Bajka jest jak film – krótkie zdania, skrót myślowy, montaż. A wszystko, co zostało niedopowiedziane, słuchający czy czytający sobie domyśli. Wszystko sobie w wyobraźni poukłada i pokoloruje. W bajce w cudowny sposób wszystko co trudne przekształca się w proste, jasne i dostępne, a rzeczy zwykłe, codzienne, banalne stają się osobliwe, niezwykle, jaskrawe. Jest w niej połączenie wymysłu z rzeczywistością, tego co śmieszne z tym co poważne, gry wyobraźni i myśli z grą słów i specyficznym przekazem.

Bajki są ponadczasowe i ponadnarodowe. Bajki ludzie układali od niepamiętnych czasów. Przekazywali od starszych młodszym, młodszy stając się starszymi – następnym młodszym i tak się działo przez tysiące lat. Każde następne pokolenie, każdy następny opowiadający domyślał i dodawał coś od siebie, dołączał własne obserwacje. A kiedy ludzie wymyślili pismo, zaczęli je spisywać. W naszych czasach już bardzo dbamy o autorstwo, spisane przez ostatnie paręset lat bajki ludowe już nie są tak bardzo ludowe, otrzymały swego autora. Lecz twórcza myśl pisarza czerpie z tego, co ten zasłyszał wśród swego ludu. To z kolei stwarza temu czy innemu narodowi swego rodzaju wizytówkę, swoisty obraz zbiorowy, który idzie w świat, bryzga się na inne języki.

Niniejszym proponuję Czytelnikom zapoznać się z jedną z baśni spisanych przez klasyka literatury ormiańskiej Howhannesa Tumaniana, a przełożoną na język polski. Od razu zaznaczę, że nie jest to ściśle tłumaczenie z języka oryginału, posługiwałam się wcześniejszymi przekładami na języki rosyjski i ukraiński, ale w trakcie pracy konsultowałam z rdzennym Ormianinem, więc przekład jest dopasowany do oryginalnego tekstu. Jedną z głównych intencji było również zachowanie ormiańskiego kolorytu. Jest tych baśni więcej, ale dziś nasi Czytelnicy mają możliwość pośmiać się i porozmyślać nad jedną bardzo długą – „Chrobry Nazar”, napisaną i opublikowaną przez H. Tumaniana w 1912 roku. Z okruszków informacji, którą udało mi się zdobyć, można wnioskować, że autor napisał ją w oparciu o ludową baśń o niedoradzie i leniwcu Dzyko, który dzięki cudownemu zbiegowi okoliczności został królem.

Zapraszam do czytania!

Alina Wozijan

CHROBRY NAZAR

Może to było, a może nie było, żył sobie biedny człowiek, na imię miał Nazar (imię zapożyczone z języka greckiego, oznaczające „oddany Bogu” – przyp. tłum.). Był on człowiekiem nierozgarniętym i leniwym, a na dodatek bojaźliwym – taki tchórz, że zabij go, a bez opieki kroku nie zrobi. Caluśki dzień za żoną jak cień chodził:



ona za próg – i on za próg, ona do domu – i on również. Dlatego ludzie przezwali go Tchórzliwym Nazarem.

Pewnej nocy wyszedł Tchórzliwy Nazar z żoną na ganek. Wyszli i widzą: księżyc na niebie świeci, noc jasna, świetlista. Zamyślił się i powiada: – Ach, żono, w taką noc tylko na karawany napadać... Coś mi podszeptuje: idź, chłopcze, i obrabuj karawanę szacha z Indii, co wiezie różne skarby – nieźle się wzbogacisz.

A żona odpowiada mu: – Siedź lepiej i milcz. Też mi rabuś się znalazł...

Ale Nazar nie może się uspokoić.

– To ty, kłótniwa babo – jakiej świat nie widział – nie pozwalasz mi karawanę obrabować i wzbogacić się



niewo?! Jakież ze mnie wtedy mężczyzna? Po co czapkę z niedźwiedziego futra noszę, jeżeli kobieta śmie mi tak przeczyć!

Nie na żarty się rozochocił, karcił ją i karcił, aż w końcu miała już tego dość – weszła do domu i drzwi za sobą zatrasnęła.

– A żebyś ty zginął, tchórzku jeden! Idź sobie, rabuj karawanę! – krzyknęła spoza drzwi.

I znalazł się Nazar w noc ciemną samiutki pod drzwiami. Stoi, z przestachu zdrętwiał. Prosi żonę, błaga, żeby wpuściła go do domu, ale ona nic. Zrozpaczony Nazar przytulił się do ściany i drżąc siedział tam aż do świtu.

Już słońeczko przygrzewa, a wściekły Nazar wciąż czeka i czeka z nadzieją, że żona sama po niego przyjdzie. Dzień letni, upalny, muchy się rozszały, a Nazar na tyle się rozleniwił, że nawet nie chce nos wytrzeć. Obsiadły mu muchy nos i twarz całą. Nękają go i kleją się tak, że sił brak. Wreszcie nie wytrzymał, podniósł rękę i – klaps siebie po twarzy. Tak klapnął, aż muchy się posypały.

Opuścił Nazar wieś i jedzie, dokąd oczy poniosą.

Jedzie, jedzie, obejrzał się za siebie i widzi – wieś już gdzieś w oddali. Dopadł go lęk. Żeby dodać sobie otuchy, zaczął nucić piosenkę, z początku mrucząc cicho pod nosem, potem na głos, rozmawiać ze sobą, osła popędzać. Im dalej jedzie, tym bardziej ogarnia go lęk, a im silniej ogarnia go lęk, tym głośnie-

– Dzień dobry wam wszystkim!
– I tobie stukrotnego dobra życzymy człowieku! Zapraszamy serdecznie do gospody, dla nas każdy gość to posłaniec Boga!

Wprowadzają Nazara pod rękę i sadzają z jego chorągiewką na honorowym miejscu przy stole. Widzilibyście, czym go częstowano! Jakich tylko specjalów, jakich napitków tu nie było!

Gości wesela jednak bardzo ciekawi kim jest ten dziwny nieznajomy. Jeden z nich, z kraju stołu, trąca łokciem i pyta swego sąsiada, a dalej pytają jeden drugiego, aż kolej dochodzi do księdza – a ten też siedział na honorowym miejscu obok Nazara. Ksiądz z trudem odczytał napis na chorągiewce gościa:

*Chrobrym Nazarem zwie się
zasłużenie,
Tysiąc zabija jednym uderzeniem!*

Przeczytał i złężniony powtarza to sąsiadowi, ten następnemu, następny kolejnemu, kolejny jeszcze kolejnemu i tak doszło aż do drzwi. I już całe wesele tylko o tym opowiada, że nowy gość to bohater niewzyciężony:

*Chrobrym Nazarem zwie się
zasłużenie,
Tysiąc zabija jednym uderzeniem!*

– Toż to przecież ten sam Chrobry Nazar! – mówi jeden z gości. – Bardzo się zmienił, ja z początku go nawet nie poznałem.

Natychmiast, jak to często bywa, znajdują się ludzie, którzy opowiadają o wybitnych zwycięstwach Nazara, o dawnej z nim zażyłości i spędzonych wspólnie dniach.

– Ale dlaczego przy takim człowieku nie ma służącego? – zastanawiają się inni.

– Tak już ma w zwyczaju, nie lubi podróżować ze służącymi. Kiedyś go zapytałem, a on mówi: „Po co mi służący, cały świat mam za służącego”.

– To dlaczego porządnego miecza nie ma, rdzawe żelastwo do pasa przypiął?

– Na tym właśnie polega spryt: tak uderzyć tym rdzawym żelastwem, by jednocześnie zabić tysiąc. Dobrym mieczem to każdy chwyt potrafi.

Zadziwieni goście wstają i piją zdrowie Chrobrego Nazara. A pierwszy wśród nich mędrak wygłasza chwalebny mówę: od dawna – mówi – nasłuchani jesteśmy o twojej niespotykanej waleczności, marzyliśmy zobaczyć twoje oblicze i dzisiaj cieszymy się, że widzimy cię wśród nas.

Nazar tylko wzdycha i macha ręką. Ludzie zaś wymieniają się porozumiewawczymi spojrzeniami: nas przecież nie nabierzesz, te gesty świadczą o jego nadzwyczajnej skromności...

Uczujący ze wszystkimi aszug (aszyk, ludowy poeta, pieśniarz – tłum.) natychmiast układa pieśń i śpiewa:

*Witaj nasz orle, nasz władco hojny,
Naszej ojczyzny synu dostojny,*

– Cóż to? – zdziwił się Nazar. Próbował policzyć, ile much zabił za jednym razem, lecz stracił rachubę. Chyba nie mniej niż tysiąc – miarkował.

– O tak to! – mówi. – Okazuje się, że jestem kawal chłopca, a dotąd tego nie przypuszczałem. Jeśli mogę za jednym zamachem przybić tysiąc żywych stworzeń, czemuż tedy kłótniwej baby tak bardzo się trzymam?

Wstał i poszedł na wieś do księdza.

– Pobłogosław, ojczu.

– Niech cię Bóg błogosławi, synu.

– A ty, ojczu, nawet nie wiesz...

I opowiedział Nazar o swojej bitności, a na koniec oświadczył, że od dziś trzymać się spódnicy nie ma

zamiaru, a skoro tak, to ma prośbę: niech ksiądz napisze o jego bohaterstwie, żeby ludzie dowiedzieli się o nim, żeby nie popadł w zapomnienie. Ksiądz dla żartu napisał na kawałku szmatki:

*Chrobrym Nazarem zwie się
zasłużenie,
Tysiąc zabija jednym uderzeniem!*

I wręczył szmatkę Nazarowi. Nazar naczepił tę szmatkę na koniuszek kija – już ma chorągiewkę, przypiął do pasa odłamek zardzewiałego miecza, wgramolił się na sąsiedzkiego osła – i ruszył w drogę.

zawodzi, wrzeszczy na całe gardło, aż chrypi. A tu jeszcze, wtórując mu, zaczął ryczeć osioł. Przestraszone tym hałasem i rykiem ptaki zrywają się z drzew, zające umykają w krzaki, żaby z tataraku skaczą do wody.

Nazar drze się jeszcze głośnie, a kiedy wjechał do lasu, wydawać mu się zaczęło, że z za każdego drzewa, z za każdego kamienia, z za każdego krzaczka za chwilę wyskoczy na niego jakiś zwierz lub rezun-zbójca. I zaczyna wołać w niebogłosy – nie daj Boże nikomu tego słyszeć.

A nieopodal, leśną drogą szedł sobie akurat wieśniak i prowadził za uzdę konia. Usłyszał te wrzaski i zastygł w bezruchu.

– Och – mówi – widać koniec mój nadchodzi. To pewnie zbójnicy!

Porzucił konia i co tchu w pierśiach pomknął z powrotem do gąszczy.

Wiedzie ci się, Chrobry Nazare!

I oto Nazar, wciąż wrzeszcząc na całe gardło, wjeżdża na polanę, widzi – stoi koń pod siodłem, tak jakby na niego czekał. Przesiada się zatem z osła na konia i jedzie dalej.

Czy długo jechał, czy nie – tylko on to wie, ale z czasem znalazł się w jakiejś wsi: ani on tej wsi na oczy nie widział, ani wieś jego. Dokąd tu pójść, do kogo? I tu z jednego z domów dołarł dźwięk zurny (zurna, surma – drewniany instrument dęty z lejkowatym rozszerzeniem, którego dźwięk ma ostre świąteczne brzmienie – przyp. tłum.), w tę stronę skierował konia i wyobraźcie sobie – trafił prościutko na wesele.

*Z tobą niestraszne nam żadne wojny.
Chrobrym Nazarem zwiesz się
zasłużenie*

Tysiąc zabijasz jednym uderzeniem!

*Ty zwalczysz każde nasze
nieszczęście
Od śmierci, tortur zbawisz nas
wreszcie
Słabych oporą, tarczą niewieście!*

*Chrobrym Nazarem zwiesz się
zasłużenie
Tysiąc zabijasz jednym uderzeniem!*

*Tyś dla nas wzorem jedynym
godnym,
Miecz, znak i koń twój dziś naszym
godłem
I grzywa konia, i ogon z siodłem!*

*Chrobrym Nazarem zwiesz się
zasłużenie,
Tysiąc zabijasz jednym uderzeniem!*

Po tej uczcie podchmieleni goście weselni roznieśli wieść, że nadchodzi ten, który
– Chrobrym Nazarem zwiesz się
zasłużenie,
Tysiąc zabija jednym uderzeniem!

I wkrótce już po całej okolicy ludzie zaczęli opowiadać o jego godnych podziwu czynach bohaterskich, opisywać jego groźne oblicze. Na cześć Chrobrego Nazara nadawano imiona nowo narodzonym dzieciom.

Opuścił Nazar wesele i ruszył w dalszą drogę. Jedzie, jedzie i dojeżdża do zielonej łąki. Wypuścił konia na wypas, wbił chorągiewkę w ziemię, położył się w jej cieniu i zasnął.

Skąd miał wiedzieć, że w okolicy tej mieszka siedmiu braci olbrzymów – watażków siedmiu zbójceckich band. Były to ich tereny, a twierdza ich stała na wysokim szczycie najbliższej góry.

Patrz olbrzymy z góry – wjechał na ich teren człowiek i zsiadł z konia. Patrz i dziwią się: cóż to za zachwalec i ile ma głów, że tak beztrąsco ułożył się pośród ich łąki, a jeszcze konia puścił na popas? A każdy z braci miał czterdziestopudową maczugę. Chwycili więc oni te maczugi i idą. Podchodzą bliżej i cóż widzą? Pasie się koń, obok śpi człowiek, u wezglowia chorągiew, na niej napis:

*Chrobrym Nazarem zwiesz się
zasłużenie,
Tysiąc zabija jednym uderzeniem!*

Nieprawdopodobne! Toż to przecież Chrobry Nazar! Olbrzymy przygryzły języki i zamarły. A jak mogło być inaczej? Wieść, którą po weselu roznieśli podpici goście, dotarła też w ich strony. Stoją przestraszeni bracia, w ustach im przeszło, zamarli i czekają, aż Nazar będzie łaskaw się obudzić. Zbudził się Nazar, przeciera oczy, widzi przed sobą siedmiu strasznych olbrzymów z maczugami na ramionach i z przestraszenia dusza uciekła mu w piętę. Chowa się on za swoją chorągiew i dygocze jak liść osiki. Dostrzegli olbrzymy, że Nazar na twarzy się zmienił, drżenie go przeszło i myślą – chyba się rozłościł, lada chwila jednym ciosem zabije nas wszystkich siedmiu. Padły przed nim na kolana i błagają:

– Chrobrym Nazarem zwiesz się
zasłużenie

*Tysiąc zabijasz jednym uderzeniem!
– Słyszeliśmy twe groźne imię
i dawno marzyliśmy, aby cię zobaczyć.
Teraz twoja noga stanęła na naszej ziemi
i jesteśmy tym zaszczytzeni.
Od dziś, wszyscy razem, jesteśmy twoimi wiernymi sługami.
A tam na szczycie góry w groźnej twierdzy
mieszka nasza przepiękna siostra.
Błagamy, okaż nam wielokoduszność,
bądź naszym gościem, skosztuj
naszego chleba...*

Nazar wreszcie się opanował i wsiadł na konia, a olbrzymy, krocząc na przodzie z jego chorągwią, z honorami wprowadziły go do twierdzy. A tam wyprawiły mu ucztę królewską, podczas której tak zachwycały się jego zwyczajami, tak sławiły, że piękna siostra zakochała się w nim. Czy trzeba mówić, jaką czcią i jakim szacunkiem otaczany był odtąd?

Tymczasem zjawił się w okolicy tygrys, który napelniał ludzi grozą i przerażeniem. Kto zabije tygrysa, kto ma tyle siły? Chrobry Nazar go zabije, bez wątplenia. Któżby jeszcze odważył się wyjść tygrysowi naprzeciw? Cała nadzieja w nim: na niebie Bóg, na ziemi Chrobry Nazar!

Usłyszawszy o tygrysie Nazar wziął nogi za pas – chciał uciec w swe strony, a tłum wokół pomyślał, że tak śpieszno mu stanąć do walki z tygrysem. Narzeczona go powstrzymuje: dokąd ty, mówi, bezbronny pędzisz, weź broń i ruszaj. Przynoszą mu broń, by nowe zwycięstwo utrwaliło jego głośną sławę. Wziął Nazar broń i poszedł. Gdy znalazł się w lesie, wdrapał się na drzewo i ukrył wśród jego gęstych gałęzi, żeby ani tygrys go nie zobaczył, ani on tygrysa. Przyłgął Nazar do konara, drży ze strachu, dusza mu się ścisnęła do wielkości ziarenka prosa. A przekłętogo tygrysa nieczysta siła przyniosła, jak na zamówienie, prościutko pod to drzewo. Przyszedł więc i położył się pod nim.

Zobaczył Nazar tygrysa, w oczach mu pociemniało, strach mu krew w żyłach zmroził, ręce, nogi osłabły i – trach! – spadł prościutko na zwierza. Tygrys zerwał się z miejsca a Nazarów z przerażenia pomieszały się zmysły i z całej siły uczeplił się futra. Pędzi oszalały tygrys z opętanym Nazarem na grzbiecie, niesie go po górach i dolinach, gdzie łapy poniosą.

Patrzą ludzie – cud niesłychany! Chrobry Nazar na tygrysie wierzchem jedzie.

– Hej, szybko tu! Patrzcie! Chrobry Nazar tygrysa osiodłał jak konia. Ruszmy za nim.

I wszyscy z wielkim ożywieniem, ośmieleni widokiem – wrzeszcząc i jazgocząc otaczają tygrysa – kto kindżał ma, kto strzelbę, kto kamień, kto kij – młócili go bezlitośnie, aż załtkli.

Ocknął się Nazar i zaczął bełkotać:

– Szkoda – mówi – nadaremnie tygrysa zabił. Takiego konia sobie znalazłem. Ledwie co udało mi się go poskromić. Nie zdążyłem sobie nawet na nim porządnie poharceować.

Wieść o tym dotarła do twierdzy. Mężczyźni i kobiety, lud wszelki – od małego do dużego – wysypał spotykać Nazara. Ułożyli o nim pieśń i śpiewają:

*Mężny nasz rycerzu,
Nikt tu nie uśmierzy*

*Twój zapal i żar,
Chrobry nasz Nazar!*

*Poznał wróg matolek
Górskiego sokola,
Co jak piorun spadł
Niszcząc wroga ład,*

*Tygrysa poskromił,
Poczwarę rozgromił
Chwacki on i prężny,
Rycerz nasz potężny*

*Gdy wróg nas katował,
Tyś nas uratował
I w dzień i w noc chłodną
Tyś naszą pochodnią!*

I ożenili Chrobrego Nazara z piękną siostrą olbrzymów. Siedem



dni i siedem nocy wesele trwało, pieśniami młodego króla i młodą królową sławiono:

*Księżyc na niebo wstąpił,
Światło księżycy łagodne –
Księżyc na niebo wstąpił,
Do Chrobrego Nazara podobny.*

*Gwiazda jasna zabłysła.
Do kogoż podobna tak ona?
Gwiazda jasna zabłysła.
Podobna do pięknej królowej.*

*Sławny nasz król i piękny, oj piękny!
Szaty jego są piękne, oj piękne!
I koronę ma piękną, oj piękną!
I kaftan ma piękny, oj piękny!
I pas jego piękny, oj piękny!*

*Sławni są król i królowa,
Niech sława ich rośnie stokrotnie!
Chwała naszej królowej,
Chwała królowi śmiałemu,
Chwała światu całemu!*

A trzeba powiedzieć, że do siostry olbrzymów siał swatów król sąsiedniego królestwa. Jak się dowiedział, że mu odmówiono i wydano ją

za mąż za innego – zebrał wojsko i poszedł z wojną na siedmiu braci.

Przybiegło siedmiu olbrzymów do Chrobrego Nazara, powiedziały o wojnie, ukloniły się nisko, stoją przed nim, oczekują rozkazów.

Gdy usłyszał Nazar o wojnie, cały zadygotał. Wpadł w popłoch, chciał uciec do rodzinnej wsi. A ludzie myślą – Nazar chce natychmiast zaatakować wroga. Stanęli mu na drodze, zatrzymują, błagają, proszą: „Dokąd biegniesz sam jeden? Co poczynisz bez miecza i zbroi? Czy ci głowy swojej nie żal?”

Przyniesiono mu miecz i zbroję, a żona zaklina braci by nie puścili Nazara do walki z wrogiem sam na sam.

własne oczy zobaczyli go z ogromną kłodą w ręce – całkiem stracili odwagę.

– Ratuj się, kto może! Mknij na nas Chrobry Nazar, wyrwaj drzewa z korzeniami!

Niemal wrogich żołnierzy poległo tego dnia. A ci, co przeżyli, złożyli broń u stóp Chrobrego Nazara i przysięgli być mu pokorni.

Wraca z groźnego pobojuwiska Chrobry Nazar do twierdzy olbrzymów. Ludzie wybudowali na jego cześć łuk triumfalny i wyszli mu na spotkanie, wołając w uniesieniu „hurra” i „chwała”, z pieśniami i muzyką, z dziewczynami i kwiatami – jednym słowem, czynili takie honory, że Nazar całkiem zbaraniał.

Z podobnymi zaszczytami ukoronowali go na króla. I został Chrobry Nazar królem, a każdemu z siedmiu braci dał służbę przy dworze i w okamgnieniu zrozumiał, że ma w garści cały świat.

Powiadają, że nadal żyje i króluje Chrobry Nazar i gdy przy nim ktoś opowiada o śmiałości, rozumie, zdolnościach, śmieje się i mówi: śmiałość, rozum, zdolności – to wszystko drugorzędne. Ważne jest tylko to, czy ci się poszczęści. Gdy los uśmiechnie się do ciebie – łap go za brodę!..

Powiadają, że i dziś Chrobry Nazar żyje w rozkoszach i drwi z całego świata.

Info:

Howhannes Tumanian – jeden z najwybitniejszych klasyków literatury ormiańskiej, działacz społeczny. Urodził się 7 lutego 1869 r. we wsi Dsegh (Dysech) w prowincji Lorri w Północnej Armenii. Jego ojciec był kapłanem Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego. Przez całe życie borykał się z trudnościami materialnymi, przez nie również nie zdobył odpowiedniego wykształcenia. Ale pisać i publikować zaczął jeszcze w roku 1880, mieszkając już wówczas w Tyflisie (Tbilisi), gdzie współpracował z ormiańskimi czasopismami. Wraz z wydaniem pierwszych zbiorów wierszy jego poezja zyskała publiczne uznanie. W swojej twórczości, inspirowanej się ormiańskim folklorem i legendami, prezentował konflikty społeczne i psychologiczne, zwyczaje i tradycje ludu, walkę z uciskiem feudalnym. Tłumaczył na język ormiański m.in. Byrona, Goethego, Puszkina. Pod jego kierownictwem w Tbilisi zorganizowane zostało koło literackie „Wernatur” („Poddasze”), do którego przystąpili czołowi pisarze ormiańscy. W latach 1912–1921 był przewodniczącym Kaukaskiego Towarzystwa Pisarzy Armeńskich. Po 1900 poświęcił się również literaturze dziecięcej – redagował magazyn dla dzieci Hasker (założony w 1905). Angażował się również społecznie i politycznie. Wywarł duży wpływ na literaturę ormiańską. Jego dzieła doczekały się przekładów na wiele języków, licznych adaptacji filmowych i teatralnych. Założył rodzinę w wieku 19 lat. Mieli z żoną dziesięcioro dzieci – czterech synów i sześć córek. Wszyscy synowie zginęli – jeden w czasie wojny w 1918 z rąk tureckich, inni trzej – podczas czystek stalinowskich. Umarł z powodu choroby nowotworowej 23 marca 1923 r. w Moskwie. Pochowany został w Tbilisi.

Sojusz Piłsudski–Petlura – niewykorzystana szansa

22 kwietnia 1920 r. została podpisana w Warszawie umowa między Rzeczpospolitą Polską a Ukraińską Republiką Ludową, która przeszła do historii jako „Sojusz Piłsudski – Petlura”. Połączyła ona sojuszem dwa państwa walczące o utrzymanie swojej niepodległości w obliczu najazdu wspólnego wroga ze wschodu. Bezpośrednim następstwem umowy warszawskiej była „wyprawa kijowska”, stanowiąca w istocie próbę realizacji dalekosiężnych planów Józefa Piłsudskiego, polegających na rozbiciu imperium rosyjskiego i przebudowie wschodu Europy.

MIROSŁAW SZUMIŁO

Wbrew opiniom wielu historyków „wyprawa kijowska” i sojusz polsko-ukraiński nie były z góry skazane na niepowodzenie. Celem niniejszego tekstu jest analiza wydarzeń z 1920 roku pod względem szans na realizację założeń tego sojuszu i pełne zwycięstwo nad bolszewikami oraz wskazanie popełnionych błędów, które uniemożliwiły budowę niepodległego państwa ukraińskiego sprzymierzonego z Polską.

Gdy w listopadzie 1918 r. Niemcy przegrały I wojnę światową, Ukraińska Republika Ludowa musiała walczyć na trzy fronty – z odrodzoną Polską, bolszewikami i Białymi Rosjanami. Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że 1 listopada 1918 r. na terenie austriackiej Galicji Wschodniej powstało drugie państwo ukraińskie – Zachodnio-Ukraińska Republika Ludowa (ZURL), toczące walkę na śmierć i życie przeciwko Polsce.

Przywódca Ukraińskiej Republiki Ludowej Główny Ataman Symon Petlura dążył do porozumienia z Polską jako potencjalnym sprzymierzeńcem w wojnie z bolszewikami, zwłaszcza, że nie mógł liczyć na wsparcie ze strony państw Ententy. Za „historycznego i wiecznego wroga” uważał Moskwę. Jego zdaniem interesy Ukrainy wymagały czasowego poświęcenia na rzecz Polski zachodnich terytoriów etnograficznych, by następnie w oparciu o nią zbudować skonsolidowaną państwowość ukraińską nad Dnieprem. Nie wyrzekł się jednak całkowicie utraconych obszarów. Liczył na to, że w przyszłości można je będzie odzyskać, zwłaszcza, iż Polacy nie są w stanie ich spolonizować.

Z polskiej strony naczelnik Państwa Józef Piłsudski wyraźnie dostrzegał kluczowe znaczenie Ukrainy dla przyszłego układu sił w tej części Europy. Od początku wojny w Galicji Wschodniej patrzył na konflikt z Ukraińcami z innej perspektywy, niż większość polskich polityków tego okresu. Był przekonany o konieczności jego szybkiego zakończenia i o potrzebie współpracy z niepodległą Ukrainą przeciwko bolszewikom.

W końcu lutego 1919 r. pojawiła się pierwsza szansa na kompromisowe rozwiązanie konfliktu. Międzynarodowa komisja pod przewodnictwem gen. Josepha Barthélemy'ego przedstawiła Polakom i Ukraińcom projekt konwencji rozejmowej. Tak zwana „linia Barthélemy'ego” pozostawiała po stronie polskiej Lwów i Zagłębie Naftowe, a Ukraińcom obiecywała połowę wydobywania ropy naftowej. Była jedynym możliwym wówczas kompromisowym rozwiązaniem konfliktu polsko-ukraińskie-

go. Rozejm pozwalał na skierowanie wszystkich sił ukraińskich na front antybolszewicki i dawał szansę na uznanie państwa ukraińskiego przez Francję i Wielką Brytanię.

Piłsudski i Petlura godzili się na warunki rozejmu. Odrzucili je natomiast przywódcy Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej, kierujący się zasadą „wszystko albo nic”. Ten katastrofalny brak realizmu politycznego trafnie ocenił ukraiński historyk Iwan Łysiak-Rudnycki stwierdzając: „odrzućcie propozycję Barthélemy'ego przez rząd zachodnio-ukraiński było ośmieszającym, jeśli nie samobójczym działaniem”.

Gdy Wojsko Polskie opanowało już całą Galicję i zachodnią część Wołynia, 1 września 1919 r. podpisano rozejm z Petlurą. Gdy armia i rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej, pod naporem Białych Rosjan gen. Denikina, znalazły się w okolicach Lubaru na Wołyniu bez możliwości dalszego odwrotu, 5 grudnia 1919 r. Symon Petlura wyjechał do Warszawy na zaproszenie Piłsudskiego. Licząca zaledwie 10 tysięcy żołnierzy armia URL, pod dowództwem gen. Mychajły Omelanowycza-Pawlenki wyruszyła w „pochód zimowy” na tyłach przeciwnika.

W tym czasie Ententa popierała zdecydowanie gen. Antona Denikina i jego program odbudowy Wielkiej Rosji, czego najbardziej obawiał się Naczelnik Państwa. Dlatego też doprowadził on do zawieszenia broni z bolszewikami, czekając na porażkę Białych. Według gen. Tadeusza Kutrzeby już w grudniu 1919 r. decyzja o zamierzonej tzw. wyprawie kijowskiej była „ostatecznie dojrzała”, ale Piłsudski postanowił przystąpić do jej realizacji dopiero po upadku Denikina. Zima została wykorzystana przez Polskę i Rosję bolszewicką na intensywne przygotowania do rozstrzygającej konfrontacji zbrojnej.

Sojusz polsko-ukraiński z 1920 r. jest powszechnie kojarzony z tzw. koncepcją federacyjną Józefa Piłsudskiego. W gruncie rzeczy program federacyjny dotyczył jedynie Litwy i Białorusi (czyli ziem byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego), a Ukraina miała być państwem sprzymierzonym. W latach 1918–1920 naczelnik Państwa starał się realizować swój plan przebudowy stosunków na wschodzie Europy, którego zasadniczym celem było stworzenie przeciwwagi dla Rosji, w jakiegokolwiek formie by się ona wyłoniła z wojny domowej. Miał to być sojusz polityczno-wojskowy i gospodarczy państw „okrainnych” Rosji, tj. Finlandii, państw bałtyckich, Polski, Ukrainy, Rumunii i krajów Kaukazu. Jak trafnie zauważył Andrzej Nowak: „Kluczowe miejsce w tej akcji zarezerwowane było naturalnie dla Ukrainy, której trwałe usamodzielnienie, odseparowanie od Rosji, miało być naj-

bardziej pewnym zabezpieczeniem przed możliwością imperialnej recydywy Moskwy”.

Obok dalekosiężnych argumentów natury politycznej, o wyborze kierunku uderzenia zdecydowały też doraźne względy strategiczne. Dobitnie wyraził to Piłsudski w rozmowie z zaufanym Bogusławem Miedzińskim: „...bolszewików trzeba pobić i to niedługo, póki nie wzrosła w siłę. Trzeba ich zmusić do tego, aby przyjęli rozstrzygającą rozprawę i sprać ich tak, aby ruski miesiąc

w ilości potrzebnej dla trzech dywizji wedle etatów polskich.

Rozpoczęta 25 kwietnia 1920 r. ofensywa sprzymierzonych wojsk polskich i ukraińskich rozwijała się bardzo pomyślnie. 27 kwietnia kawaleria polska przepołowiła front bolszewicki pod Berdyczowem i Koziatynem, biorąc przy tym masę jeńców i sprzętu wojskowego. Po pierwszym sukcesie, polskie natarcie zostało wstrzymane na 10 dni. Kolejne uderzenie trafiło już w próżnię, ponieważ przeciwnik wycofał się za Dniepr. 7



popamiętali. Ale żeby to osiągnąć, trzeba ich nadeprnąć na tak bolesne miejsce, żeby nie mogli się uchylać i uciekać. [...] Kijów, Ukraina, to jest ich czuły punkt. Z dwóch powodów: po pierwsze, Moskwa bez Ukrainy będzie zagrożona głodem; po drugie, jeśli zawiesimy nad nimi groźbę zorganizowania się niepodległej Ukrainy, to tej groźby oni nie będą mogli zaryzykować i będą musieli pójść na walną rozprawę”.

Trwające od grudnia 1919 r. tajne rokowania polsko-ukraińskie zakończyły się w nocy z 21 na 22 kwietnia 1920 r. podpisaniem w Warszawie „umowy politycznej pomiędzy Polską i Ukraińską Republiką Ludową”. W punkcie pierwszym umowy stwierdzono: „Uznając prawo Ukrainy do niezależnego bytu państwowego [...] Rzeczpospolita Polska uznaje Dyktoriał niepodległej Ukraińskiej Republiki Ludowej z głównym atamanem, panem Symonem Petlurą na czele za zwierzchnią władzę Ukraińskiej Republiki Ludowej”. Granicę między Polską i Ukrainą wyznaczono wzdłuż rzeki Zbrucz i dalej na północ do Prypeci, pozostawiając po polskiej stronie Galicję i większą część Wołynia. Oba rządy zobowiązały się nie zawierać żadnych umów międzynarodowych skierowanych przeciwko sobie. 24 kwietnia zawarto konwencję wojskową, stwierdzającą, że „wojska polskie i ukraińskie odbywają akcję wspólnie jako wojska sprzymierzone”. Operacje wojskowe miały odbywać się pod kierownictwem Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich, które zobowiązało się dostarczyć dla armii ukraińskiej broni, amunicji, ekwipunku i odzieży

maja oddziały 3 armii gen. Śmigłego-Rydza zajęły opuszczony Kijów.

W „wyprawie kijowskiej” mogły wziąć udział tylko dwie słabe liczebnie dywizje ukraińskie, liczące łącznie 556 oficerów i 3348 żołnierzy. Stanowiły niewielką część sił polskich przeznaczonych do ofensywy. Ich obecność na froncie miała przede wszystkim znaczenie propagandowe i polityczne. Posiadały jednak doświadczone i zdeterminowane kadry oficerskie, co pozwalało sądzić, że po otrzymaniu uzupełnień rozwiną się szybko w pełnoetatowe dywizje. 7 maja 1920 r. dołączyły do nich wracające z „pochodu zimowego” oddziały gen. Pawlenki, liczące wówczas zaledwie 4 tys. ludzi zdolnych do walki.

Duże wsparcie dla nacierających wojsk polskich stanowił ukraiński ruch powstańczy na tyłach wroga („petlurowszczyzna”). Lew Trocki stwierdził wówczas, że „ukraińscy bandyci przyspieszyli pochód polskich oddziałów”. Oddziały powstańcze potencjalnie mogły stanowić wzmocnienie wojska ukraińskiego, jednakże tylko kilka z nich wstąpiło w szeregi regularnej armii. Z reguły operowały aktywnie tylko na terenie swojego powiatu, nie wychylając się poza jego granice, a ponadto nie chciały podporządkować się dyscyplinie partyjnej.

14 maja 1920 r. bolszewicy rozpoczęli ofensywę na Białorusi. Została ona odparta, ale kosztem przerzucenia tam polskich oddziałów z Ukrainy. Tymczasem 5 czerwca bolszewicka 1 Armia Konna Budionnego przełamała linię frontu w rejonie Samhorodka na południe od Kijowa i wyszła na tyły wojsk polskich. W tej sytuacji dowód-

ca 3 Armii gen. Śmigły-Rydz nakazał opuszczenie Kijowa i wycofał się w kierunku Korostenia. „Wyprawa kijowska” zakończyła się porażką, a Polacy i Ukraińcy znaleźli się w odwrocie.

W polskiej historiografii najczęściej winą za niepowodzenie obciąża się ukraińskiego sojusznika. Odezwa Symona Petlury, wzywająca do ochotniczego wstępowania w szeregi wojska ukraińskiego, spotkała się bowiem z bardzo słabym odzewem. Zaciąg ochotniczy dał skromne rezultaty, ponieważ społeczeństwo ukraińskie, z niewykryształowaną do końca świadomością narodową, wyraźnie czekało na dalszy rozwój wypadków. Chłopi ukraińscy, zmęczeni wyniszczającą wojną, tęsknili za władzą, która zaprowadzi w terenie spokój i porządek, ale jednocześnie nie wierzyli w ustabilizowanie sytuacji przez rząd Petlury. Była to dla nich po prostu kolejna zmiana władzy, jakich wiele przeżyli od 1917 roku. Tymczasem odezwy Petlury i Piłsudskiego nie zawierały hasła społecznych, w wyniku czego część chłopów ulegała bolszewickiej propagandzie, straszącej powrotem „polskich panów” i odebraniem rozparcelowanej ziemi. Ze wspomnień polskich oficerów wynika, że większość ludności zachowywała się biernie, ale nie wrogo. Jej stosunek do sojuszu polsko-ukraińskiego mógł się zmienić z biegiem czasu, wraz z dalszymi porażkami bolszewików na froncie i umocnieniem się administracji ukraińskiej na wyzwolonych obszarach.

Negatywny wpływ na postawę miejscowej ludności wywierało niewłaściwe zachowanie się Polaków. Komendanci wojskowi nie kwapili się z przekazywaniem władzy i administracji terenowej Ukraińcom, mimo wyraźnych instrukcji Naczelnego Dowództwa WP. Większość oficerów, pamiętając walki toczące przeciwko Ukraińcom w Galicji oraz będąca pod wpływem poglądów endeckich, nie rozumiała potrzeby sojuszu z Petlurą. Józef Piłsudski pisał 6 maja do premiera Skuśkiego: „Wojsko staje się ciężarem coraz większym, drażniącym ludność i wzbudzającym coraz nieprzyjaźniejsze uczucia”. Złą sławę zdobyły sobie zwłaszcza grabiąca ludność pułki poznańskie. „Doprawdy z tymi draniami wojska nie można – utyskiwał naczelny wódz – już donosić mi, że ten pas, którym idą, gotów jest zrobić powstanie przeciwko nam”.

Piłsudskiemu zarzuca się, że pomimo uzyskanych około połowy kwietnia informacji wywiadu o koncentracji głównych sił Armii Czerwonej na Białorusi, nie zrezygnował z planu ofensywy na Ukrainie. Zapomina się przy tym, iż celem operacyjnym „wyprawy kijowskiej” było możliwie szybkie sformowanie armii

ukraińskiej, która przejmie na siebie obronę Ukrainy i pozwoli tym samym przerzucić główne siły polskie na północ. Świadczy o tym późniejszy rozkaz Naczelnego Dowództwa z 8 maja 1920 roku: „W interesie polskim leży jak najszybsze wycofanie wojsk własnych [...]. Okupacja polska Ukrainy musi być rozrachowana nie na lata, ale na miesiące. Im prędzej zostaną stworzone regularne wojska ukraińskie, im wcześniej wyjdą one na front, by dalej ziemię Ukrainy spod jarzma bolszewickiego uwalniać, w tym dogodniejszym położeniu znajdzie się Państwo Polskie”.

Kluczem do sukcesu „wyprawy kijowskiej” i całej wojny z bolszewikami była zatem obrona zajętych obszarów do czasu rozbudowy regularnej armii ukraińskiej. Zdaniem generała Kutrzeby potrzeba było na to 12 tygodni. W praktyce dysponowano czasem o połowę krótszym. Przyczyna niepowodzenia leżała nie w samym planie strategicznym Piłsudskiego lecz w jego wykonaniu. Sojusznicy musieli



Generał Antoni Listowski (od lewej), Symon Petlura, płk. Wołodmyr Sałsłyj, płk. Marko Bezruczko, oficerowie ukraińscy i polscy – wyprawa kijowska, kwiecień 1920

się wycofać z Kijowa już po miesiącu ze względu na szereg błędów popełnionych przez polskie dowództwo.

Po pierwsze, po trzech dniach ofensywa kwietniowa została zatrzymana na kolejne dziesięć dni, co wykorzystał nieprzyjaciel i zręcznym manewrem wycofał się za Dniepr unikając zupełnego zniszczenia. Po drugie, występowały trudności w dowodzeniu operacyjnym z powodu braku kompetentnych generałów. Wojska do obrony Ukrainy było dość, ale obrona była źle zorganizowana. Po trzecie, gen. Rydz-Śmigły zwlekał z opuszczeniem Kijowa, a następnie zamiast zgodnie z intencją Piłsudskiego uderzyć w bok i tył oddziałów Budionnego, omijając go wycofał się na Polesie. W rezultacie tych błędów nie wykonano planu strategicznego, który zakładał pobicie przeciwnika na Ukrainie, a następnie przerzucenie głównych sił na Białoruś.

Decydujące przełamanie linii frontu przez 1 Armię Konną Siemiona Budionnego było skutkiem przyjęcia przez stronę polską błędnej koncepcji rozmieszczenia wojsk (ugrupowanie kordonowe bez odwodów), chaosu w dowodzeniu, a przede wszystkim niedoceniań możliwości przeciwnika. Wynikało ono z przeświadczenia polskich dowódców, że formacja Budionnego nie przedstawia większej wartości bojowej. Zdecydowanie nie stanęli oni na wysokości zadania już podczas decydującego starcia. Do-

wódca frontu gen. Antoni Listowski nie nadał za rozwojem wydarzeń i nie skierował na zagrożony odcinek niezbędnego wsparcia. Zamiast tego, przekazał dowódzenie gen. Śmigłemu-Rydzowi, który nie miał łączności z walczącymi pod Samhorodkiem jednostkami. O sukcesie przeciwnika przesądził w gruncie rzeczy chaos organizacyjny i brak kontrakcji po polskiej stronie.

Kardynalnym błędem, właściwie grzechem zaniechania, było bardzo powolne organizowanie wojska ukraińskiego, przez co zmarnowano posiadany czas. W czerwcu 1920 r. armia URL osiągnęła stan zaledwie 21 tysięcy żołnierzy i oficerów. Strona polska domagała się od Ukraińców zorganizowania armii złożonej z sześciu pełnoetatowych dywizji piechoty (w sumie około 70 tysięcy żołnierzy). Było to realne przy przeprowadzeniu powszechnej mobilizacji. Jednakże opieszałość władz URL i utrudnienia czynione przez polskich dowódców sprawiły, iż ukraińska administracja

„wokół bolszewickiej Rosji. Jej postawa była w dużej mierze uzależniona od rozwoju wydarzeń na froncie i od tego kto w danym momencie reprezentował realną siłę zdolną walczyć z bolszewikami. Pod koniec maja 1920 r. francuski premier Alexandre Millerand postanowił wysłać specjalną misję dyplomatyczną do Kijowa, poważnie się zastanawiając nad uznaniem de facto rządu URL. Od projektu odstąpiono wobec raptownego zwrotu sytuacji na froncie.

Podczas odwrotu na zachód armia ukraińska, pod dowództwem gen. Mychajły Omelianowycza-Pawłenki, broniła południowego odcinka frontu w okolicach Kamieńca Podolskiego. W sierpniu wycofała się za Dniestr, otrzymując rozkaz obrony 150 km odcinka tej rzeki od granicy rumuńskiej aż do rejonu Mikołajowa (na południe od Lwowa). Tymczasem wydzielona 6 dywizja strzelców siłowych płk. Marka Bezruczki wycofywała się w składzie polskiej 3 armii, najpierw na Wołyń, a potem na Lubelszczyznę. W końcu sierpnia 1920 r. płk Bezruczko dowodził bohaterską obroną Zamościa przed armią konną Budionnego.

Jesienią 1920 r., po polskim zwycięstwie w bitwie warszawskiej oraz późniejszym rozgromieniu bolszewików w bitwie nad Niemnem, pojawiła się druga szansa na realizację koncepcji Piłsudskiego. Armia Czerwona cofała się w rozsypanie, a droga na wschód praktycznie stała otworem. Obrazowo wyraził to Tadeusz Hołłowo, stwierdzając: „Zdradziliśmy Ukraińców, którzy wiernie dotrzymali nam braterstwa w dniach tragicznych. A tylko dwa tygodnie dalszej wojny i wojska Petlury byłyby w Kijowie”. Niestety, społeczeństwo polskie miało dość wojny i nie rozumiało dalekosiężnych planów Naczelnika Państwa. Jak to określił Stanisław Cat-Mackiewicz: „za bitwę sierpniową dziękowało Bogu, za wyprawę kijowską złorzeczyło Piłsudskiemu”.

O dalszych losach sojuszu polsko-ukraińskiego przesądziły decyzje zapadłe podczas polsko-bolszewickich rokowań pokojowych w Rydze. Już na pierwszym posiedzeniu 21 września 1920 r. przewodniczący polskiej delegacji Jan Dąbski uznał pełnomocnictwa przedstawiciela Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Było to równoznaczne ze złamaniem polsko-ukraińskiej umowy sojuszniczej z 22 kwietnia. Działania wojenne zostały przerwane 18 października, gdy wszedł w życie układ rozejmowy. Licząca 40 tysięcy żołnierzy armia ukraińska samotnie kontynuowała walkę na Podolu do 21 listopada. Pod naporem bolszewików wycofała się za Zbrucz i znalazła się w polskich obozach internowania.

Podpisany 18 marca 1921 r. polsko-sowiecki traktat pokojowy w Rydze oznaczał de facto porażkę planów Piłsudskiego. Wielkie zwycięstwo militarne zostało w dużej mierze zaprzepaszczone politycznie, gdyż nie powstało państwo ukraińskie. Marszałek doskonale zdawał sobie sprawę, że Polska wygrała wojnę, ale przegrała pokój i przegrała sprawę ukraińską. W tym kontekście należy rozumieć jego słowa skierowane 15 maja 1921 r. do internowanych żołnierzy ukraińskich: „Ja Was panowie przepraszam, bardzo przepraszam”.

Nagroda Świadek Historii The Witness of History (dla osób i organizacji spoza Polski) – VI edycja

Instytut Pamięci Narodowej ogłasza szóstą edycję międzynarodowej nagrody „Świadek Historii” dla osób i organizacji spoza Polski. Jest to honorowe wyróżnienie, ustanowione w 2009 r. zarządzeniem prezesa IPN i przyznawane przez Instytut Pamięci Narodowej. Otrzymują je osoby i instytucje szczególnie zasłużone dla upamiętnienia historii Narodu Polskiego oraz wspierające IPN w realizacji ustawowej działalności w obszarach edukacyjnym i naukowym. Zapraszamy do zgłaszania osób i instytucji spoza Polski, szczególnie zaangażowanych w pielęgnowanie polskiej pamięci historycznej, dbających o zachowanie, propagowanie i pogłębianie wiedzy o historii najnowszej naszego kraju oraz odkrywanie zapomnianych faktów czy osób zasłużonych dla Narodu Polskiego. Laureatem nagrody może zostać osoba niemająca polskiego pochodzenia.

Wnioskować można także o uhonorowanie pośmiertne.

Opis (w objętości do 3 stron) powinien uwzględniać działania mające na celu pielęgnowanie pamięci historycznej o Polsce i Polakach poza granicami naszego kraju oraz wspierające IPN w realizacji działalności w obszarach: edukacyjnym, naukowym i wydawniczym (przykładem takiej działalności jest gromadzenie pamiętek związanych z naszą historią, poszukiwanie, zbieranie i archiwizowanie dokumentów jej dotyczących, dbanie o cmentarze czy pomniki, projekty popularyzujące dzieje najnowsze Polski itp.). Instytut Pamięci Narodowej, zgodnie z ustawą o IPN,

zajmuje się wydarzeniami z najnowszej historii Polski, czyli tymi, które miały miejsce pomiędzy 8 listopada 1917 r. a 31 lipca 1990 r. W związku z tym nagradzane są działania dotyczące tego okresu.



Wniosek o przyznanie nagrody powinien zawierać dane kandydata, opis jego zasług uzasadniających przyznanie nagrody, dostępne wnioskodawcy kopie dokumentów poświadczających osiągnięcia kandydata. Do wniosku należy dołączyć zgodę kandydata na zgłoszenie (nie dotyczy kandydatów zgłaszanych pośmiertnie). Wyłącznie pisemne zgłoszenia należy **nadsyłać do 31 maja 2020 r.** (decyduje data stempla pocztowego – 31 maja to ostatni dzień nadania przesyłki) na adres:

**Instytut Pamięci Narodowej
Biuro Edukacji Narodowej
(Nagroda „Świadek Historii”)
ul. Wołoska 7
02-675 Warszawa**

W sprawie nagrody można również kontaktować się z Katarzyną Miśkiewicz, pisząc na adres: swiadek.historii@ipn.gov.pl

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

**TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY
JĘZYKA UKRAIŃSKIEGO
BOGDAN FOTIUK**

osobisty numer tłumacza TP/9/19



Poświadczzone tłumaczenia pisemne dokumentów, przedkładanych do placówek dyplomatycznych na Ukrainie, każdych instytucji, w tym – uczelni wyższych, w Polsce, wszędzie gdzie wymagane jest tłumaczenie, sporządzane przez tłumacza przysięgłego

Tłumaczenia ustne – naśladujące oraz symultaniczne, oficjalne i prywatne dla różnorodnych instytucji, a także obywateli polskich i ukraińskich

**Biuro: Lwów, Stryjski Park 14, siedziba
Lwowskiej Izby Przemysłowo-Handlowej
Kontakt: +38 067 4380670 (Viber, Whatsapp)
+38 093 2588899
bf_lwow@wp.pl**

Poszukuję przyrodniego brata

Poszukuję przyrodniego brata Mariana Woch (w wieku około 75–80 lat), mieszkającego na Ukrainie w okolicy Lwowa, który w sierpniu 2018 r. był w Polsce w miejscowości Brzeg woj. opolskie. Przyjechał z wycieczką z Ukrainy i po ustaleniu miejsca pochówku swojego ojca, złożył wieniec na jego grobie z napisem „Od syna

Mariana”. Dane ojca: Antoni Woch s. Jana i Reginy urodzony 13.08.1917 r., Biskowyczy, obwód lwowski, ZSRR. Z ustaleń wiemy, że Marian Woch szukał kontaktu z rodziną ojca. Bardzo prosimy o pomoc w odszukaniu brata Mariana Woch – rodzeństwo.

kontakt: +48666092911

„Cholerny słup”, szczęka i DDT zamiast kadzidła

Wioska Liczkowce, leżąca nad Zbruczem, znana jest przede wszystkim z odnalezionego tu w 1848 roku posągu Światowida o czterech twarzach. Niestety inne lokalne zabytki nie są znane szerokim rzeszom. Jakkolwiek wydaje się to dziwne, ale każdy z nich zasługuje na określenie „unikalny”. I nie ma w tym żadnej przesady.

DMYTRO POLUCHOWYCZ
tekst
archiwum autora
zdjęcia

Wszystkie zabytki skoncentrowane są na niewielkiej powierzchni koło ruin wspaniałego kościoła, wystawionego na początku XVIII wieku. Świątynia stoi na wyniosłym wzgórzu z dwóch stron otoczonym głębokimi jarami rzek Gnila i Tajna.

Naszą opowieść zaczniemy od pomnika „Cieniom zmarłych dusz” – wybudowanego przez dziedzica wiośki Konstantego Zaborowskiego na wspomnienie 200 mieszkańców wiośki, zmarłych w czasie epidemii cholery w latach 1830–1831. W czasie światowej pandemii jest to temat niezwykle aktualny. Na olbrzymiej kolumnie do niedawna stała rzeźba alegorii Smutku. Niestety – dziś po niej pozostały jedynie nogi. Resztę odłamków figury można znaleźć pod kolumną, ale głowy, po rozsypaniu się figury, nie udało się znaleźć. Kolumna stoi nad samą krawędzią przepastnego jaru – może tam stoczyła się głowa...

W moim artykule „Kamienni świadkowie dawnych epidemii” można przeczytać o „Dżumnych słupach”, które stawiano w całej Europie. „Cholerny słup” w Liczkowcach jest ich „krewnym”. Różnica jedynie w tym, że na szczycie „dżumnego” stawiano figurę Marki Boskiej, tu zaś mamy alegoryczną figurę – młodzieńca, odzianego w stój szlachecki z XVIII wieku. Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że przedstawia ona Rzeczpospolitą, rozdartą pomiędzy zaborców.



Ruiny zamku i kościół. Koniec XIX wieku

Konstanty Zaborowski, ten sam, który swego czasu wyciągnął ze Zbrucza posąg Światowida i na zamówienie którego wystawiono „cholerny słup”, był gorącym patriotą Polski i nie pałał sympatią ani do Wiednia, ani do Petersburga. Świadczy o tym jeszcze jeden oryginalny zabytek, który zachował się obok. Ale o tym poniżej, teraz zaś niewielkie, ale ciekawe „cholerny” uzupełnienie.

Naprzeciwno Liczkowiec, po drugiej stronie Zbrucza leży wioska Goleniszczowe. Dzięki wspomnianej wyżej epidemii cholery z lat 1830–1831 wioska dała literaturze słynnego gogolewskiego „Wija”. W czasie epi-



Pomnik Michała Zaborowskiego

demii cholery rząd wysłał na Podole lekarza Wołodymyra Dala. Oprócz pełnienia swoich bezpośrednich obowiązków medyk-lingwista w wolnych chwilach zbierał różne legendy i opowieści. To właśnie w Goleniszczowie zapisał legendę o „Śpiącym Buniaku”. W tym opowiadaniu pominiemy dramaturgię przekazu o pięknej księżnej i chciwym, złym czarodzieju Buniaku, a zatrzymamy się na postaci tego ostatniego.

Jak głosi legenda, Buniak jednym spojrzeniem mógł zniszczyć całe armie i zrujnować miasta. Aby uratować ludzi od jego złych czarów Bóg dał mu olbrzymie powieki z ciężkimi rzęsami. Dlatego Buniak zawsze chodził z zamkniętymi oczyma

nie. Jest to czterograniasty obelisk z trofeami na krawędziach – kompozycjami antycznych zbroi. Wieńczy go obelisk udekorowany starożytnym greckim hełmem. Pomnik wystawiono również na życzenie Konstantego Zaborowskiego, jednocześnie z obeliskiem „Cieniom zmarłych dusz”, na cześć krewnego Zaborowskiego, kapitana Wojsk Polskich Michała Zaborowskiego, który w wieku 28 lat zginął pod Możajskiem podczas kompanii moskiewskiej Napoleona w roku 1812. Z tym obeliskiem powiązana jest kolejna miejscowa legenda. Powiadają, że kiedyś syn miejscowego wojewody trafił do niewoli tatarskiej. Wrogowie katowali młodzieńca, zmuszając go, by namówił ojca do poddania się i obiecując puścić wszystkich wolno. Ten udął, że się zgadza, ale stojąc pod murami zamku zawołał, aby nie wierzyć Tatarom i nie poddawać się. W tym momencie dowódca tatarski ciał jeńca szablą i odciął mu dolną szczękę. Widząc to, wojewoda trafił dowódcę strzałą prosto w oko. Tatarzy przelękli się i odstepili od oblężenia. Odważnego wojewodzica pochowano w miejscu jego śmierci, a na wzniesionym obelisku przedstawiono zniekształconą tatarską szablą głowę bohatera. Z tym wydarzeniem powiązana jest nazwa miejscowości: odważny młodzieńca do końca spoglądał z nienawiścią w oblicza (lica) swoich oprawców.

Dziś po wspomnianym zamku praktycznie nie ma już nic – został mocno zniszczony podczas wojny z Turkami, a gdy Imperium Osmańskie opuściło Podole, nie miał go już kto odbudować i został rozebrany na budulec. Ale jak wspomina wydany pod koniec XIX wieku piętnastotomowy „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, w niektórych ocalałych pomieszczeniach zamkowych mieszkali jeszcze lokatorzy. Niestety, w tym co dotrwało do naszych dni, nawet najlepsi specjaliści od fortyfikacji z trudem rozpoznają coś „zamkowego”.

Dziś po wspomnianym zamku praktycznie nie ma już nic – został mocno zniszczony podczas wojny z Turkami, a gdy Imperium Osmańskie opuściło Podole, nie miał go już kto odbudować i został rozebrany na budulec. Ale jak wspomina wydany pod koniec XIX wieku piętnastotomowy „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, w niektórych ocalałych pomieszczeniach zamkowych mieszkali jeszcze lokatorzy. Niestety, w tym co dotrwało do naszych dni, nawet najlepsi specjaliści od fortyfikacji z trudem rozpoznają coś „zamkowego”.

A teraz ciąg dalszy o zabytkach Liczkowiec.

W odległości blisko 50 m od „cholernego słupa” wznosi się kolejny niezwykle zabytek, który różni się od innych podolskich, nawet zewnętrz-

Pomiędzy kolumną a obeliskiem rzuca się w oczy rzymskokatolicka kapliczka, wybudowana w kształcie grotty. Jest dość nietradowa i nietypowa. Są to właśnie pozostałości po zamku. W czasach Austro-Węgier były tu jeszcze klasyczne ruiny, a kapliczkę-grotę wystawiono już w okresie międzywojennym. Prawdopodobnie wystawiono tu komuś grobowiec (dookoła był spory cmentarz). Wówczas, jak widać to na starych zdjęciach, pozostawiono romantyczną aurę zamkowych ruin. W naszych czasach miejscowi mieszkańcy uznali, że takie ruiny są oznaką złego gospodarowania i przerobili grobowiec



Cmentarz koło kościoła, 1908 r.

na kapliczkę, którą rzetelnie pobielono.

O zamku w Liczkowcach wiadomo niewiele. Wzniósł go prawdopodobnie Jan Kalinowski około 1562 roku na miejscu dawniejszych umocnień z czasów wczesnoruskich. Większą część murów zamkowych użyto przy budowie kościoła Niepokalanego Poczęcia NMP (1708 r.), ufundowanego przez małżeństwo Kaweckich (Andrzeja Franciszka i Alojzy Katarzyny z Drużbackich). Prawdopodobnie powstał on na miejscu swego poprzednika – świątyni rzymskokatolickiej w

Liczkowcach wspomnianej już w 1625 roku.

Na wszelki wypadek świątynię wzniesiono jako obronną – z grubymi murami, niewielkimi okienkami-strzelnicami pod samym dachem i stanowiskami dla armat. Od początku swego istnienia kościołem opiekowali się jezuiti. Jest to oczywiście, ponieważ fasada kościoła ozdobiona jest olbrzymim herbem tego zakonu. Widoczny jest tam też napis, świadczący o rekonstrukcji kościoła w 1728 roku.

W krypcie kościoła w 1818 roku złożono kolejnego uczestnika kompanii moskiewskiej – kolejnego dziedzica Liczkowiec Jana Szeptyckiego, generała adiutanta WP. Dalszy los świątyni jest typowy: sowieci zamknęli ją i urządzili w niej magazyn nawozów sztucznych. W zakrystii trzymały środki chemiczne. Mury tak nimi przesiąkły, że duszący zapach DDT odczuwalny jest tam do dziś. A jest tak silny, że nawet po kilku minutach przebywania tam zaczyna boleć głowa.

Do początku lat 90. świątynia jeszcze stała. Po kilku latach zapadł się dach, a potem i sklepienie. Pomimo swych lat zabytek figuruje na liście zabytków lokalnych, a przecież śmiało może pretendować do listy zabytków o znaczeniu krajowym. Dziś kościół jest w stanie awaryjnym, również splecione mury nie wróżą mu dobrze.

Z pagórka, gdzie stoi kościół i reszta zabytków, dobrze widoczny jest kryty czerwoną dachówką stro-

my dach. Tam, za wysokim płotem wśród starego parku, ukrywa się bardzo ładny pałacyk, wystawiony w stylu romantycznego gotyku. Kunsztowne kształty balkonów, balustrad i okien dopełniają całości. Willę na początku XX wieku wystawił tu niejaki pan Temelman. Do niedawna mieściła się tu przychodnia lekarska. Obecnie pałacyk jest własnością prywatną i trafić do jego wnętrza jest trudno.

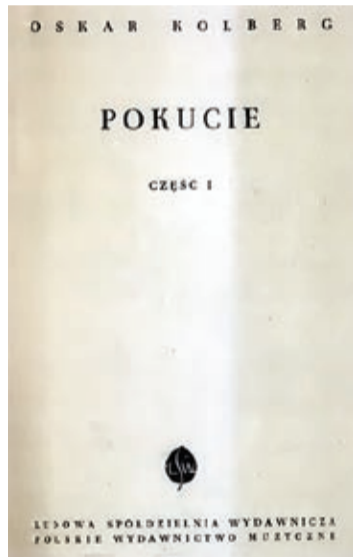
Gdy zakończy się kwarantanna, proszę koniecznie zawitać do Liczkowic – nie pożałujecie.

Ojciec chrzestny „Pokucia” Oskara Kolberga

W poszukiwaniu materiału folklorystycznego Oskar Kolberg wielokrotnie odwiedzał Pokucie (1867–1868, 1870, 1876–1877 i 1880). Tu zatrzymywał się u swoich przyjaciół i osób o podobnych zainteresowaniach. Jednym z nich był właściciel Czortowca i Unieży Władysław Przybysławski. Stał się on prawą ręką Kolberga w jego podróżach po Pokuciu, jego przewodnikiem, opiekunem i wiernym przyjacielem.

NATALIA TKACZYK
tekst
ilustracje ze zbiorów
autorki

Materiały do swego „Pokucia” Oskar Kolberg zbierał w ówczesnych powiatach Kołomyjskim, Horodenskim, Tlumackim i Śniatyńskim. Większość czasu jednak spędzał w Czortowcu – majątku Przybysławskich – gdzie zapisał około 50 pieśni,



opisał dziesiątki tańców (w tym i unikalny „Serben”), zanotował dziesiątki bajek, ludowych sposobów leczenia oraz wiele przysłów i zagadek.

Jego dzieło jest bezcenne, ale nie należy zapominać, że do jego powstania w znacznym stopniu przyczynili się przyjaciele uczonego, którzy często zbierali i nadsyłali mu drogą pocztową materiały do opracowania. Na prośbę etnografa dopracowywali u lokalnej ludności sprzeczne detale, zapisywali brakujące fragmenty i odsyłali mu.

Jednym z tych, kto wspomagał i wspierał uczonego w jego pracy był Władysław Przybysławski, który określał Kolberga jako „rodzonego ojca „Pokucia”, które wnet ma powstać, a ja jestem tylko jego ojcem chrzestnym...”.

Kolberga i Przybysławskiego łączyła nie tylko serdeczna przyjaźń, ale i wspólne zainteresowania i działalność. Przecież Przybysławski był zbieraczem-amatorem twórczości ludowej, etnografem i archeologiem, wybitnym kolekcjonerem, wieloletnim członkiem powiatowej Rady w Horodence i marszałkiem powiatu. Jego działalność badawczą poświęcony jest osobny rozdział w kronice Czortowca „Gród nad Sągą”, autorstwa Luby Solowki.

Mówiąc językiem współczesnym, Władysław Przybysławski (1830, Dżurków – 1908, Lwów) był menadżerem kultury na Pokuciu w II połowie XIX wieku, organizował wyprawy badawcze, zapraszał na nie uczonych, inicjował szereg imprez kulturalnych. Jego ojciec, Andrzej Przybysławski, był aktywnym uczestnikiem powstania listopadowego. Władysław studiował w Kolegium Jezuitów we Lwowie. Idąc w ślady ojca, w latach

60 aktywnie agitował za kolejnym powstaniem i należał do komitetu, dostarczającego broń do Królestwa Polskiego, w tym komitecie działali również Aleksander Fredro, Franciszek Smolka i Stanisław Tarnowski. Za tę działalność niepodległościową Przybysławskiego uwięziono. Następnie wyemigrował on do Drezna. Po powrocie na Pokucie aktywnie zajął się działalnością naukową i kulturalną.

Z jego inicjatywy na Pokucie zaczęli przyjeżdżać archeolog i wydawca Adam Kirkor, autor encyklopedii krajoznawczej Galicji Antoni Julian Sznajder, antropolog i etnograf Lzydor Kopernicki, a także uczeni Franciszek Albinowski, Narcyz Modzelewski, K. Łukaszewicz, Ludwik Biskupski i inni.

Władysław Przybysławski, jako członek archeologicznej komisji Krakowskiej Akademii Umiejętności nadsyłał wiele eksponatów z Pokucia do Akademii. Jako członek Komisji badań historii sztuki Polski zwrócił uwagę polskiej inteligencji na zabytki kultury polskiej na Pokuciu, które już wówczas niszczały. W 1888 roku Władysława Przybysławskiego mianowano na stanowisko konserwatora zabytków Galicji Wschodniej.

Swój nieoceniony wkład w powstanie „Pokucia” uczyniła i małżonka



Władysław Przybysławski

ka Przybysławskiego hrabina Helena Przybysławska (1840–1917), córka Rozalii z Biszpinków i Kazimierza Wessela. Władysław poznał ją w kole polskiej emigracji w Dreźnie, gdzie z czasem pobrali się. To dla niej w 1867 roku Przybysławski wykupił część majątku od Kornelii Raciborskiej i na jej cześć nazwał jedną z odkrytych koło Czortowca pieczar. Więcej o charakterze tej kobiety, jej inteligencji i duchowości można przeczytać w książce-wspomnieniu, którą poświęcił jej Jan Bołoz-Antoniewicz.

Na Pokuciu Władysław i Helena Przybysławszy posiadali majątek w Czortowcu i Unieży, które, jak świadczą współcześni, były prawdziwymi muzeami i „oazami polskiej kultury” i „skarbnicami archeologii”. W Unieży przechowywano wiele rzadkich wydań książek, kolekcje broni, starożytne dokumenty, monety, znalezione archeologiczne. Przez jakiś czas



Oskar Kolberg

w Unieży był eksponowany „Portret starej kobiety” Rembrandta. Wśród unikatowych pamiątek były oryginalne listy Georg Sand do Franciszka Karpińskiego, dokument cara Aleksandra i inne. Kolekcja medalionów Przybysławskiego była największą kolekcją w ówczesnej Polsce. Po śmierci ojca przesłał na starszego syna Kazimierza. Część rodowych zbiorów przekazał on galerii i muzeum Lwowa, a część wyprzedził.

Oskar Kolberg większą część czasu spędził w majątku w Czortowcu, przez pryzmę którego opisywał Pokucie, bowiem wioska na jakiś czas stała się siedzibą uczonego. Tu zebrał lwią część swoich materiałów, stąd robił wypadki na badania w terenie Pokucia i tu miał zamiar ułożyć etnograficzną mapę Czortowca.

Władysław Przybysławski niecierpliwie oczekiwał na przyjazd Kolberga, często osobiście opłacał uczonego podróż, zapewniał mu komfortowy przejazd. Za każdym razem prosił o podanie godziny przyjazdu na najbliższą stację kolejową, aby „konie w Korszowie na Kochanogo Pana już czekały, bo inaczej Pan będzie musiał całkowicie prehistorycznym sposobem, per pedes apostolorum, wędrować do Czortowca”.

Z korespondencji Przybysławskiego widać, jak zależało mu na tym, aby stworzyć Kolbergowi najlepsze warunki na Pokuciu, najbardziej zaciszne laboratorium do zbioru materiału etno-

graficznego. I Oskar Kolberg bardzo to sobie cenił, pisząc w jednym z listów: „W domu państwa Przybysławskich odnajduję staropolską gościnność, uprzejmość i nadzwyczaj wdzięczne dla swoich badań i zajęć pole”.

Ze swej strony państwo Przybysławszy wyszukiwali i zapraszali do swego domu miejscowych „informatory” i „informatorki”, którzy całymi dniami śpiewali Kolbergowi piosenki, wykrzykiwali, opowiadali legendy i bajki, dzielił się przysłowiami i zaklęciami – a on to wszystko rzetelnie notował.



HELENA Z HR. WESSŁÓW PRZYBYSŁAWSKA

Jak mieszkańcy Czortowca reagowali na takie dziwne prośby polskich właścicieli, można jedynie domyślać się. Niestety, żadne wzmianki o tym nie uchwyciły się. Jednak, najpewniej, wieśniacy niezbyt ochoczo odkrywali się przed nieznanym przyjezdnym, wątpliwe, czy mu ufali, bo dzieliły ich z

polskimi panami różnice kulturowe, językowe i socjalne.

Głównymi czortowieckimi „informatorkami”, jak wspomina Kolberg, były niejakie Ilczycka i Zofia Olejniczka. Nawet po swym wyjeździe z Czortowca uczony nie przestawał interesować się u Przybysławskiego jak się mają sprawy u jego czortowieckich „respondentek”. Na przykład pisał: „Czy Ilczycka już wstąpiła we władanie gruntami, na które pretendowała?”.

Kolberg opracowywał zebrany na Pokuciu materiał przeważnie zimą, po powrocie do domu, a w listach detalizował u Przybysławskiego niezrozumiałe fragmenty zapisków, wymowę niektórych słów, czasami prosił „dopytać”



Złoty Order Rycerski

u tej czy innej „informatorki” jakieś detale. Przybysławski ze swej strony zapisywał i wysyłał mu pocztą teksty wspomnianych Ilczyckiej i Olejniczki zanotowanych pieśni weselnych. Ze swej strony Przybysławski starał się wszelako przyspieszyć i ulżyć pracy Kolberga nad „Pokuciem” i zachęcał go, by zwracał się o pomoc: „Zresztą, jak tylko Wam będzie czegoś potrzeba – proszę pisać, a ja będę starać się w miarę sił przesać Wam wszystko, a nawet żywych Ilczycką i Olejniczkę”. Ironiczny styl był cechą charakterystyczną Przybysławskiego.

Najbardziej owocny był pobyt Kolberga na Pokuciu w 1880 roku, gdy Przybysławski, jako przewodniczący komitetu organizacyjnego Wystawy Etnograficznej w Kolomyjach, zaprosił uczonego do współpracy przy tym wydarzeniu, które zaszczylił swoją obecnością sam cesarz Franciszek Józef I. To właśnie Przybysławski powitał cesarza i miał zaszczyt oprowadzić monarchę po wystawie. Za wysoki poziom jej organizacji cesarz nagroził Przybysławskiego Złotym Orderem Rycerskim.

Materiały zebrane na tę wystawę przez Władysława Przybysławskiego, J. Hrehorowicza, Leopolda Wajgla, B. Jurczenkę i J. Nityszyna i innych działaczy bardzo przydały się Oskarowi Kolbergowi przy pisaniu „Pokucia”. Wspólne zainteresowania kulturą ludową Oskara Kolberga i Władysława Przybysławskiego, właściciela Czortowca, przerosło w serdeczną przyjaźń, ciepłą korespondencję, wzajemne wizyty i współpracę przy powstaniu „Pokucia”. Swoje dzieło Oskar Kolberg poświęcił swemu przyjacielowi – „na znak szacunku i przyjaźni”.



Widok na wieś Czortowice.

Jak Polacy Charków budowali (cz. LXVII)

Epidemie i zarazy w Charkowie oraz udział Polaków w ich przezwyciężeniu

Pojawienie w 2020 roku na terenie całego świata dotychczas nieznanego wirusa, zwanego Covid-19 (koronawirus), skłania do spojrzenia na historię dawnych epidemii, które rozpowszechniały się z zabójczą skutecznością i dziesiątkowały populację w XIX i na początku XX w. na terenie Słobodzkiej Ukrainy, ze szczególnym uwzględnieniem działalności Polaków w próbach ich przezwyciężenia.

MARIAN SKOWYRA

Wiodąc historyczny dyskurs, należy w pierwszej kolejności zauważyć, że wszelkie znane epidemie wybuchły z powodu czynnika ludzkiego, jakim było wywołujące mór zaniedbanie podstawowych zasad higieny.

Charków XIX wieku, gdy chodzi o rozpowszechnianie się zarazy i epidemii, stanowił wręcz „idealne miasto”, co wynikało z zanieczyszczenia miasta, wód w rzekach, oraz położenie Charkowa w okolicach błotnych. Dodajmy powszechną niewiedzę mieszkańców o należytych zachowaniach zasad higieny.

Jeszcze w 1815 roku profesorowie Charkowskiego Imperatorskiego Uniwersytetu zauważyli, że w mieście każdego roku występuje stosunkowo duża śmiertelność wśród przyjezdnych profesorów i wykładowców,



Aleksandrowski szpital w Charkowie

wrzucano śmieci, prano w nich bieliznę, moczono skóry i wreszcie z tych samych rzek nabierano wodę dla przygotowania żywności.

Kolejnym centrum powstania epidemii były miejscowe błota, które rozciągały się wzdłuż rzek, a wiosną i jesienią w czasie wylewu przenosiły się w stronę centrum, co jak już wspomniano – paraliżowało życie miasta, gdyż nie było możliwości

– pisał charkowski historyk D. Bahalej. Po zakończonych jarmarkach ulic nikt nie sprzątał, a pozostawione gnijące odchody zanieczyszczały powietrze, co negatywnie odbijało się na drogach oddechowych mieszkańców. W centrum miasta znajdowały się również mięsne jatki, gdzie zabijano zwierzęta, a pozostałości z tuczników wyrzucano na ulicę lub do szamb.

Brud z każdym rokiem zwiększał się również przy domach mieszczan, gdyż wszelkie odchody gromadzono w szambach, których nie poddawano oczyszczaniu. Bahalej dodawał, że najwięcej zanieczyszczeń pochodziło od ogromnej liczby świń i psów, wypełniających podwórza i ulice miasta. „Zgnilizna, przemieszawszy się latami, wydziela nieznosny smród, od którego, szczególnie w okresie błotnistym, należy zasłaniać nos, usta, a nawet oczy”. Dalej historyk zauważył, że nikt nie wywoził zanieczyszczeń z miasta i w ten sposób „cały gnój od założenia Charkowa w nim pozostaje”.

wiosną rodzina zmarłego przybywała na cmentarz, aby zabrać zmarłego na właściwe miejsce pochówku. Taki zwyczaj był praktykowany i latem, co sprawiło, że odór rozkładających się ciał, rozprzestrzenił się po mieście. W ten sposób chowano, a raczej składano szczątki zmarłych na skutek epidemii. Ciała choleryków grzebano również na zwykłych cmentarzach. W pewnym roku zauważono, że na tych mogiłach „utworzyły się ogromne zapaści, skąd wydobywały się szkodliwe opary, zdolne zarażać powietrze”.

Jeszcze jeden element wpływający na pojawianie się infekcji wynikał z dużego zagęszczenia miejscowej biedoty, mieszkającej w ciasnych, wilgotnych i słabo przewietrzanych pomieszczeniach.

Mimo że wielokrotnie próbowano naprawić niniejszy stan miasta, sami

wano na najbardziej zabrudzonych ulicach, w tym na Zanietyczyńskim kwartale i ulicy Cygańskiej. Przebieg epidemii jest znany dzięki opracowaniom D. Bahaleja, F. Renhardta oraz doktora Michała Tomaszewskiego (zm. 23.10.1898), Polaka i absolwenta miejscowego uniwersytetu, który po 1853 roku zmienił wyznanie na prawosławne. Tomaszewski na podstawie badań cerkiewnych ksiąg metrykalnych stwierdził, że pierwsze ofiary w mieście pojawiły się 23 lipca 1830 roku.

Mimo narastającej epidemii miasto podjęło z nią walkę dopiero w połowie września, kiedy to urządzono w jednym z budynków odpowiedni szpital choleryczny. Poddano również czteremastodniowej kwarantannie mieszkańców zarażonych domów, a mieszkania dezynfekowano. Na skutek epidemii cholery z 1830 roku, w



Mikolajowski szpital w Charkowie

jednak mieszkańcy z racji niskiej oświaty nie widzieli potrzeby dbania o należyłą czystość. Urzędnicy państwowi również nie zawsze rozumieli potrzeby naprawy miasta i uwolnienia go ze śmieci i brudu. Nic zatem

Charkowie zmarło od 360 do 1000 osób.

Ludność, zamiast podjąć się oczyszczenia grodu, zaczęła snuć domysły na temat winowajców epidemii. Rozpuszczano plotki o zatruciu



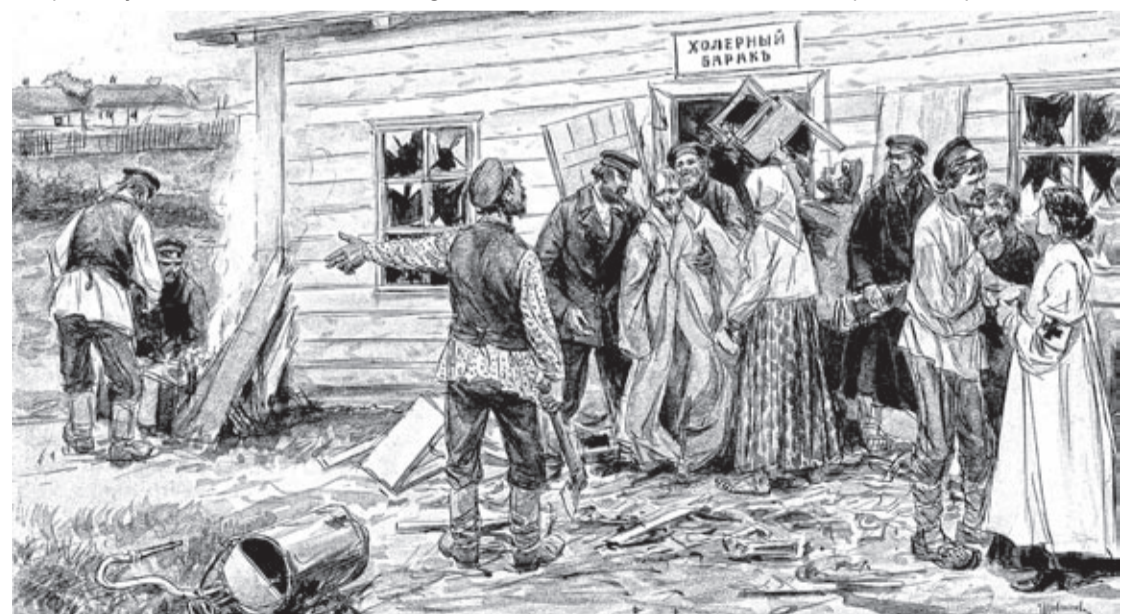
Zabijajcie muchy, one przenoszą bakterie cholery na jedzenie, napoje, z człowieka chorego na zdrowego

który prowadzili siedzący tryb życia. „Wszyscy przyjezdni w szybkim czasie tracą naturalny kolor twarzy, która pokrywa się tzw. charkowską bledością” – pisano w „Statystycznym Listku” z 1883 roku. Z tej też racji postulowano w latach 20. i 30. XIX wieku o przeniesieniu uniwersytetu z Charkowa do innego bardziej zadbanego miasta.

Dawne charkowskie zarazy i epidemie rozpowszechniały się przede wszystkim z powodu braku należytego utrzymania rzek – Łopani i Charkowa, do których wrzucano odchody i zgniliznę. Do pojawienia się wodociągów rzeki były podstawowym źródłem zapasu wody, która jednak z winy samych mieszkańców była sporadycznie zatrutowana. Do rzek

swobodnego poruszania się pieszo czy nawet konno.

Wreszcie trzęsienie źródło zachorowań wywodziło się z ogólnego stanu utrzymania miasta. Charków był znany z czterech wielkich jarmarków, na które przybywali kupcy z guberni oraz innych części Imperium Rosyjskiego. Docierali tu również Polacy z Biłgoraja. Każdy z tych jarmarków ściągał ogromną rzeszę ludzi, a „zjazdy wozami i końmi bywają tak liczne, że z trudem można pieszo się przedostać. Wozy i konie przez cały czas stoją na placach i ulicach, a od tego wszystkie ulice i place są tak zagnojone, że nawet w upalne dni od pyłu z trudem po nich można chodzić. Często brud tak się zwiększa, że staje się niemożliwym poruszanie w ekwipażach”



Przy baraku z chorymi na cholere

Jeszcze w 1803 roku zarząd lekarski zwracał uwagę na dziwny zwyczaj istniejący w Charkowie związany z pochówkiem zmarłych. Na charkowskich cmentarzach jesienią kopano duże doły, do których wkładano ciała zmarłych. Doły te nie zasypany przez całą zimę. Dopiero

dziwnego, że w takich okolicznościach niemal każdego roku miasto cierpiało od różnych epidemii i zarazy, które dziesiątkowały miejscową ludność.

Pierwsza na większą skalę epidemia cholery wybuchła w Charkowie w 1830 roku. Początki jej zaobserwo-

studni przez niewiadomych sprawców oraz pochówków żywych ludzi, na podstawie lekarskich aktów zgonu, wydanych przez doktora Brandejsa, którego postanowiono ukamienować, a zwłoki wrzucić do rzeki. Jedynie stanowcza postawa policji powstrzymała gniew ludu. Po ustaniu

Hotele okresu sowieckiego

Bolszewikom w spadku dostały się najlepsze hotele Stanisławowa – „Union”, „Warszawa”, „Centralny”. Nie było potrzeby budowania nowych, zresztą statut miasta zamkniętego temu nie sprzyjał. A jednak sfera hotelarstwa w okresie sowieckim powoli się rozwijała.

IWAN BONDAREW

Dom Kolchoźnika

Po II wojnie światowej w Stanisławie (tak przemianowały miasto nowe władze) budowano hotele robotnicze i akademiki dla pracowników miejskich przedsiębiorstw i urzędów. Ale istniała kategoria gości, dla których hotele były zbyt drogie, zaś w akademikach też miejsc nie było. Mowa tu o ludności wiejskiej, dostarczającej na rynek swoją produkcję. Musieli w końcu gdzieś przemocować.

Własne auto w tych czasach było rzadkością i większość wieśniaków do miasta przyjeżdżała furmankami. W lecie, gdy było ciepło, spali na nich. A co robić zimą? W 1954 roku gazeta „Przykarpaska Prawda” pisała, że zarząd centralnego targowiska otworzył dla tych osób dom gościnny i hotel na 50 łóżek. Całość dopełniała stajnia na 50 koni i duża przechowalnia.

Opublikowano też zdjęcie jednego z pokoi. Wyposażenie, prawdę mówiąc, spartańskie – coś pośredniego pomiędzy koszarami i szpitalem. W dalszych wiadomościach ten hotel ze stajnią dumnie nazwano „Domem Kolchoźnika”. Znany jest



Hotel „Niwa”

planowano wybudować nowy hotel koło targu, ale coś tam nie dopisało. W końcu przy ul. Uroжайnej (Urodzajnej) za dworcem wystawiono hotel „Niwa”, należący do rynku. Pracownicy zakładu wspominają, że w latach osiemdziesiątych było to ulubione miejsce przebywania mieszkańców Kaukazu, którzy przywozili mandarynki. Zatrzymywali się tu również sportowcy, przyjeżdżający do Iwano-Frankiwska na zawody.

Dzisiaj ten hotel jest w prywatnych rękach. Został gruntownie wyremont-

ne. W 1956 roku na brzegu jeziora wystawiono niewielki drewniany hotelik „Karpaty”. Jego historia jest dość interesująca i zasługuje na oddzielną opowieść. Powiem tylko, że w kolejnym dziesięcioleciu hotel stał się kawiarnią „Sadko”, a w 2017 roku zabudowę rozebrano.

Zaczynając od lat 60. Iwano-Frankiwskie staje się znaczącym centrum wewnętrznej turystyki i słusznie jest określane jako „Brama do Karpat”. W mieście powstaje Baza turystyczna „Przykarpacie”. Przewodnik z tego okresu reklamuje zakład i jego „komfortowe pokoje na 2–3 osoby. Klienci mogą zapoznać się z trasami Karpat w gabinecie turystycznym. Tutaj można też uzyskać potrzebne wskazówki. Wypoczywający mają do dyspozycji halle z telewizorami, stółkawkę, kawiarnię. Do ich dyspozycji są też boiska, kort tenisowy i pole namiotowe. Baza turystyczna może jednocześnie przyjąć 180 osób”.

To już nie „Dom Kolchoźnika”, chociaż z reklamy wynika, że w pokojach telewizorów nie było. Ale turyści nie mieli na co narzekać – do dyspozycji mieli bibliotekę, wypożyczalnię sprzętu turystycznego. Obok były dwa stadiony, wypożyczalnia łódek i plaża. „Przykarpacie” jest czynne do dzisiaj. Wprawdzie turyści, zamiast podziwiać plażę i taflę wody, oglądają teraz betonowy blok, górujący nad hotelem.

Monstrum przemysłu hotelarskiego

Hotel „Ukraina” śmiało można nazwać budową długotrwałą. Rozpoczęto ją w 1967 roku, a ukończono pod koniec 1975. Było to typowe radziec-

kie „pudełko”, ale jak pisze „Przykarpaska Prawda”: „Decyzją państwowej służby budowlanej UkrSRR, wydział iwano-frankiwskiej filii „Projektmiasto” z głównym architektem Ł. Ł. Łukomską na czele wprowadził odpowiednie zmiany w rozplanowaniu pokoi na piętrach, zaprojektowano nowe fasady, halle parteru. Pozwoliło to zwiększyć ilość miejsc w hotelu i nadać całości estetycznego wyglądu”.

Nowy zakład miał 154 pokoi jednoosobowych 117 „dwojek”, które razem mogły pomieścić 388 osób. Uważany był za największy hotel w mieście, bo poprzednie – „Kijów” i

Oprócz funkcji turystycznej hotel pełnił też funkcję lokalu administracyjnego. Umieszczono tu biura obwodowego zjednoczenia hotelowego, do którego, oprócz „Ukrainy” wchodziły inne hotele: „Kijów”, „Dniestr” i „Przykarpacie”.

Ten ostatni wybudowano pod koniec lat 60. koło lotniska i przeważnie odpoczywały tu ekipy lotników lub goście, którzy podróżowali samolotami. Dzisiaj ten hotel nosi nazwę „Banderstadt” i jest jedynym komunalnym hotelem w mieście.

Hotel „Ukraina” szczęśliwie przetrwał wszystkie zawirowania eko-



Baza turystyczna „Przykarpacie”

„Dniestr” razem wzięte – miały pokoje tylko na 330 miejsc. Na parterze „Ukrainy” działała restauracja z salą bankietową na 330 osób, bar-kawiarnia, poczta i fryzjer.

Nie ma jasności z datą otwarcia. Gazeta pisze, że budowlancy oddali

nomiki i do dzisiaj uważany jest za najlepszy hotel w mieście. Obecnie nosi wprawdzie nazwę „Nadija” (Nadzieja). Mówią, że na początku lat 90. jego właściciel Myrosław Bojko zmienił nazwę hotelu na cześć swojej żony.



Hotel „Przykarpacie”

obiekt 24 grudnia 1975 roku. W tej samej informacji jednocześnie podano, że pierwszych gości hotel przyjął już 22 grudnia. Byli to delegaci XVII Obwodowej konferencji partyjnej, z okazji inauguracji której otwarto hotel.

Dla klientów branżowych

W starej książce telefonicznej Iwano-Frankiwska przytoczono szereg miejskich hoteli. Oprócz hoteli, które należały do różnych przedsiębiorstw, wskazano również hotele, należące do różnych branż.

Była to wspomniana już „Niwa”, podporządkowana miejskiemu targowisku. Był też wojskowy hotel „Czerwona Gwiazda” (dawny „Centralny”). Był też hotel remontowo-mechanicznego zakładu przy ul. Wysoczana. Zarząd eksploatacji ropy i gazu miał swego „Naftowika”. W 1980 roku Niemcy budowali przy ul. Pasiecznej wystawili hotel „Družba”, gdzie przebywali przeważnie pracownicy „Transgazu”. W 2012 roku przebudowano go na 42-mieszkańkowy blok.

W 1980 roku przy ul. Topolnej 6 w podmiejskiej wiosce Ugorniki otwarto



Dom Kolchoźnika

jego adres: ul. Dniestrowska 13. Jednak nie trudźcie się, by go dzisiaj odszukać. Gdy w 1968 roku budowano Dom Towarowy „Przykarpacie” i przygotowywano teren pod nowy rynek, to wszystkie okoliczne małe domki znikły. Nie ocalał i „Dom Kolchoźnika”. O kolchoźnikach jednak nie zapomniano. Początkowo

towany i cieszy się popularnością wśród turystów, dzięki umiarkowanym cenom.

Z widokiem na jezioro

Gdy w latach 50. wykopano centralny miejski staw, otaczające go zabłocone pustkowia natychmiast przemieniły się w tereny rekreacyj-



Hotel „Ukraina”

hotel „Bystrzyca”, wystawiony na zamówienie Rady ogólnozwiązkowego klubu sportowego związków zawodowych.

Wszystkie te hotele należały do różnych spółek i związków i przy odrobinie szczęścia zwykły turysta

pozostawiono kilka pokoi dla przyjezdnych bonzów partyjnych. Na początku lat 70. lokatorów przeniesiono do nowych mieszkań, w willi zaś urządzono luksusowy hotel dla wyższych kierowników ogólnozwiązkowego i republikańskiego



z archiwum autora

Hotel „Družba”

mógł znaleźć tu nocleg. W mieście istniał jednak hotel, do którego zwykłego śmiertelnika by nie wpuszczono. Przed samą II wojną światową fabrykant Margoszes wybudował dla siebie elegancką willę przy obecnej ul. Szewczenki 79.

Sowieci willę znacionalizowali, a po wojnie zajęli ją na mieszkania dla partyjnych notabli. Na piętrze

poziomu, dla ministrów, pierwszych sekretarzy partii i podobnych działaczy. Wyposażenie jest odpowiednie: marmurowy hall, sala kominkowa z boazerią, unikalne żyrandole, solarium.

W 1992 roku w tym centrum partyjnym otwarto Centrum Twórczości Dzieci i Młodzieży. Dziś mieści się tu Dom Uczonych.



z archiwum Lubomyra Stasiwa

Hotel dla funkcjonariuszy partyjnych

Krzemienieckie impresje

Znowu powracamy na bezkresy pamięci niepamiętnej prawie na Wołynie niegdysiejsze nad Horynie przedwieczne lkwę niezapomnienia gdzie w Zośki Bobrówny sztambuchy Juliusz się wpisywał

śluchala ich Madonna Panna Święta Licealna póki słuchać mogła

las krzyży lasem porósł w rdzy szeleście czekają wśród zdrowasiek zielskiem wyrosłych na nikogo a macewy znów tłumne



niby Julek jeszcze wspomnień okrucem

jest miejsce było w każdym razie dawno i niedawno jak w bajce niebajce za dziesiątym Poczajowem za siedmioma Czerczami Irwa dołem płynie jej wysokość Bona strzeże dzwonów dźwięku którego już nie ma których już nie ma

kadiszce skamieniale bluszcz z powojem oplata pejsem chasydzkim ostatnim

gdzie kościół franciszkanów w cerkwi banie przebrany gdzie kasztany i jablonie przeddzisiaj zakwitłe w jarze nadzieją zielonym Krzemieniec się skrył oby na nie zawsze.

JAN SKŁODOWSKI

WŚRÓD WIELKANOCNEJ CISZY

Poświęcił Leos jajka w onlainie i zawstydzony mruknął „Nu, fajnie”. I załkał mierzwiąc włosy na głowie: „Tego nie było jeszcze we Lwowie!”

A przed nim leżał śledzik na stole i też się skarżył na swą niedolę. Wił się w cebuli i głośno wzdychał: „Noc niby wielka, a taka cicha!”

Stół po horyzont, micha za michą, niby bogato, a jednak lichota! Bo wokół tylko rodzinne łono: dzieci, teściowa i Leos z żoną.

Jeszcze rok temu szło po święconce mięsko, wędzone, zimne, gorące! Wódka, do wódki śledzik - hosanna! A dziś? Nic z tego - trwa kwarantanna!

- „Żona?” - „Broń Boże!” Boli ją głowa. Synek za mały. - „Może teściowa?” Miło odmawia knując na boku: - „Mógłby dać spokój, choć raz do roku”.

Trudno opisać jak dziś we Lwowie cierpią samotni bohaterowie! Niby zbłąkana w otchłani trzódka - sam śledź, sam Leos. I zimna wódka.

Nie będzie cioci, nie będzie szwagra, nikt na harmonii „Murki” nie zagra, ani wuj Stachu nie wpadnie z flachą ze swoją swojską pyszną kiełbachą.

Ani sąsiadka, ta z dużym biustem, dla której wszystko zwykle za tłuste, lecz ma po wódce uroczy pąsik. W dodatku lubi śledziem zakąsić!

I kuzyn Gienek, ten pies na sało, ile by nie zjadł, zawsze mu mało. A wypić może jak żaden inny, stąd jest ceniony w gronie rodzinnym.

Nie przyjdzie nawet kuzynka Danka, którą raz Leos wziął na kolanka, aż Leosiowa spuchła z zazdrości. Nikt dziś nie przyjdzie - nie będzie gości!

Popatrzył Leos w oczy śledzika. Spojrzał na niego śledź z talerzyka. I myśli ich nasza oba ta sama, że muszą razem przeżyć ten dramat.

I tak rodzinne przeszło święcone. Leon ze śledziem, a śledź z Leonem. Trwali przy sobie dzielnie do końca. Dobra rodzina. I kochająca!



Tekst: Sławomir Gosiński © Kubaert "Czwarta Rano"



Witamy w dniu urodzin naszą szanowną Panią dyrygent Marię Sołomko.

Życzymy zdrowia szczęścia, radości, pomyślności, opieki i błogosławieństwa Bożego na co dzień.

chór „Lutnia”

Lwowska restauracja „Kupol” zaprasza

Położona w samym sercu Lwowa, przy ul. Czajkowskiego 37. Wyśmienita polska kuchnia, ciepła rodzinna atmosfera, nastrojowe wnętrza i muzyka. Menu także po polsku.

„Kupol” to kameralna restauracja położona w sąsiedztwie Lwowskiej Filharmonii oraz dawnego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich oferuje szeroki wybór tradycyjnych galicyjskich dań, bogaty wachlarz

trunków, wyśmienite desery oraz legendarną lwowską kawę.

„Kupol” to miejsce, w którym goście zawsze mogą liczyć na przyjazną atmosferę i wyjątkowe przyjęcie. We wnętrzach, w których zatrzymał się czas belle epoque i przy dźwiękach nastrojowej muzyki poczują Państwo klimat wspaniałych, minionych lat – świata przedwojennej Polski.

Wszystko to stwarza wymarzone warunki do organizacji przyjęć,

bankietów, spotkań biznesowych, integracyjnych i rodzinnych, romantycznych rendez-vous, wystawnych kolacji oraz innych uroczystości.

Warto odwiedzić nas o każdej porze dnia i roku! Stąd wszędzie jest blisko, a całe miasto znajduje się na wyciągnięcie ręki. Jesteś we Lwowie – wstąp do „Kupolu”.

Kontakt: +380322614454
mail: kupollviv@ukr.net

Z wołyńskiej kolekcji Tadeusza Marcinkowskiego

O wołyńskich strzelcach w rocznicę zbrodni katyńskiej (cz. 2)

MAŁGORZATA ZIEMSKA
tekst
archiwum
Tadeusza Marcinkowskiego
zdjęcia

Związek Strzelecki
na Wołyniu

W okresie dwudziestolecia międzywojennego Związek Strzelecki był jedną z najbardziej aktywnych organizacji społecznych na Wołyniu. Swoją popularność na terenach, które jak Kosiuchówka spłynęły krwią polskiego żołnierza, na terenach, gdzie po zakończeniu działań wojennych w Osadzie Krechowieckiej, Osadzie Jazłowieckiej, Piłsudczyźnie, Bajonówce, Hallerowie, Poniatówce, Ułańskiej Doli i innych osadach wojskowych osiedli dawni legionści, zawdzięczał między innymi nawiązaniu do pięknych tradycji. Był wszak duchowym spadkobiercą idei legionowych i stanowił naturalną kontynuację ruchu strzeleckiego, legionowego i peowiackiego z lat 1908, 1914, 1918, ruchu, który doprowadził do wskrzeszenia niepodległego Państwa Polskiego. Na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej, udręczonych latami bezwzględności wynarodowienia, latami celowego eksploatacji, latami bezplanowej gospodarki i wędziania tych terenów w cywilizacyjne zacofanie, wobec powojennego chaosu i ogromu zniszczeń, wobec zamieszkiwanej tu mozaiki narodów, Związek Strzelecki pełnił ważną rolę państwowotwórczą, umacniając polskość tych ziem i ich związek z Macierzą.

Organizacyjne początki Związku Strzeleckiego na Wołyniu nie były łatwe. Pod względem zajmowanego obszaru województwo wołyńskie było drugim co do wielkości województwem II Rzeczypospolitej. Obejmowało rozległy teren, pełen żyznych pól, ale także lasów i bagien Polesia Wołyńskiego. Odległości między poszczególnymi miejscowościami były ogromne, a komunikacja między ośrodkami mocno utrudniona. Korespondent „Życia Wołynia” tak opisywał tę ciężką sytuację: „Koleje są zrujnowane i powoli odbudowują się, dróg bitych prawie nie ma lub te, co są znajdują się w oplakany stanie.” Jednostki administracyjne w nowo utworzonym województwie były bardzo rozległe, na przykład obszar zajmowany przez powiat kowelski (5,7 tys. km²) odpowiadał jednej trzeciej województwa krakowskiego i był większy niż całe województwo śląskie (4,2 tys. km²), a wiele gmin w wołyńskich powiatach zajmowało powierzchnię większą od powiatów w województwach centralnych. Zdarzało się więc, że w ramach jednego powiatu nie sposób było w jeden dzień dotrzeć z miejscowości do miejscowości. Jak w takich warunkach prowadzić działalność organizacyjną i jednocześnie pracować dla zapewnienia bytu sobie i rodzinie?!

Przy tym województwo wołyńskie charakteryzowało się dużym zróżnicowaniem narodowościowym i religijnym. Tuż po pierwszej wojnie światowej, po trwającej ponad wiek

akcji wynaradawiania, akcji niszczenia i prześladowania wszystkiego, co polskie, w tym polskiej oświaty i wiary katolickiej, po zrywach powstańczych, po konfiskatach majątków, po zsyłkach na Sybir, po przymusowej emigracji najbardziej wartościowych jednostek, wobec zakazu nabywania ziemi na Wołyniu przez katolików, Polacy stanowili niewielki procent ludności Wołynia. Byli to przede wszystkim ziemianie, którym jakimś cudem udało się utrzymać majątki, mieszczanie, oficjałsi dworzcy, pracownicy miejscowych cukrowni i częściowo drobni rolnicy. Później pojawili się osadnicy wojskowi i cywilni z centralnej Polski, liczna kadra urzędnicza, nauczyciele, pracownicy kolei, kupcy i przemysłowcy, wykwalifikowani rzemieślnicy i robotnicy. Ze wschodu napłynęła ludność z terenów, zajętych przez Związek Radziecki po traktacie ryskim. „Nie ma tu większych i żywszych, a zwartych i jednolitych skupień ludzkich – ubolewano na łamach „Strzelca” – co znacznie utrudnia wysiłki organizacyjne. Każdy niemal powiat posiada odrębne oblicze stosownie do charakteru zamieszkiwanej go ludności”.

Wołyń należał też do najbardziej zacołanych i zniszczonych przez wojnę dzielnic kraju. W okresie działań wojennych stanowił teren długotrwałych walk pozycyjnych. Wielokrotnie przemierzano go wrogie armie. Wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, zostało zgrabione. Budynek, drogi i mosty uległy zniszczeniu. Przemysł znajdował się w ruinie. Handel został rozbity. Pola, łąki, pastwiska były zorane wybuchami. Ci, których domy i gospodarstwa zostały zniszczone, żyli w prowizorycznych ziemiankach. Apropozycja



Oddział Strzelca w 1936 roku na dziedzińcu zamku w Olyce

walczących ze sobą armii pochłonęła żywy inwentarz, zapasy i ziarno pod zasiew. Ludzie głodowali. Dziesiątkowały ich epidemie. Świadomość tej trudnej sytuacji mieli pierwsi działacze strzelecki. „Trudno mówić o pracy organizacyjnej, o wychowaniu fizycznym i moralnym ludziom, niemającym częstokroć dachu nad głową, ludziom, którzy dzień i noc bez przerwy często muszą pracować, aby zrównoważyć zniszczenia dwóch wojen, aby wybudować schronisko na zimę i zapewnić so-



Ołyka. Przemawia komendant Związku Strzeleckiego Tadeusz Kotowicz-Eysmont. Obok stoi burmistrz Ołyki hr. Czerwiński

bie chleb powszedni” – relacjonował Antoni Gajl-Kot z Równego.

Mimo tak skomplikowanych warunków z inicjatywy byłych legionistów i peowiaków, przy wydatnym poparciu Straży Kresowej, na terenie Wołynia samorzutnie zaczęły powstawać pierwsze oddziały Towarzystwa Związku Strzeleckiego. By nadać im ramy organizacyjne, jesienią 1921 roku powołano do życia Okręg Strzelecki Wołyń. Zarząd Główny w Warszawie, z osób mieszkających i działających przede wszystkim w Łucku, utworzył Tymczasowym Wołyński Zarząd Okręgowy Związku Strzeleckiego. Za-

ziemianin, adwokat, wybitny działacz społeczny i polityczny, w latach trzydziestych senator III i IV kadencji. Na początku lat dwudziestych (1922–1923) komendantem okręgu był Jan Plachta, pod którego dowództwem, mimo różnorodnych trudności, okręg funkcjonował bardzo sprawnie – nie było niemal numeru związkowego pisma „Strzelec”, które by nie przynosiło informacji o nowo powstałych na Wołyniu oddziałach czy o działalności wołyńskich strzelców.

W październiku 1923 roku, by zerwać z sytuacją tymczasowości, zwołano powszechny zjazd delegatów okręgu wołyńskiego, który miał

godnie reprezentować Wołyń na odprawie komendantów w Warszawie. To właśnie Bolesław Sarankiewicz, po krótkim okresie chaosu organizacyjnego, gdy właściwie powstały trzy ośrodki pracy strzeleckiej: Łuck ze strzelcami skupionymi wokół senatora Staniewicza, Kowel, gdzie ideę strzelecką propagował Karol Wali-górski, i Zdobunów – tu silny ośrodek stanowiło środowisko kolejarzy, scalił rozproszone obwody w jeden silny okręg. Za jego komendatury Związek Strzelecki objął działalność prawie wszystkie wsie wołyńskie. Co godne podkreślenia – był pierwszą organizacją, która „docierała do zapadłych kątów Wołynia i tam niosła kulturę polską”. W 1927 roku znów nastąpiła zmiana na stanowisku komendanta okręgu. Funkcję tę objął porucznik rezerwy Józef Pałac, dawny komendant okręgu Przemyśl, który uzyskał mocne wsparcie płk. Kalabińskiego, dowódcy 24 p.p. W czerwcu 1929 roku tymczasowo zastąpił go Jan Urbaniec. Później Komendantem Podokręgu Łuck został por. Zarebski, a od 1934 roku aż do wybuchu II wojny światowej funkcję tę pełnił kpt. Józef Filar.

Krótkie notatki o działalności pierwszych strzeleckich oddziałów, które powstały między innymi w: Łucku, Kowlu, Lubomlu, Ostrogu, Horochowie czy Włodzimierzu Wołyńskim, ale także w mniejszych miejscowościach, np. w Hobocie, Zasmakach, Rożyszcach czy Łokaczach, można znaleźć na łamach lokalnej prasy lub związkowego pisma „Strzelec”. Już w marcu 1922 roku piąty numer „Strzelca” informował o założeniu w ostrogskim gimnazjum z inicjatywy strzelca Stanisława Łukomskiego pierwszego na terenie Wołynia szkolnego oddziału Związku Strzeleckiego. W jego zarządzie zasiadał dyrektor gimnazjum T. Herbach, ale znaleźli się tu również starsi gimnazjaliści, którzy – co znamienne dla Kresów – byli już dobrze zaznajomieni z wojaczką jako uczestnicy wojny polsko-bolszewickiej. Z kolei numer szesnasty informuje o ważnej uroczystości wręczenia sztandaru strzeleckiego w Łucku. W październiku 1922 roku do stolicy województwa wołyńskiego przybył naczelnik państwa Józef Piłsudski, który na dworcu został powitany przez miejscowe władze i dowódcę garnizonu oraz przez komendanta Okręgu Związku Strzeleckiego. Po dokonaniu przeglądu kompanii honorowej naczelnik państwa udał się do koszar 24 pułku piechoty, gdzie odbyło się poświęcenie i wręczenie sztandaru pułkowego. W międzyczasie formowały się już bataliony strzeleckie, w skład których weszli członkowie oddziałów z niemal całego Wołynia i tak: z obwodu łuckiego – z Łucka, Rożyszcza, Sarn, Radomyśla i Jezierzan; z obwodu horochowskiego – z Horochowa, Łokacza, Świszczowa i Bubnowa; z obwodu rówieńskiego – z Ostroga, z obwodu kowelskiego – z Kowla, Hobotu i Zasmak oraz ze wszystkich oddziałów obwodu krzemienieckiego. Utworzone bataliony, liczące około 600 strzelców, z własną orkiestrą przemarszerowały przez miasto. Pierw-

szy batalion prowadził W. Kowalski, komendant obwodu Krzemieniec, II batalion – Franciszek Nawrot, natomiast całość komendant obwodu łuckiego p. Skępiec. Po nabożeństwie w katedrze naczelnik państwa wyszedł z kościoła na plac Katedralny. Wówczas w sformowanym przez strzelców czworoboku odbyła się ceremonia poświęcenia sztandaru przez biskupa Dubowskiego. Z rąk naczelnika państwa sztandar strzelecki dla obwodu łuckiego odebrał komendant Skępiec. Uroczystość zakończyła defilada strzelców, wojska, sokołów i harcerzy. W okresie dwudziestolecia międzywojennego na ten właśnie historyczny sztandar, wręczony w 1922 roku przez marszałka Piłsudskiego, składały strzeleckie przyrzeczenie kolejne pokolenia strzelców z powiatu Łuck. W 1923 roku, a więc dwa lata od momentu rozpoczęcia działalności, Związek Strzelecki na Wołyniu liczył 30 oddziałów. Cztery lata później okręg wołyński dzielił się na pięć obwodów z 32 oddziałami (w tym w Łucku jeden oddział żeński), w których działało ponad tysiąc dwustu strzelców i strzelczyń. W 1933 roku teren Wołynia był podzielony na dziewięć obwodów z 182 oddziałami i 5587 członkami organizacji.

Od początku istnienia w pracę związku mocno angażowali się przede wszystkim urzędnicy, osadnicy wojskowi oraz nauczyciele. W przypadku łuckiego zarządu powiatu Związku Strzeleckiego byli to zwłaszcza pracownicy sądownictwa i wojskowi, na przykład na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych funkcję prezesa Zarządu pełnił mecenas Józef Kurmanowicz, jego zastępcą był kpt. Władysław Leja, w zarządzie powiatu łuckiego zasiadał także mój dziadek, sekretarz Sądu Okręgowego w Łucku, Jan Marcinkowski, a o sukcesach łuckich strzelców na łamach tygodnika „Wołyn” informował inny pracownik łuckiego sądu – Józef Pawlikowski, ojciec późniejszego pilota RAF-u i znanego aktora Mieczysława Pawlikowskiego. W innych wołyńskich zarządach powiatowych

Góry, którego wiersze ozdabiała łamy tygodnika „Wołyn” i który po latach (wówczas już mieszkaniec Wielkopolski) w swojej twórczości tak pięknie upamiętnił rodzinne strony. Z kolei w zarządzie powiatu zdołbunowskiego zasiadali: dr Kisiel, dyrektor Państwowego Gimnazjum w Zdołbunowie, i profesor tegoż gimnazjum Obst. komendantem obwodu Rówieńskiego w latach 1927–1931 był nauczyciel, pracownik Kuratorium Okręgu Wołyńskiego – Jakub Hoffman, późniejszy poseł na sejm i redaktor słynnego „Rocznika Wołyńskiego”.

Członkowie pierwszych wołyńskich zarządów Związku Strzeleckiego musieli zmierzyć się ze



Jan Marcinkowski, pracownik Sądu Okręgowego w Łucku i komendant Oddziału Związku Strzeleckiego Łuck-Zamek, aresztowany przez NKWD w grudniu 1939 r. i zamordowany wiosną 1940 roku w Kijowie. Łuck, lata trzydzieste

szczególnie trudnymi zadaniami. Brakowało finansów na działalność związkową, brakowało instruktorów do pracy organizacyjnej. Brakowało mundurów, karabinów i sprzętu. Trudno mówić o porządnym wyszkoleniu strzeleckim i odnoszeniu zwycięstw na ogólnopolskich czy narodowych zawodach Strzel-

był sporym wydatkiem, kosztował bowiem 50 złotych, a drugie 50 zł płaszcz sukieny na chłodne dni. W okresie powojennym, gdy brakowało wszystkiego i panowała drożyzna, były to niemałe koszty dla przeciętnego mieszkańca. W siedem lat od utworzenia Związku Strzeleckiego na Wołyniu zaledwie 40% strzelców miało przepisowe mundury, za to aż 90% posiadało słynne maciejówki. Prócz tego na Wołyniu panował analfabetyzm. Niejednokrotnie referenci kulturalno-oświatowi na elementarzu Mariana Falskiego zaczęli pracę ze strzelcami od nauki czytania i pisania.

Wiele też zależało od osobistych pasji i zainteresowań pierwszych działaczy strzeleckich. Pomysły były niekiedy nader oryginalne, na przykład w Łucku przystąpiono do organizowania pierwszych oddziałów marynarskich (męskiego i żeńskiego). Ćwiczenia rekrutów odbywały się na Styrcu pod komendą zdemobilizowanego oficera marynarki, a specjalne łodzie do ćwiczeń sprowadzono aż z Warszawy. Strzelców i strzelczynie do tych ćwiczeń obowiązywał uniform marynarski. Musiało to wszystko wyglądać nader malowniczo i aż żal, że nie zachowały się z tego okresu żadne zdjęcia. Z kolei utworzony w sierpniu 1922 roku męski oddział w Tucznynie w powiecie rówieńskim zaczął swoją działalność od wystawiania sztuk w języku polskim.

Początkowo strzelcy – entuzjaci słowa polskiego grali do pustych krzeseł, stopniowo jednak „społeczność, poruszone bezinteresowną pracą członków oddziału, których nie zrażały niepowodzenia, zaczęło patrzeć na pracę związku przychylniej”. W ciągu roku szybko wzrosła liczba członków. Wydzierżawiono nawet lokal dla teatru dramatycznego. Założono strzelecką świetlicę i czytelnię. Prowadzono ćwiczenia wojskowe. Zebrała się drużyna do gry w piłkę nożną. Zaczęto uprawiać lekką atletykę. Z kolei dzięki organizacyjnym talentom Tadeusza Eysmont-Kotowicza, udało się zakupić dla ołyckiego oddziału osiem kompletnych mundurów strzeleckich i osiemnaście maciejówek. Ołyccy strzelcy z inspiracji prezesa przygotowali i odegrali z werwą sztukę „Jak kapral Szczapa wykiwał śmierć”. Cały dochód z występu przeznaczono właśnie na umundurowanie oddziału, który od tej pory pod dowództwem komendanta Jana Puchalskiego pięknie prezentował się w ołyckiej katedrze na cotygodniowej niedzielnej mszy św. o godz. 11.00.

W drugiej połowie lat dwudziestych w pracę Związku Strzeleckiego na Wołyniu aktywnie włączyły się kobiety. W Łucku w 1927 roku, co w skali kraju było ewenementem, działał oddział żeński, „dając chlubne świadectwo odwadze i dzielności kresowych niewiast”. Dowodziła nim Helena Małecka, która pełniła również funkcję komendantki Okręgu Wołyńskiego Związku Strzeleckiego. To postać na tyle ciekawa, że warto jej poświęcić choć kilka słów. Zaradna, wysportowana, obdarzona charyzmą i urokiem osobistym działaczka z Wołynia została wyznaczona przez Komendę Główną w Warszawie na komendantkę pierwszego obozu sportowego dla kobiet w Grzędzicach na Grodzieńszczyż-

nie. Brały w nim udział strzelczynie z całej Polski; z Warszawy, Krakowa, Katowic, Kielc, Lwowa, Lublina, Torunia, Przemysła czy Łodzi, a przewodziła im właśnie wołynianka. Funkcja komendantki na tak ważnej ogólnopolskiej imprezie była dowodem ogromnego uznania i zaufania ze strony dowództwa organizacji. Prowadziła też ogólnopolskie kursy dla komendantek. Zakładała nowe oddziały strzelczyń w okręgu wołyńskim. To dzięki jej inicjatywie w 1928 roku na Wołyniu działało już 17 oddziałów żeńskich, dla których instruktorki i pomocniczki instruktorek szkolono na dwóch kursach: w Łucku i Kostopolu. Sama organiza-

na kurs, trzeba było przenocować i nakarmić. Tu naprawdę wiele zależało od talentów organizacyjnych Heleny Małeckiej. W końcu, gdy przybyły wszystkie uczestniczki, praca na kursie mogła się rozpocząć. Pod okiem warszawskiego instruktora dziewczyny ćwiczyły gry sportowe i lekką atletykę, „aż kosteczki trzeszczały przy zaprawach treningowych”, a i tak gość z Warszawy wyjechał niezadowolony, że „w całym Łucku nie ma koszy” do gry w koszykówkę, czemu niestety dał wyraz na łamach „Strzelca”. W trakcie prowadzonych kursów Helena Małecka potrafiła odkrywać wśród podopiecznych prawdziwe talenty, potrafiła zachęcać do dalszego



Komendant Oddziału Z. S. Łuck-Zamek Jan Marcinkowski wraz z rodziną na przystani w Łucku

cja kursu nie była łatwym zadaniem. Ileż trzeba było starań, ileż zabiegów, by nie doszło do kompromitacji okręgu wołyńskiego przed warszawską Komendą Główną, gdy w 1929 roku na kursy z Warszawy wysłano surowego i wymagającego instruktora Urbaniaka. Oto zamiast przewidzianych trzydziestu słuchaczek z Łucka zgłosiło się zaledwie siedem, z kolei strzelczynie z ogromnego terenu województwa wołyńskiego zjeżdżały bez mała przez tydzień i, zważywszy na trudności komunikacyjne spowodowane pogodą i miejscowymi warunkami, nie można było mieć do nich pretensji. Helena Małecka wspomina: „Martwię się, czekam, wychodzimy na dworzec kolejowy na każdy prawie pociąg...”. Kolejne zmęczone podróżniczki przybywały po jednej. Strzelczynie, oczekujące

działania – to właśnie z jej inspiracji komendantka oddziału w Kostopolu w dwa dni po zakończonych zajęciach stanęła do strzeleckich zawodów w Równem i zdobyła strzeleckie mistrzostwo 13 Dywizji Piechoty. Zresztą Komendantka okręgu wołyńskiego sama z powodzeniem stawiała w strzeleckie szranki. Na zjeździe komendantów w Warszawie w 1928 roku w strzelaniu okazała się najlepsza wśród Komendantek z całej Polski. Helena Małecka była także korespondentką „Strzelca”. Jej pełne ciepłych słów artykuły często gościły na łamach związkowego pisma. Żal, że 1 października 1929 roku Helena Małecka przestała pełnić funkcję komendantki podokręgu Łuck. W ciągu kilku lat wytrwałej pracy potrafiła dokonać naprawdę wiele.

(cdn.)



Na przystani w Łucku siedzą od prawej: Jan Marcinkowski, jego syn Tadeusz, żona Olimpia i córka Leokadia, siostra Jadwiga Malesza, siostra Helena Zaremba oraz siostra Janina Porębska z synem Zbyszkim. Stoi Adam Porębski. W kajaku szwagier Jan z synem Zdzisławem oraz szwagier Józef z synem Jerzym



Jan Marcinkowski prowadzi swój Oddział Związku Strzeleckiego Łuck-Zamek ulicą Jagiellońską

często dominowali nauczyciele, np. prezesem zarządu powiatu kowelskiego Związku Strzeleckiego był Inspektor Szkolny Stanisław Panek, a w Zarządzie znaleźli się też – pracownik kuratorium Stanisław Wąsik oraz kierownicy miejscowych szkół: Stanisław Bara, Józef Woś i Feliks Nowosielski, z kolei w Zarządzie Organizacyjnym Tygodnia Związku Strzeleckiego widnieje nazwisko dyrektora kowelskiego gimnazjum, znakomitego polonisty Edwarda

kich, jeśli w 1928 roku, a zatem kilka lat od rozpoczęcia działalności w rękach wołyńskich strzelców znajdowały się zaledwie 42 karabinki małokalibrowych, a do ich zdobycia przyczynili się głównie doskonali sportowcy, uczestnicy ogólnopolskich marszów czy zawodów lekkoatletycznych, gdzie fundowano broń jako nagrody. Nawet przy urzędniczej pensji nie każdego było stać na kupno munduru. Kompletny mundur ze spodniami i odznaką strzelecką

Legendy starego Stanisławowa (cz. 34)

IWAN BONDAREW

Śmierć na kołach

Codziennie nasz dworzec kolejowy przyjmuje dziesiątki, jeśli nie setki pociągów towarowych. Przewożą różnorodne towary o różnej wartości. Pewnego dnia przyjechał do miasta pociąg, którego ładunek kosztował życie tysięcy mieszkańców Stanisławowa.

Jesienią 1918 roku do miasta wjechał pociąg z żołnierzami powracającymi z frontu – akurat zakończyła się I wojna światowa. Gdy kolejarze otworzyli wagony, zobaczyli setki martwych ciał, przemieszanych z ludźmi jeszcze żyjącymi. Tych natychmiast przewieziono do szpitala, ale wielu z nich już nic nie mogło pomóc. Zachorowali na „hiszpankę”, którą wówczas nazywano „płucną dżumą”. W krótkim czasie choroba wyrwała się poza lecznicę i zaczęła zbierać swoje krwawe żniwo pośród mieszkańców miasta. Według skromnych szacunków na „hiszpankę” zmarło wówczas w Stanisławowie około trzech tysięcy mieszkańców.

Płaszcz dla księcia

Pośród licznych przedstawicieli rodziny Habsburgów był niejaki książę (lub jak go wówczas nazywano – arcyksiążę) Wilhelm Habsburg, bardziej znany jako Wasyl Wyszywany. W marcu 1918 roku dowództwo austriackie deleguje Wilhelma na dowódcę Strzelców Siczowych. Obcując z Ukraińcami



Dworzec kolejowy w Stanisławowie

tak upodobał sobie ukraińską kulturę i historię, że chodził w haftowanej koszuli i przyjął pseudonim Wyszywany. W czasie wojny polsko-ukraińskiej stanął po stronie ZURL i w listopadzie 1918 roku na dwa dni zawitał do Stanisławowa.

Świadkowie wspominają, że był bardzo skromną osobą i chodził w starym wytartym płaszczu. Urzędnikom Sekretariatu wojskowego było nawet jakoś nieswojo pojawiać się przy nim w miejscach publicznych. Najprościej byłoby zdjąć miarkę z arcyksięcia i uszyć mu nowy płaszcz, ale dumny potomek cesarzy austriackich nie zgodził się, by mierzono go wzdłuż i wszerz. Wówczas oficerowie UAG udali się do podstępny. Podczas zwiedzania wojskowej szwalni, poproszono arcyksięcia o zdjęcie płaszcza, aby nie pobrudził go podczas przegładu hał. Wówczas ze starego płaszcza zdjęto dokładną miarkę. Następnego dnia w siedzibie Sekretariatu uroczystie wręczono Wilhelmowi Wyszywanemu nowy płaszcz wojskowy, który pasował jak ulał.



Arcyksiążę Wilhelm Habsburg

Arcyksiążę był bardzo zadowolony i nawet pisemnie podziękował krawcom. Ci umieścili podziękowanie w ramce i powiesili w szwalni, która znajdowała się koło więzienia „Dąbrowa”.

Casting na służbę państwową

Jesli Rosja ma dwa odwieczne problemy – głupcy i drogi, to w dzisiejszej Ukrainie najbardziej aktualną jest korupcja. Usiłuje się ją zwalczać, są nawet pewne sukcesy, ale do ostatecznego zwycięstwa jeszcze daleko.

Interesujące są analogie historyczne, obrazujące sposoby oczyszczania władzy przed 100 laty. W okresie walk wyzwolńczych działacze Naddnieprowskiej Ukrainy podziwiali względny porządek panujący w Galicji. Jeżeli w URL panował chaos

I to przy tym, że kraj uważany był za wielonarodowy, mieszkali tu bowiem Polacy, Żydzi, Niemcy i inne narodowości. Ale nikogo to nie obchodziło: nie znasz ukraińskiego – nie pchaj się do władzy!

Oprócz tego kandydat na posadę powinien być „kamego zachowania i nie przekroczyć 40. roku życia”. Wprawdzie wiekowych ograniczeń nie stosowano do urzędników, którzy już byli na posadach.

W żadnym razie na służbę nie przyjmowano osądzonych „za przestępstwa kryminalne, występki przeciwko porządkowi publicznemu, moralności czy przyjmowaniu korzyści pieniężnych, osoby niezdolne do podejmowania decyzji, niewypłacalnych dłużników przeciwko którym otwarto sprawę sądową czy osoby, które swoim zachowaniem wywołują publiczne zgorszenie”.

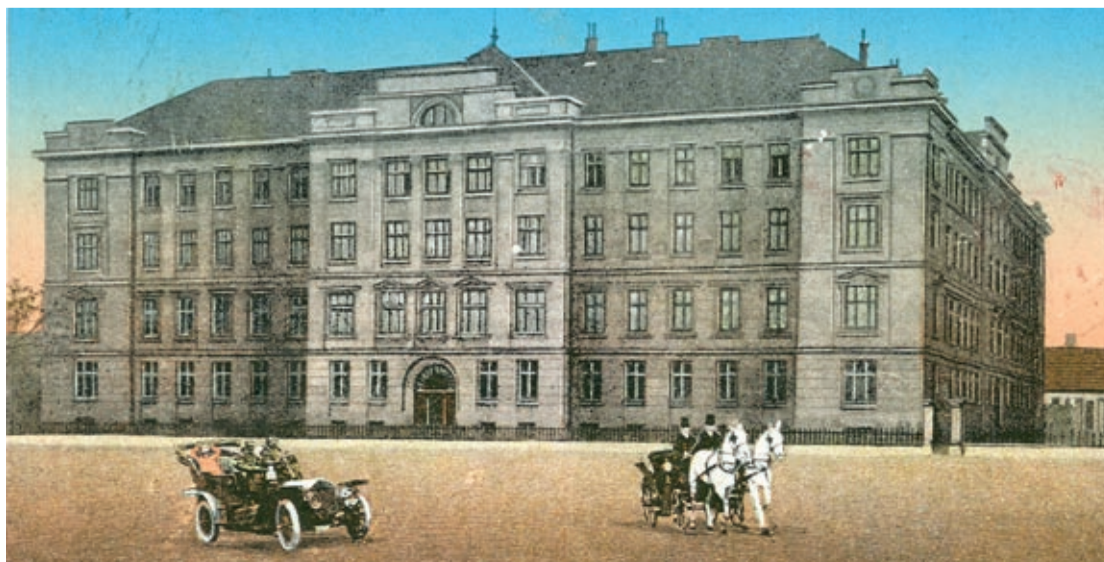


Polskie regularne wojska wchodzą do Stanisławowa w maju 1919 roku

Starano się wykluczyć też nepotyzm. „Pomiędzy kierownikiem i podległym na służbie państwowej nie może występować stosunek rodzinny, w linii prostej lub pobocznej do drugiego pokolenia”.

Nawet po przyjęciu na służbę nie miało się żadnych gwarancji, że z niej się nie „wyleci”. Po rocznym stażu urzędnik składał egzamin kwalifikacyjny. Dwa nieudane podejścia – i „auf Wiedersehen”!

Należy podkreślić, że wszystkie te warunki określił Państwowy sekretariat (czyli ministerstwo) spraw wewnętrznych w marcu 1919 roku. Rząd ZURL prezydował wówczas w Stanisławowie i mieścił się w siedzi-



Budynek, gdzie rezydował rząd ZURL



Żołnierze Polskiej Organizacji Wojskowej

bie dzisiejszego Pałacu Sprawiedliwości przy ul. Grunwaldzkiej.

Alarm

W czasie wydarzeń rewolucyjnych ludzie są zbyt łatwowierni i szybko ulegają różnym plotkom i słuchom.

Ich regularne wojska znajdowały się jeszcze daleko, natomiast obok miasta przechodziły liczne oddziały UAG. Gdyby któryś wstąpił do Stanisławowa, po POW niewiele by zostało.

27 maja do sztabu powstańców wpadł oficer na spienionym koniu. Ledwo złapawszy oddech, wykrzyknął, że od strony Pawłówki na miasto pod osłoną kawalerii idą oddziały piechoty. Ten kierunek osłaniał słaby oddział POW, skąd właśnie przybył goniec. Deblessem zareagował natychmiast. Wszyscy, którzy znajdowali się w sztabie, załadowali się na dwa auta i z kulomiotami ruszyli w stronę Pawłówki.

Ich pociąg odjechał z koszar na ul. 3 maja (ob. Hruszewskiego) nie został niezauważony. Miasto obiegły plotki, że kierownictwo uciekło z miasta i Stanisławów za chwilę zajmą Ukraińcy. Najbardziej nerwowi zaczęli pakować tobołki.

Gdy Deblessem wpadł na reduktę, tamtejsi żołnierze zachowywali się jakoś niepewnie. Okazuje się, że za ukraińską kawalerię przyjęli stado krów, które pędzili pasterze na koniach, a „strzelecką piechotą” byli zwykli chłopcy, którzy wracali z pola.

Od Maczka do Maczka

25 maja 1919 roku POW wznieciła powstanie w Stanisławowie. Sytuacja nie sprzyjała Ukraińcom: front został przerwany i rząd ZURL opuścił miasto. Po dwóch dniach od strony Kałusza patrol POW napotkał wywiadowców dywizji gen. Aleksandrowicza. Dowodził nimi młody kapitan Stanisław Maczek, który autem wjechał do miasta. Byli to pierwsi żołnierze młodego regularnego Wojska Polskiego, którzy znaleźli się w mieście.

Okres II Rzeczypospolitej trwał w Stanisławowie ponad dwadzieścia lat. Potem wybuchła II wojna światowa i Rzeczypospolita znikła w jej ogniu. Przez prawie trzy tygodnie Polacy walczyli z Niemcami, aż do 17 września, gdy w ich plecy uderzyła Armia Czerwona. Jasne było, że to koniec i wódz Rydz-Śmigły dał rozkaz opuszczenia kraju. Ostatnią polską regularną jednostką, przechodzącą przez Stanisławów była 10 zmotoryzowana brygada kawalerii. Z kawalerii pozostała jedynie nazwa – brygada uzbrojona była w tankietki i motocykle. O ironio losu – dowodził nią ten sam Stanisław Maczek, ale już w stopniu pułkownika. Wraz z nim rozpoczął się i zakończył okres II Rzeczypospolitej w Stanisławowie.

Kamienni świadkowie dawnych epidemii

„Dzumne krzyże”, które do dziś można zobaczyć gdzieś na Ukrainie, są dość interesującymi i rzadkimi świadectwami dawnych epidemii. Ustawiano je przeważnie w miejscach pochówku ofiar pomoru.

DMYTRO POLUCHOWYCZ
tekst i zdjęcia

Do XVIII wieku na pochówkach ofiar z prostego ludu ustawiano zazwyczaj proste krzyże dębowe. Kamienne były przeznaczone dla szlachty i magnatów. Z tego powodu chrześcijańskich nagrobków na dawnych wiejskich cmentarzach praktycznie nie spotkamy, najstarsze pochodzą przeważnie z początku XIX wieku. Szacownych nieboszczyków, na pochówkach których wystawiano kamienne nagrobki, tradycyjnie grzebano koło świątyni. Swoją rolę odegrała tu również antyreligijna polityka komunistów – gdy rujnowali świątynie, niszczone również położone obok pochówki.

„Dzumne krzyże” stoją przeważnie osobno, bo pochówki ofiar pomorów lokalizowano poza granicami

figurami i płaskorzeźbami – dlatego tak długo trwały przy niej prace. Podobne kolumny można spotkać również w Polsce, m. in. w miejscowości Kłodzko. Słup ten wzniesiono w 1680 roku z inicjatywy miejskiego magistratu i miejscowego klasztoru jezuitów.

Rzecz jasna, że na wsiach ludzie nie mogli sobie pozwolić na wystawianie takich kolumn. Ograniczano się więc prostymi kamiennymi krzyżami. Pomimo wiary, że zniszczenie takich zabytków może spowodować nieszczęście na całą wioskę, niewiele z nich dotwało do naszych dni. Postarali się już o to komсомолcy w latach 30–70. ubiegłego wieku. Wobec tego każdy taki krzyż jest zabytkiem.

W tych warunkach „dzumne krzyże” we wioskach Kamionka i Spasiwka na przedmieściach Satanowa są unikalne podwójnie – tu w dolinie



Anatolij Sereda koło „dzumnego krzyża” z 1770 r. na grobie Kołodziejskiego

ła nazwę Wójtowina, gdyż dano ją na własność wójtom Satanowa (dochód z niej był płacą za pełnienie urzędu).

Jeden z takich krzyży w Kamionce stoi tuż przy opuszczonej chacie, której gospodyni zmarła przed kilku laty. Na tym krzyżu, wykonanym według kanonów katolickich widnieje napis po polsku, że pochowano tu niejakiego Kołodziejskiego, który zmarł w 1770 roku. Nieboszczyk był prawdopodobnie członkiem satanowskiego cechu kołodziejów – mistrzów wyrabiających koła do wozów. Ów Kołodziejski zmarł podczas epidemii dżumy z lat 1770–1771 – jednej z największych epidemii we Wschodniej Europie XVIII wieku. Wówczas mór doszedł nawet do Moskwy, gdzie wywołał słynny „dzumny bunt”. Dżumę na Podole i Ziemię Kijowską zawlekli podczas kolejnej wojny rosyjsko-tureckiej (1768–1774) z Moldawii i Wołochii rosyjscy żołnierze. Tam zaraza dotarła z Konstantynopola i wywołali ją janczarzy.

Inny krzyż stoi prawie w geograficznym centrum Kamionki na działce jednego z mieszkańców. Mogiła jest uporządkowana, krzyż pobielony i wokół zasadzono kwiaty. Data na krzyżu oznaczona jest według kalendarza cerkiewno-słowiańskiego: „az-psi-on-as”, czyli rok 1771. W napisie odczy-

tać można również: „septembria dnia L”, czyli 30 września. Całość napisu jest zatarta, ale można jeszcze odcyfrować: „tu spoczywają ciała Sług Bożych... Wasyla i Agafii...”.

Kolejny krzyż znajduje się na przeciwległym brzegu Szmajówki, o jakieś 200 m w linii prostej. Jest to już teren wioski Spasiwka. Na nieszczę-

znów rok 1770. Reszta szczegółów pokryta została grubą warstwą wapna.

Według historyka Pawła Nieczytają: „Kamienne krzyże z okolic Satanowa, są niewątpliwie zabytkami unikalnymi. Między innymi autor fundamentalnego dzieła „Zabytki historyczne Podola” Wiktor Guldman na początku XX wieku naliczył w całej guberni Podolskiej (teren obecnych obw. chmielnickiego i winnickiego) jedynie 35 kamiennych krzyży, pochodzących z XV–XVIII wieków. Proszę zauważyć, że było to przed ateistycznym pogromem. Reszta kamiennych krzyży, które nie są nagrobkami cmentarnymi i doszła do naszych czasów, pochodzi z XIX wieku. Otóż krzyże z Kamionki i Spasiwki są ciekawe jako obiekty rzeźby ludowej, jako krajobrazowe, religijne i epigraficzne zabytki. W obw. chmielnickim pozostało takich jednostki.

O skali epidemii na tych terenach świadczy zapis w kronice satanowskiego klasztoru, dokonany



Kolumna w Kłodzku

cmentarzy i dziedzińców świątyni. W tamtych czasach ofiary grzebano zazwyczaj obok chaty, aby zaraza nie rozchodziła się po wsi. Zdarzały się wypadki palenia chat razem ze zmarłymi wewnątrz członkami rodziny. Dopiero później na tym miejscu ustawiano krzyż. Niezależnie od pozycji zmarłego, „dzumne krzyże” ciosano z kamienia. Bo oprócz symbolicznego chrześcijańskiego nagrobka pełniły one rolę ochronną – „zamykały” epidemii i miały ochronić przed ponownym przyjściem zarazy morowej. Taką była ogólnoeuropejska praktyka.

W tym też celu, w XVII–XVIII wiekach w wielu miastach europejskich wystawiano również tzw. „dzumne słupy”. Takie kolumny o charakterystycznej ornamentyce, spotkać można i dziś w wielu miastach. Pośród pierwszych takich słupów jest kolumna, wystawiona z okazji wyzwolenia Monachium od Szwedów i zakończenia tam epidemii dżumy w 1638 roku. Największy natomiast słup – kolumna św. Trójcy – stoi do dziś w czeskim mieście Olomuniec. Wystawiono ją w latach 1716–1754 jako znak dziękczynienia za przerwanie największej na Morawach epidemii dżumy w latach 1714–1716. 35-metrowa kolumna jest tak potężna, że w jej dolnej kondygnacji umieszczono nawet niewielką kaplicę. Zabytek jest bogato dekorowany rozmaitymi

rzezi Szmajówki (lub inaczej Szondrowa) w obejściach miejscowych mieszkańców zachowały się aż trzy takie krzyże. Pokazał mi je miejscowy nauczyciel historii i wspomniał krajoznawca Anatolij Sereda.

Trudno dziś określić, gdzie która wioska zaczyna się i gdzie się kończy. Orientują się w tym tylko sami mieszkańcy. Dawniej Kamionka nosi-



Krzyż na grobie rodziny, zmarłej na dżumę w 1771 roku. W oddali widać Satanów, jarem płynię rzeczka Szmajówka, dopływ Zbrucz. Strzałka wskazuje kolejny krzyż we wsi Spasiwka



Krzyż w Spasiwce. Dobrze jest widoczne, że to pochówek katolicki. Niestety epitafium nieczytelne

ście właściciele tereny „przedobrzyli” z opieką nad zabytkiem i dziś można jedynie stwierdzić, że napis wykonano po polsku, a data pochówku – to

przez przeora Modesta Silnickiego. Mowa tam między innymi, że na dżumę w 1770 roku zmarło 6 braci i 150 mieszkańców ziem należących do klasztoru. Klasztor leży o blisko 3 km od opisanych powyżej krzyży.

Opowiadając o epidemii dżumy w latach 1770–1771 warto wspomnieć przykrą historię, którą przytrafiła się w sąsiednim z Satanowem miasteczku Jarmolińce. Ofiarą oszalałego tłumu został tam Józef Maronita, który kilka lat wcześniej przyjechał na Podole z Turcji (w tych latach była ona zupełnie blisko – za Dniestrem). Sądząc z nazwiska był to Arab-chrześcijanin. Ciemny lud wymyślił sobie, że to on „nacczarował” mór na wioskę. Ponadto był on wziętym lekarzem, który stale warzył jakieś napary z ziół. Nieszczęsnego eskulapa spalono, zanurzony go najpierw w beczce z gorącą smołą.

Niestety, wspomniane krzyże nie mogą być obiektami turystycznymi, bo stoją na terenach prywatnych i nawet trafić do nich bez miejscowego przewodnika jest trudno.

„Przekrój” przed 50 laty

W czasie kwarantanny dostęp do zasobów bibliotecznych niestety jest niemożliwy. Wobec tego proponuję naszym Czytelnikom przejrzeć karty tak popularnego w ZSRR pisma, jakim był krakowski „Przekrój”. Jak by nie było Kraków to też dawna Galicja. Na szczęście znalazłem rocznik 1970 u siebie w piwnicy i z niego czerpałem artykuły.

opracował
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
ilustracje „Przekrój”

W numerze z 19 kwietnia z okazji zbliżającej się 100 rocznicy urodzin wodza światowego proletariatu Włodzimierza Llicza Lenina, wiele miejsca poświęcono tej tematyce. Przedstawiono zakłady produkcyjne w Polsce noszące imię wielkiego Lenina – stoczni w Gdańsku, huty w Nowej Hucie i kopalni na Śląsku. Przedstawiono projekty pomnika Lenina przygotowane na konkurs mające stanąć w Nowej Hucie. Z okazji tego jubileuszu podczas wielkiej fety w Moskwie pierwszy sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Władysław Gomułka został nagrodzony Orderem Lenina (właśnie obchodził swoje 65-lecie).

Jednak najważniejszą wiadomością, przykuwająca uwagę milionów mieszkańców Ziemi, była tragedia załogi lotu na księżyc Apollo 13.

Już po zamknięciu numeru, w ostatniej chwili przychodzi nam zmieniła nieoczekiwanie tekst informacji o trzeciej amerykańskiej wyprawie księżycowej. Poważna awaria na pokładzie statku Apollo 13 zmusiła do zawrócenia go z powrotem ku Ziemi.

Kiedy piszemy te słowa cały świat głęboko przeżywa dramatyczne wydarzenia, które rozgrywają się w odległości 300 tysięcy kilometrów od naszej planety. Trwają wysiłki by przy użyciu silnika i urządzeń kabiny księżycowej LM zapewnić powrót kosmonautów na Ziemię. Szanse takiego powrotu w momencie oddawania numeru do druku zdaniem specjalistów istnieją, ale sytuacja jest bardzo poważna.

Myśli milionów ludzi zwróciły się ku trzem odważnym kosmonautom, którzy, jak wielu przed nimi (i jak to uczyni wielu po nich) podjęli ryzyko nieodłącznie związane z postępami człowieka w opanowywaniu otaczającej go przestrzeni. Pomyślny przebieg poprzednich lotów sprawił, że o tym ryzyku zaczęliśmy zapominać. Ale ono istnieje...

W następnym numerze – już 26 kwietnia – zamieszczono więcej informacji:
Odyseja 1970

Odkrywczy i podróżnicy dawnych lat byli samotni. O ich trudach i cierpieniach, zwątpieniach i lękach dowiadawali się ludzie dopiero po miesiącach i latach. A czasem nie dowiadawali się nikt – przepadali na zawsze bez śladu na morzach, bezludnych pustyniach. pochłaniała ich dżungla.

Odyseję Lovella, Haisego i Swigerta śledziły z zapartym tchem miliony ludzi, setki milionów. Można było słyszeć ich głosy, przekazywać im rozkazy i wskazówki.



Astronauta Lovell, Swigert i Haise przed startem na wyprawę Apollo 13

Tak to przeżywalimy na Ziemi, kiedy trzech kosmonautów, pozbawieni nawet ciężaru własnego ciała pędzili przez kosmiczną pustkę. A oni? Kiedy oglądaliśmy ich na ekranach telewizorów jak wydobywają się z otwartego luku kabiny, jak wędrują w górę na helikopter, awionetki w koszu na linie, a potem jak schodzą po kolei z helikoptera na pokład lotniskowca – wyglądali zwyczajnie.

Dla pamięci odnotujmy: Statek Apollo 13, który wystartował do trzeciej z kolei amerykańskiej wyprawy kosmicznej odbywał lot planowo, aż do momentu kiedy w odległości 324 tysiące kilometrów od Ziemi coś się na jego pokładzie wydarzyło. Co – tego ciągle dokładnie nie wiemy, może uderzył weń meteor? W każdym razie nastąpiło rozerwanie zbiornika z tlenem i w rezultacie zaczęły zawodzić rozmaite urządzenia o życiowym znaczeniu, zasilane ze źródeł prądu, które przestały teraz działać. Ale na szczęście działały urządzenia członu LM, który miał lądować na Księżycu. Dzięki temu możliwe stało się skierowanie Apolla 13 na nowy tor w stronę Ziemi i przeżycie trzech kosmonautów – choć w zimnie, ciemności i ciasnocie – do momentu osiągnięcia Ziemi.

17 kwietnia o godz. 19:09 naszego czasu kabina z trójką kosmonautów wodowała pomyślnie na Oceanie Spokojnym.

Oprócz wielu interesujących materiałów udzielano też miejsce najnowszym osiągnięciom nauki.

Spadkobiercy Geista

W laboratoriach radzieckich i amerykańskich trwają prace, które mogą doprowadzić do wytworzenia metalicznego wodoru! Badania te opierają się na myśli podobnej do tej, jaką wykladał Wokulskiemu w Paryżu tajemniczy uczonec, dr Geist. Jak każdy czytelnik „Lalki” pamięta, zmieniał on strukturę ciał, m.in. przez poddawanie ich niezwykłym ciśnieniom.



Rubryka „Demokrat. Savoir-Vivre”

Marzeniem Geista – i Wokulskiego – było stworzenie metalu lżejszego od powietrza.

Fizyka wysokich ciśnień poczyniła ostatnio wielkie postępy. W laboratoriach uzyskuje się olbrzymie ciśnienia zbliżające się już do tych, jakie panują we wnętrzu ciał niebieskich. W jądrze naszej Ziemi np. panuje ciśnienie ok. 3 milionów atmosfer. W takich warunkach ulega mało jeszcze zbadanym zmianom wewnętrzna struktura pierwiastków chemicznych i przybierają one postać i własności inne niż w warunkach normalnego ciśnienia atmosferycznego.

Uzyskiwanie superwysokich ciśnień w laboratoriach następuje wielkie trudności. Materiały, z których wykonuje się „pompy” czy „prasy” wytwarzające takie ciśnienia muszą posiadać niezwykle odporność. Dziś jednak istnieją już urządzenia, z pomocą których produkuje się np. z grafitu – diamenty na skalę techniczną.

Marzeniem fizyków zajmujących się problematyką zagęszczania ciał „metodą Geista” jest uzyskanie metalicznego wodoru. Sądzą oni, że do uzyskania go potrzebne byłoby ciśnienie rzędu 800 000 do 2,5 miliona atmosfer. Metaliczny wodór byłby materiałem o niezwykle cennych właściwościach. Uczeń sądzi, że miałby on twardość stali, ale byłby od niej 8 razy lżejszy. Metaliczny wodór wykazywałby także właściwość nadprzewodnictwa elektrycznego (tzn. nie stawiałby żadnego oporu elektrycznego) w temperaturze pokojowej, a nie tylko w temperaturze bliskiej zera bezwzględnej (minus 273°C), w jakiej właściwość ta jest obserwowana w laboratoriach niskich temperatur.

Myśli się także o zastosowaniu metalicznego wodoru jako paliwa dla rakiet kosmicznych, zamiast wodoru ciekłego, którego utrzymywanie w niskiej temperaturze stwarza trudne problemy techniczne.

Fizycy nie są jednak w stanie odpowiedzieć z całą pewnością na zasadnicze pytanie: jak zachowałby się uzyskany drogą ciśnieniową metaliczny wodór po przeniesieniu go w normalne warunki? Czy pozostałby metalem, czy też po prostu by – wyparował...

Fizycy nie są jednak w stanie odpowiedzieć z całą pewnością na zasadnicze pytanie: jak zachowałby się uzyskany drogą ciśnieniową metaliczny wodór po przeniesieniu go w normalne warunki? Czy pozostałby metalem, czy też po prostu by – wyparował...

W rubryce „Demokratyczny Savoir-Vivre” jej autor Jan Kamyczek dawał porady jak zachować się w różnych sytuacjach życiowych: G. S. „Czy w samochodzie własnym, na miejscu przy kierowcy-mężu powinna siedzieć żona, czy gość. Założyliśmy się. Bo mąż, jeśli zabiera kogoś z gości, każe mi siadać z tyłu. Czy to jest właściwe?”

– Nie da się jednym zdaniem tej kwestii rozstrzygnąć. Generalnie są dwie szkoły. Jedna holduje pani poglądom, druga poglądom męża. Ja zaliczam się w zasadzie do tej drugiej szkoły. Ale ba, są goście i goście. Np. gość młodzieżowy z reguły siada z tyłu. Gość kobieta z przodu. Gość mężczyzna równolecie raczej z tyłu. Starsza persona też raczej z tyłu, z tym że okaże jej uszanowanie żona siadając z tyłu obok niej. Są więc różne możliwe kombinacje, nie sposób wszystkich zanalizować.

Męża należy zrozumieć – najniebezpieczniejsze miejsce w aucie jest koło kierowcy.

W każdym numerze była rubryka „Listy o filmie”, gdzie zamiesz-

czano recenzje na najnowsze filmy. Ta jest o wspaniałej trzyczęściowej komedii „Jak rozpętałem II wojnę światową”:

Moi Drodzy!

Dobrą komedię nakręcić jest trudno. Dobrą komedię wojenną chyba jeszcze trudniej, a pomyślnie zrealizować komedię wojenną u nas – gdzie stale jeszcze żywe są tragiczne prze-



Niezapomniany prof. Filutek w rysunkach Zbigniewa Lengrena

życia niemal każdej z rodzin – wydaje się prawie niepodobieństwem. Tu trzeba przecież nie tylko poczucia humoru, lecz przede wszystkim ogromnego taktu, kultury dowcipu...

Tadeusz Chmielewski raz już dokazał takiej sztuki, filmem „Gdzie jest generał”. Obecnie powtarza swój zamiysł, tyle, że z większym rozmachem (szeroki ekran, trzy serie!), lecz za to – chyba z nieco mniejszym ładunkiem dowcipu. Wprawdzie gagów wcale nie jest mniej, zabawnych pięć nawet na pewno więcej, ale – rozrzucone na blisko 6,5 tysiącach metrów taśmy, gubią się trochę w mniej zabawnym, lub mniej wybrednym filmowym cieście.

Trzy serie („Ucieczka”, „Za bronią”, „Wśród swoich”) wyświetlane są zasadniczo na dwu seansach. Ich temat, to wojenne dzieje warszawskiego spryciarza (lecz i pechowca zarazem), Franka Dolasa, który – wskutek przypadkowego zbiegu okoliczności przekonany, iż on właśnie rozpętał II wojnę światową-

Polskie rezydencje Żytomierszczyzny (cz. 5)

Tym razem powędrujemy po rezydencjach, położonych na południowych krańcach obw. żytomierskiego.

DMYTRO ANTONIUK
tekst i zdjęcia

W poprzednim odcinku zatrzymaliśmy się w dawnym miasteczku, obecnie wiosce Chodorków, gdzie pozostały resztki wielkiego majątku Lewandowskich, pozostałości murów klasztoru dominikanów i kaplica rodu Podhorskich na starym cmentarzu. Teraz wyremontowaną niedawno drogą prześcimy się 7 km na wschód do wioski Lipki. Od dawna był to zachodni przysiółek miasteczka Krywe, gdzie w stanie skrajnej ruiny stoi jeszcze dwór Jurkiewiczów. Pisałem o tej rezydencji w pierwszym wydaniu „Polskich zamków i rezydencji na Ukrainie”. Wówczas nie wiedziałem, że w sąsiednich Lipkach też jest co podziwiać.

Wioska po raz pierwszy wspomniana jest w 1618 roku. Pod koniec wieku XVIII należała do Morszkowskich, z których Cecylia wyszła za mąż za księcia Jabłonowskiego. Wybudowała swój dworek i lipowy gaj prawie w centrum miasta, obok starej drewnianej cerkwi. Wszystko to przepadło w 1918 roku.

W 1824 roku wioska przeszła do jej siostry Angeliki Radziwiłłowej, małżonki księcia Aleksandra. W 1850 roku właściciel wioski Antoniów spod Skwiry (zachowała się tam przedziwna kaplica-zikurrat rodu Podhorskich), Ignacy



Brama do nieistniejącego majątku Podhorskich

ale głównym skarbem rodu była znaczna biblioteka. Rzekę przegrodzono groblą i urządzono staw ze sztucznymi wyspami. Rozgniewało to miejscową ludność, bowiem pędzono tamtędy trzody na pastwisko, i stało się początkiem napięć w jej stosunkach z Leonem Podhorskim. Właściciel majątku starał się dobrze traktować mieszkańców wioski. Jako lekarz raz w tygodniu bezpłatnie przyjmował wiejskie dzieci. Prócz tego, będąc członkiem komisji poborowej w Skwirze, wypisywał fałszywe zaświadczenia, chroniąc tym młodzież z Lipki przed poborem do wojska. Jednak

jedna osoba i kilka zraniono, wielu aresztowano.

W następnym roku Podhorski starał się załagodzić stosunki, dając drewno na budowę szkoły we wsi. Miał nadzieję, że nazwą ją jego imieniem, ale nadano jej imię carewicza Aleksieja. Szkoła zachowała się do dziś i nadal pełni swą funkcję.

Nadszedł rok 1917. Leon Urban Podhorski już od dwóch lat nie żył. Prawdopodobnie został pochowany w rodzimym grobowcu w Chodorkowie. Majątek przeszedł do jego dzieci Augustyny, Jadwigi i Eleonory. Nie wiadomo, które z nich było właścicielem, gdyż Podhorskim udało się zbiec, bowiem chłopci, pamiętając jedynie całe zło, a nie dobre czyny Leona Urbana, całkowicie zniszczyli wspaniałą rezydencję. Pięknymi meblami i cennymi książkami palili w piecu, a kandelabry weneckie po prostu rozbili. Historyk Kuszniar w swej książce o wiosce wspomina, że po terenie zniszczonego dworu jeszcze długo snuły się dwa nieszczęsne pawie, które wcześniej mieszkały w ogrodach. Z samego dworu nie pozostało ani śladu, i na tym miejscu kolchoz wystawił swoje zabudowania. Zachowana jedna z bram jest starym wjazdem do rezydencji Podhorskich. Na przeciwległym brzegu stawu zachowała się potężna budowla starego młyna, przypominająca swą wieżą średniowieczny zamek. Podhorski wybudował młyn w 1882 roku według projektu niemieckich architektów. Nosił on oficjalnie nazwę „Parowy walcowy młyn mączny i olejarnia” i produkował 17 gatunków mąki i olej. Umieszczono w nim potężny silnik parowy o mocy 8 koni mechanicznych, napędzający generator elektryczny, który jako pierwszy w Lipkach wyrabiał energię elektryczną. W czasie niszczenia majątku Podhorskich zniszczono również młyn, którego już nie odnowiono. Nie sposób zrozumieć wiejskich barbarzyńców – przecież ten cud techniki mógł im służyć jeszcze przez długie lata.

Mocno zniszczony i rozgrabiony młyn wykupili przed kilku laty biznesmeni z Kijowa i mają zamiar otworzyć

tu ośrodek rekreacyjny. Wyremontowano już wieżę i mury, wstawiono okna. Po czym prace wstrzymano i stary młyn Podhorskich czeka na lepsze czasy...

Chciałbym dodać, że rodzina Podhorskich znana jest również w Kijowie. Na ul. Jarosławów Wał, prawie naprzeciwko ambasady Polski stoi znany „budynek barona”, przez pomyłkę przypisywany baronowi Sztajngelowi. W rzeczywistości wybudował go w 1898 roku architekt Mikołaj Dobaczewski (jeden z autorów Kanału Panamskiego) dla Michała Podhorskiego – młodszego brata Leona. Po przedwczesnej śmierci Michała w 1899 roku, właścicielem tej wspaniałej willi był Leon. Mieszkał tu do 1910 roku, następnie sprzedał go Karolowi Jaroszyńskiemu. Pomi-

ędzy Lubar, leżącej na południowym zachodzie obwodu żytomierskiego. Właściwie – to do miejscowości Hleznia. Zachowały się tu zabudowania gospodarskie rezydencji Jangelowiczów. W 1882 roku, jak podaje „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego”, wioska należała do Miłoszewskich. Dopiero później miejscowość wykupili Jangelowiczowie i wzniesli tu wspaniałą rezydencję. Główny dwór powstał w stylu modernistycznym, dekorowany delikatną wieżyczką. Niestety został całkowicie zniszczony. Jak podaje krajoznawca Ihor Dowbusz, wystawiła go w roku 1897 Marcelina Jangelowicz, a później oddała go w dzierżawę Marii Pieńkowskiej. Przepuszczalnie, nieco archaiczna budowla w centrum wsi, mieszczą-



Rezydencja Jangelowiczów w Hleznaj

mo lat władzy komunistycznej wnętrze budynku zachowało wspaniałe dekoracje i piece kaflowe.

Nieco zboczyłem z tematu... Wracamy.

Jadąc z Lipki trasą T-0601, wzdłuż której w prawie każdej miejscowości zachowały się ślady po polskich właścicielach tych ziem, wjeżdżamy do Żytomierza. Nie mogłem powstrzymać się, by nie zajrzeć

ca dziś klub, była pierwotnym dworem Miłoszewskich. Do ostatniej wojny była to budowla piętrowa. Do głównego budynku przybudowano garaż. Sądząc z nowoczesnego stylu prowadzenia gospodarki, Jangelowiczowie mieli i powozy, i auta. Nadzwyczaj interesującą budowlą jest zachowany do dziś spichlerz Jangelowiczów. Wystawiono go w neogotyckim stylu z czerwonej ce-



Wnętrze dworu Rozciszewskich w Wolicy

do Wolicy. Bywałem tu już wcześniej, ale nie udało mi się zobaczyć od wewnątrz skromnego dworku Rozciszewskich, w którym obecnie mieści się szkoła. Trafiałem tu w dzień powszedni i nareszcie się udało. Zaznaczę jedynie, że na klatce schodowej zachowały się dwie półkolumny w narożnikach – i tyle ze starego wystroju.

Dalej droga prowadziła w okolicy centrum rejonu, do miejscowo-

gły, która bezchmurnym wieczorem świeci przy zachodzącym słońcu. Przed spichlerzem umieszczono stajnię i kuźnię z dekoracyjną bramą. Zachowały się również: budynek dla czeladzi (obecnie jako mieszkalny), drewniano-kamienny młyn, loch i lodownia. Wszystkie te budowle należały do rezydencji i warto tu skrócić z głównej trasy, pomimo niedogodności częściowo brukowanej drogi bocznej.



Młyn Podhorskich w Lipkach

Podhorski wykupił od Radziwiłłów Lipki i przekazał je swemu synowi Leonowi Urbanowi. Ten obrał karierę medyka i po studiach powrócił na zawsze do Lipki. Na południowo-wschodnim krańcu wsi, na pagórkach nad rzeką Krywianką wybudował on wspaniały dwór. Jego centralne komnaty dekorowały liczne obrazy i weneckie lichtarze,

w lipcu 1906 roku chłopcy się zbuntowali. Odmówili zbioru plonów z pól Podhorskiego za opłatą, którą proponował. Wówczas Podhorski przywiózł z guberni kurskiej chłopów, gotowych pracować za oferowane pieniądze. Jednak miejscowi przeszkodzili ich pracy. W końcu ze Skwiry przybyło wojsko i rozprędkowało protestujących. Zginęła przy tym

„Kresowa Atlantyda” Stanisława Nicieja – Stanisławów i Buczacz

W XIV tomie „Kresowej Atlantydy” profesor Stanisław Nicieja skupił swoją uwagę na historii i mitologii Stanisławowa, również kilku jeszcze mniejszych miasteczek Zachodniego Podola, a są to Buczacz, Zabłótów, Święta Trójca, Ilińce i Chlebczyn. A więc powrócił do terenów, które opisywał już w pierwszych tomach.

JURIJ SMIRNOW

Autor tak objaśnia swoje intencje: „W tym tomie złamałem zasadę, że nie wracam do miast, które opisałem już w poprzednich tomach. Rozpoczynając przed ośmiu laty pracę nad serią tych książek, wybrałem na początek pięć dużych kresowych miast: Lwów, Stanisławów, Tarnopol, Brzeżany i Borysław. Nie przewidziałem tak żywej reakcji czytelników. Natychmiast po ukazaniu się pierwszego tomu spadła na mnie lawina listów, e-maili i rozdzwoniły się telefony z informacjami, że warto by, a nawet należałoby jeszcze poszerzyć warstwę biograficzną w opisanie miast, gdyż w zachowanych zbiorach rodzinnych są informacje i zupełnie unikatowe fotografie ukazujące o wiele szerszą historię tamtych społeczności”. W tym zdaniu zawarta została też autorska metoda profesora Nicieja – on pisze nie tyle o zabytkach (choć nie pomija żadnego wartego uwagi), ile o ludziach, o społecznościach, o losach wysiedlonych i ich dzieci. Jest symboliczne, że XIV tom autor poświęcił Tomaszowi Kubię Kozłowskiemu, „wybitnemu znawcy i znakomitemu popularyzatorowi dziejów Kresów Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, właścicielowi imponującej kolekcji unikatowych eksponatów i pamiątek z Kresów”.

Miastu Stanisławów autor poświęcił 120 stron swojej książki i prawie na każdej stronie umieścił unikatowe zdjęcie, wiele z których zostało opublikowanych po raz pierwszy. W I tomie „stanisławowskich” stron było ich tylko 45. Skupimy uwagę na ludziach, o których pisze profesor Nicieja. Jak i powinno być, najpierw o założycielach miasta – rodzinie Potockich, dalej o jego burmistrzach z czasów autonomii galicyjskiej Ignacym Kamińskim i Arturze Nimhinie. Dalej o Janie Tomaszu Kudelskim (1861–1937), architekcie, który położył szczególne zasługi dla piękna Stanisławowa, absolwencie Politechniki Lwowskiej. Według własnej metody opracowania materiałów autor opisuje postać wnuka architekta Stefana Kudelskiego (1929–2013), genialnego wynalazcy, m.in. magnetofonu, zdobywcy dwóch Oskarów. Niestety, po drugiej wojnie światowej obywatela Szwajcarii i jednego „z najbogatszych Polaków na świecie”, właściciela własnej fabryki w Szwajcarii, zaliczonego do pocztu „100 geniuszy szwajcarskich”.

Wielu autorów wspominało i wspominają barbarzyńską dewastację, a później zniszczenie zabytkowego Cmentarza Sapieżyńskiego. Teraz w jego miejscu stoją hotel „Nadija” i Teatr Dramatyczny, resztę terenu zajmuje park. Zniszczono tysiące grobów, dużą kwaterę powstańców listopadowych i styczniowych oraz legionistów, kaplicę cmentarną, pobliski niemiecki kościółek

ewangelicki. Działo się to wszystko nie w „dzikim średniowieczu”, ale w 1980 roku. Stanisław Nicieja dotarł do archiwów, do rodzin osób pochowanych na Cmentarzu Sapieżyńskim. Dotarł do rodziny Mariana Antonia, rzeźbiarza, właściciela firmy kamieniarskiej w Stanisławowie, która wykonała dla cmentarza setki nagrobków i grobowców. Dzięki zachowanemu w rodzinie zdjęciu udało się ustalić nie tylko kształty pomników, ale też setki zapomnianych nazwisk pochowanych tam ludzi. Marian Antoniak był też autorem niezachowanego stanisławowskiego pomnika Legionisty, który został zniszczony w 1942 roku.

upór, takt i zdolności perswazyjne Mireckiego uczyniły rzecz niemożliwą. W maju 1980 roku uzyskano decyzję władz radzieckich i prochy Gillera przewieziono do Warszawy i pochowano przy głównej alei na Powązkach, w pobliżu grobów Stanisława Moniuszki i Józefa Elsnera. Wprawdzie pomnik dłuta lwowianina Tomasza Dykasa został zniszczony. Na Powązkach zbudowano nowy. Oto jedna z setek historii niezwykłych, do których dotarł profesor Stanisław Nicieja.

Piękne karty książki poświęcone szkolnictwu stanisławowskiemu, między innymi Gimnazjum im. Cesarza Franciszka Józefa, naj-

imaru”. Ponad 50 stron swojej opowieści stanisławowskiej prof. Nicieja poświęcił wybitnym stanisławowiakom, opisując losy znanych i mniej znanych mieszkańców Grodu Rewery, do których dotarł osobiście lub zebrał o nich materiał archiwalny.

Następny rozdział książki autor poświęcił powiatowemu miastu Buczacz – podolskiej perle rokoka. Pisze on nie tylko o zabytkach klasy europejskiej, ale też o ludziach, którzy zbudowali to miasto, mieszkali w nim i pracowali. Dla tych, którzy nigdy w Buczaczu nie byli, opowieść o kresowym miasteczku – to prawdziwa rewelacja. Otóż największą i najwybitniejszą indywidualnością związaną z Buczaczem był Mikołaj Bazyli Potocki (1706–1782), słynny starosta kaniowski, „jeden z najbogatszych ówczesnych polskich magnatów, prawdziwe królewiatko”. Mikołaj Potocki zasłynął nie tylko jako najgłośniejszy skandalista Rzeczypospolitej, ale też jako hojny fundator licznych kościołów, klasztorów, cerkwi, oraz zespołu słynnej Ławry Poczajowskiej. W Buczaczu z jego fundacji zachował się gmach ratusza – perła polskiego rokoka, kościół parafialny, cerkiew i klasztor ojców bazylianów, cerkiew św. Pokrowy, figura św. Jana Nepomucena. Ten magnat otoczył się prawdziwym wojskiem, które liczyło około trzech tysięcy żołnierzy, ale też wojskiem architektów, budowniczych, rzeźbiarzy i malarzy. Wśród nich były wybitne postacie, na skalę europejską, które zamieszkały w Buczaczu i założyły tu swoje warsztaty. Architekta Bernarda Meretyna i rzeźbiarza Jana Pinsla zapraszano nawet do Lwowa i Stanisławowa.

Od czasów M. Potockiego działało Collegium Buczackie przy klasztorze bazylianów, przekształcone w 1804 roku przez władze austriackie w gimnazjum. W 1899 roku zbudowano dla niego monumentalny gmach, który zdobi Buczacz po dzień dzisiejszy. Wśród absolwentów gimnazjum był poeta Kornel Ujejski (1823–1897), pochodzący z pobliskich Brzeżan, i malarz Juliusz Kossak (1824–1899).

Buczacz wpisał się wyraziście w biografie wybitnego historyka sztuki prof. Mieczysława Gębarowicza. Od 1904 rodzina Gębarowiczów osiadła w Buczaczu, gdzie Mieczysław i jego bracia Tadeusz i Stanisław ukończyli gimnazjum. Imię profesora Gębarowicza było i jest do dziś szeroko znane i cenione we Lwowie.

Inaczej jest z innymi pochodzącymi z Buczacza ludźmi, a wśród nich prof. Nicieja zwraca uwagę na buczackiego noblistę, wybitnego pisarza żydowskiego Szmuela Josefa Agnona (1888–1970). Pochodził z zamożnej rodziny chasydzkiej o nazwisku Czaczkes. Mając 19 lat Szmul Czaczkes opuścił Buczacz i osiadł w

Jaffie, w Palestynie, przyjmując nazwisko Agnon. Tam rozkwitł jego talent literacki. Kilka lat mieszkał w Niemczech, aby znów wrócić do Jerozolimy. Przeżycia doznane w Buczaczu ciągle były obecne w jego twórczości. Jego najważniejszym utworem o tematyce galicyjskiej jest „Nocny gość”. Napisał go w 1932 roku po wizycie w Buczaczu. Również z Buczaczem i Galicją są związane tematycznie inne jego utwory, takie jak „Zaledwie wczoraj”, „Zaślubiny panny młodej”, „Od Buczacza do Jerozolimy”. Nagrodę Nobla otrzymał w 1966 roku.

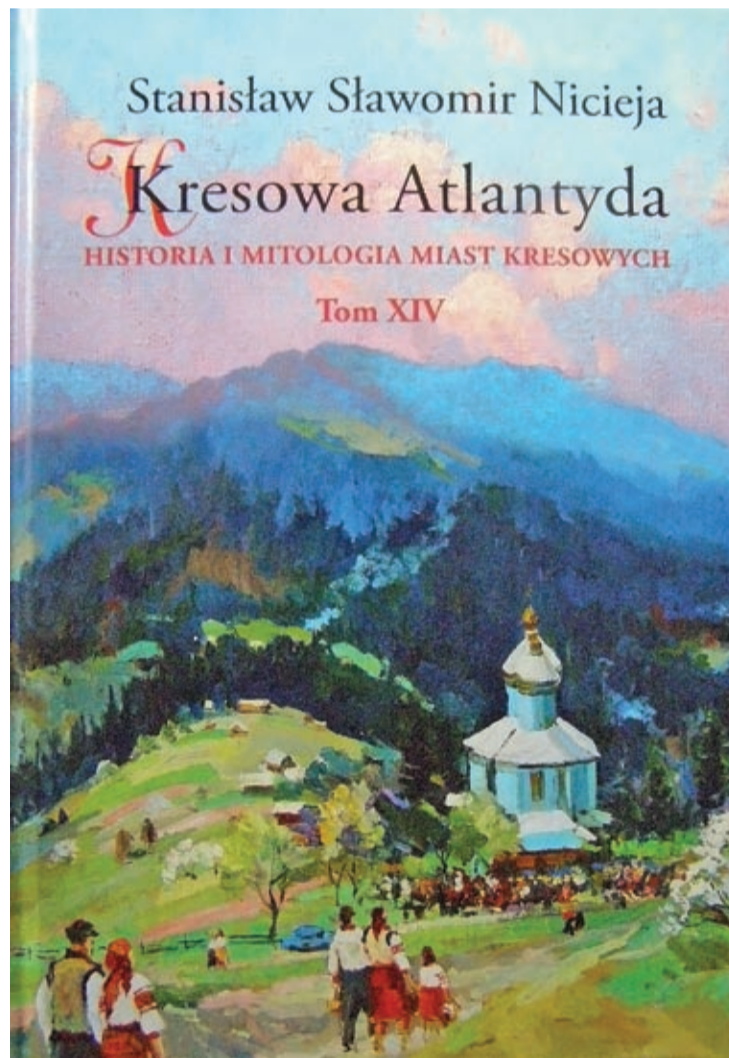
Z Buczacza pochodził też Szymon Wiesenthal (1908–2005), absolwent Politechniki Praskiej, po wojnie słynny tropiciel hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, nazwany „łowcą nazistów”.

I jak zawsze, w monografiach profesora Stanisława Nicieja dużo miejsca poświęcono „ludziom Buczacza”, ich potomnym i „strażnikom pamięci” dawnego przedwojennego Buczacza. A wśród nich przypomnijmy nazwisko tylko jednego księdza katolickiego prałata Ludwika Rutyny (1917–2010). Przez wiele lat każdy polski turysta, który przejeżdżał przez Buczacz, każdy lwowski przewodnik, który pilotował grupy turystyczne, mógł go poznać i podziwiać jego pracę duszpasterską i pracę przy odbudowie zdevastowanego kościoła buczackiego. Absolwent gimnazjum w Buczaczu i seminarium duchownego we Lwowie, rozpoczął swoją pracę w Buczaczu, zaś w 1945 roku wyjechał razem z parafianami i osiadł na Opolszczyźnie w Kędzierzynie Koźlu, gdzie był proboszczem przez 33 lata. W 1990 roku już jako ksiądz emeryt postanowił wrócić do Buczacza. Odrodził tam parafię rzymskokatolicką, odbudował zabytkowy kościół, niemal zupełnie zrujnowany, zamieniony przez władze radzieckie w składowisko koks i kotłownię. Liczył wtedy 72 lata. Odbudował nie tylko kościół, ale życie duchowe miejscowych katolików. Zmarł w 2010 otoczony legendą, w wieku 93 lat.

Monografie profesora Stanisława Nicieja napisane są wspaniałą literacką polszczyzną, z wielką miłością i nostalgią do opisywanych przez niego miejsc i losów ludzi. Powiedział kiedyś o sobie, że sam jest wymagającym redaktorem swoich książek. Każdą stronę wiele razy przerabia, poprawia, uzupełnia.

Czekamy na następne tomy „Kresowej Atlantydy”. Mają to być opowieści o Wilnie i Polakach na Litwie. Ale profesor nie zapomina o Galicji i Podolu, o Lwowie i Huculszczyźnie.

– Na tamte tereny, do tych miast jeszcze wrócę. Stale zbieram nowe materiały i sercem jestem bardzo z Kresami Południowo-Wschodnimi związany – powiedział niedawno w rozmowie telefonicznej.



Zupełnie unikatową jest historia ratowania prochów Agatona Gillera, najbardziej znanej postaci wśród pochowanych na Cmentarzu Sapieżyńskim, członka Rządu Narodowego w czasie powstania styczniowego. Otóż, gdy wieść o ostatecznej likwidacji cmentarza dotarła do Stanów Zjednoczonych, ówczesny prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej Alojzy Mazewski (1910–1988) postanowił uratować prochy A. Gillera. Mazewski upoważnił mecenasa Leona Mireckiego z Warszawy, aby podjął w jego imieniu działania w ambasadzie radzieckiej w Warszawie w celu uzyskania zgody na ekshumację prochów. Sprawa była wyjątkowo skomplikowana, bo dla Rosjan absolutnie precedensowa. Warto przypomnieć, że we Lwowie podczas zniszczenia Cmentarza Orląt mowy nawet nie było o podobnych działaniach. Lecz

bardziej znanej i cenionej uczelni miasta, zwanej „Atenami Pokucia”. Wśród jego wychowanków – Ignacy Daszyński, Franciszek Karpiński, czy też Jan Rogala, niezmiernie zasłużony dla Kościoła katolickiego i polskości we Lwowie, „polski działacz oświatowy w czasach brutalnej depolonizacji miasta „za czasów radzieckich”. Dla dziewczynek stanisławowskich taką uczelnią było Gimnazjum Urszulanek przy ulicy Kamińskiego 14.

Na stronach tomu XIV „Kresowej Atlantydy” znajdujemy opowieści o biskupie greckokatolickim Grzegorz Chomyszynie, o okupacji sowieckiej i niemieckiej, o tragedii Czarnego Lasu, zagładzie stanisławowskiego getta i wkładzie stanisławowskich Żydów w kulturę, dzięki czemu przedwojenny Stanisławów zyskał nazwę „Żydowskiego We-



Z głębokim żalem żegnamy

Janusza Wasylkowskiego

urodzonego w 1933 r. we Lwowie –
poetę, pisarza, publicystę, eksperta dziejów i kultury Lwowa,
twórcę i dyrektora Instytutu Lwowskiego,
redaktora naczelnego Rocznika Lwowskiego.
Swoją ogromną wiedzą, życzliwością i pomocą służył wszystkim,
którzy utrwalali pamięć o Lwowie.
Jego śmierć jest niepowetowaną stratą dla badaczy dziejów Lwowa
w kraju i za granicą oraz miłośników Miasta Zawsze Wiernego.

Cześć Jego pamięci

Profesor Waclaw Szybalski (Wisconsin, USA)
Stanisław Kosiedowski (Gdańsk)



Otrzymał smutną wiadomość, że 15 kwietnia br.
w wieku 87 lat zmarł

Janusz Wasylkowski

warszawianin, który zawsze podkreślał swe lwowskie pochodzenie.
Publicysta, poeta, dramaturg, autor książek m.in. o Lwowie
i emigracji niepodległościowej.
W 1991 r. założył Instytut Lwowski, którego był dyrektorem
i redaktorem naczelnym „Rocznika Lwowskiego”.
Odszedł Człowiek o tak licznych talentach, Przyjaciel.

Niech spoczywa w pokoju.
Pozostanie w naszej pamięci.

Zarząd Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie



Z wielkim smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o odejściu

Janusza Wasylkowskiego

Zasłużonego Lwowianina,
Byłego Prezesa Oddziału Stołecznego TML
i Członka Honorowego TMLiKPW

Towarzystwo Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział Stołeczny

Poszukuję kontaktu z rodziną ojca i jego przodkami

Jestem emerytowaną dziennikarką Polskiego Radia i tygodnika „Antena”. Urodziłam się we Lwowie w 1942 r. Wtedy zabito mojego Ojca Pawła Komarnickiego, który przebywał w gminie Hluboczek.

Moja Babcia, nauczycielka, dr Irena Porębska, z Mamą, Romaną i ze mną wyjechały. Nie miałam nigdy żadnego kontaktu z rodziną

Ojca i teraz bardzo chcę dowiedzieć się czegoś o Nim i jego przodkach. Ojciec urodził się w Winnicy w 1916 r., jako syn Kazimierza i Marii z Madeyskich. Ukończył, tak jak i moja Matka, Akademię Rolniczą w Dublanach, koło Lwowa.

Ewa Komarnicka-Kapuścinska
tel.: +48 791 530 047

Adresy placówek dyplomatycznych Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

01034 Kijów, ul. Jarosławiw Wai 12
tel.: +380 44 230 07 00
fax: 00380 44 230 07 43
+380 44 270 63 36
kijow.amb.sekretariat@msz.gov.pl
www.kijow.msz.gov.pl

Wydział Konsularny Ambasady RP w Kijowie

01034 Kijów,
ul. B. Chmielnickiego 60
tel.: +38 044 284 00 40
faks: 00380 44 234 99 89
e-mail: kijow.amb.wk@msz.gov.pl
www.kijow.msz.gov.pl

Zagraniczne Biuro Handlowe (ZBH) na Ukrainie

Polska Agencja Inwestycji i Handlu S.A.
Kožumiacka 14 B, 04071, Kijów
Karol Kubica – kierownik biura
kom.: +380 988 115 791
e-mail: karol.kubica@paih.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Charkowie

61002 Charków, ul. Alczewskich 16
tel.: +38 057 757 88 01
+38 0757 88 03
faks: 00380 57 757 88 04
charkow.kg.sekretariat@msz.gov.pl
www.charkow.msz.gov.pl



Konsulat Generalny RP we Lwowie

79011 Lwów, ul. Iwana Franki 108
tel.: +38 032 295 79 90
faks: 00380 32 295 79 80
e-mail:
lwow.kg.sekretariat@msz.gov.pl
www.lwow.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Łucku

43016 Łuck, ul. Dubniwska 22 b
tel.: +38 0332 280 640
faks: +38 0332 280 659
e-mail: kg.luck@msz.gov.pl
www.luck.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Odessie

65014 Odessa, ul. Uspienska 2/1
tel.: +380 48 722 56 96, 722 60 03
faks: 00380 48) 722 77 01

odessa.kg.sekretariat@msz.gov.pl
www.odessa.msz.gov.pl

Konsulat Generalny RP w Winnicy

ul. Kozyćkoho 51
21050 Winnica
tel.: +380 432 507 413
faks: 00380 432 507 414
tel. informacja wizowa:
+380 432 507 411
tel. informacja ws. Karty Polaka:
+380 432 507 412
winnica.kg.sekretariat@msz.gov.pl
www.winnica.msz.gov.pl

Instytut Polski w Kijowie

ul. B. Chmielnickiego 29/2
lok. 17
01-030 Kijów, Ukraina
tel.: +380 44 288 03 04
fax: 00380 44 288 02 86
www.polinst.kiev.ua

Polska Organizacja Turystyczna

Zagraniczny Ośrodek Polskiej Organizacji Turystycznej w Kijowie
01001 Kijów
Chreszczatyk 25, lok. 98
tel.: +38 044 278 67 28
fax: 00380 44 278 66 70
e-mail kyiv@pot.gov.pl
www.polscha.travel

Kurier Galicyjski



КУР'ЄР ГАЛИЦІЙСЬКИЙ

REDAKCJA:

Lwów 79013
skrytka pocztowa nr 1565
Львів 79013
абонентська скринька № 1565

Sekretariat redakcji we Lwowie:
+38 (032) 253 15 20
+38 094 993 35 20
e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl
Lwów 79013
skrytka pocztowa nr 1565

Свідоцтво про державну реєстрацію
серія KB № 12639-1523 P
від 14.05.2007 р.

Założyciel i wydawca:
Miroslaw Rowicki
Засновник і видавець
М. М. Ровіцькі

Skład redakcji Grupy Medialnej Kuriera Galicyjskiego

Miroslaw Rowicki
(pseudonim Marcin Romer)
red. naczelny
e-mail: mirosław.maciej.rowicki@wp.pl
Maria Basza
zastępca red. naczelnego
e-mail: mariabasza@wp.pl
Konstanty Czawaga
e-mail: konstantyczawaga@wp.pl
Krzysztof Szymański
e-mail: krzyszymanski@wp.pl
Eugeniusz Sało
koordynator tv i mediów elektronicznych
e-mail: eugene.salo@gmail.com
Alina Wozijan
redaktor prowadzący portalu
e-mail: alina.wozijan@gmail.com
Jurij Smirnow
e-mail: smirnojura@gmail.com
Anna Gordijewska
e-mail: batiarka@gmail.com
Wojciech Jankowski
redaktor prowadzący radia
e-mail: wojjan@wp.pl
Karina Wysoczańska
e-mail: kvusochanska@gmail.com
Aleksander Kuśnierz
e-mail: oleksandr.kusnezh@gmail.com
Andrzej Borysewicz
e-mail: andriyovuch2017@gmail.com
Leon Tyszczenko
e-mail: leon.tischenko@gmail.com
Czesława Żaczek
korekta
e-mail: czeslawa.zaczek@gmail.com

Natalia Kostyk
prenumerata, ogłoszenia
e-mail: nataliakostyk@wp.pl

Współpracują:

Artur Deska, Dmytro Antoniuk, Beata Kost, Marian Skowrya, Katarzyna Łoza, Agnieszka Sawicz, Tomasz Lachowski, Dariusz Materniak, Elżbieta Lewak, Helena Krasowska, Włodzimierz Bartkowiak, Michał Piekarski, Leonid Golberg, Andrzej Pietruszka, Sabina Różycka, Tadeusz Kurlus, Renata Kłęczańska, Dmytro Wesołowski, Irena Kulesza, Witold Dzieciolowski, Jan Skłodowski, Zbigniew Kulesza, Natalia Tarkowska, Jerzy Lubach, Natalia Tkaczuk, Iwona Boruszkowska, Iwan Bondarew, Dmytro Poluchowycz, Petro Hawrylyszyn i inni.
Warunkiem zgody na przedruk całości lub części artykułów i informacji zamieszczonych w naszym piśmie jest uzyskanie pisemnej zgody redakcji i powołanie się na Kurier Galicyjski.



Za treść ogłoszeń, oświadczeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności i pozostawia sobie prawo do skrótów nadesłanych tekstów. Zamieszczamy również teksty, treść których nie odpowiada poglądom redakcji.
ТЗОВ Видавничий Дім „Молода Галичина”. Газета виходить 2 рази на місяць.

Stare pocztówki wielkanocne

W okresie Świąt Wielkanocnych otrzymaliśmy e-maila od naszego czytelnika Kuby Terakowskiego, który przesłał nam stare pocztówki ze swojego archiwum rodzinnego. Pocztówki były wysyłane ze Lwowa oraz do Lwowa przed drugą wojną światową i podczas wojny.



Kurier Galicyjski

PRENUMERATA NA UKRAINIE:
Kurier Galicyjski można zaprenumerować na pocztę
KOD PRENUMERATY
УКРПОШТА 98780

За доставку газети в передплаті відповідає Львівська дирекція УДППЗ „Укрпошта”, тел.: 032 238 82 73

Cena prenumeraty pocztowej
1 miesiąc – 18,00 UAH
3 miesiące – 48,00 UAH
6 miesięcy – 96,00 UAH
12 miesięcy – 192,00 UAH

Kurier Galicyjski można kupić na terenie całej Ukrainy w kioskach „Ukrpoczty”

Ponadto:

- w kioskach „Wysoki Zamek” w Drohobyczu, Truskawcu, Boryslawiu, Samborze, Starym Samborze, Turce i Stebnyku;
- w kioskach „Interpres” we Lwowie;
- w polskiej restauracji „Premiera Lwowska” ul. Ruska 16 we Lwowie;
- w polskiej restauracji „Kupol”, ul. Czajkowskiego 37 we Lwowie;
- w restauracji Mons Pius, ul. Łesi Ukrainki 14 we Lwowie;
- w kościele św. Antoniego we Lwowie, przy kościele Marii Magdaleny we Lwowie (w niedzielę po nabożeństwie)
- pismo jest też dostępne w Instytucie Polskim w Kijowie

PRENUMERATA W POLSCE

Możliwa jest prenumerata redakcyjna do Polski i innych krajów. W sprawie prenumeraty gazety do Polski, prosimy o kontakt pod naszym adresem e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl albo listownie lub telefonicznie, na numery i adresy podane w stopce redakcyjnej.

Ponadto „Kurier Galicyjski” można kupić:

w Przemyślu – w Południowo-Wschodnim Instytucie Naukowym, przy ul. Grodzkiej 3 (kod pocztowy 37-700), tel.: +48 (016) 678 73 33; **w Przemyślu w kawiarence Pod Semaforem**, ul. Mickiewicza, (d. rampa PKP), **w Warszawie, w Sterling Group**, ul. Marszałkowska 115 (wejście od ul. Przechodniej), 00-102 Warszawa. Biuro jest czynne pn–pt w godz. 10:00–17:00.

REKLAMUJ SIĘ W KURIERZE GALICYJSKIM!

Zamówienia na REKLAMĘ I OGŁOSZENIA PROSIMY KIEROWAĆ:

Natalia Kostyk

e-mail: nataliakostyk@wp.pl;

kuriergalicyjski@wp.pl

tel. stacjonarny: 0-0380 (342) 543461

tel. kom. : +38 099 5281836

Na zlecenie naszych klientów umieszczamy ogłoszenia w prasie ukraińskiej. Zapewniamy pełną obsługę z tłumaczeniem ogłoszeń włącznie. Ogłoszenia niekomercyjne, po uzgodnieniu z redakcją, mogą być drukowane nieodpłatnie.

Partnerzy medialni

Wnet.fm



NASZE DROGI

Radio Opole



KRESY24.PL

pl.pogranicze.eu

BEKA

POL UKR



ZAXID.NET

CRACOVIA LEOPOLIS

DA

INSTYTUT POLSKI

SŁOWO POLSKIE

www.vezha.org

NET



Monitor Wołyński

DZIENNIK LWOŃSKI

HISTORYKON.PL

INSTYTUT POLSKI